

Artykuły i korespondencje, przeznaczane dla „Kraju”, powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie wraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarijów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, „Kraj”. Warszawski Oddział „Kraju”, Marszałkowska 119.

Og. zb. № 1040

Petersburg, 7 (20) czerwca 1902 r.

Rok XXI. № 23

TREŚĆ N-ru 23 „KRAJU“

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuły bieżące: Wśród panów pruskich, przez *Gordona*. Mowa malborska. (W parlamencie wiedeńskim. Prasa polska w Prusach. Opinia niemiecka. Głosy słowiańskie. Głosy z Zachodu). Projekt sądów mieszanych w Królestwie, p. *Aleksandra Mogilnickiego*. Teorja „małych” narodów. (Z filozofii dziennikarza rosyjskiego). Forum publicum. (Odpowiedź hr. Mycielskiemu).

Listy korespondentów „Kraju“: (Echa zachodnie): Z Wiednia, p. *Novus'a*. Z nad Warty, p. *Bart.* Ze Szlązka Górnego, p. *Selęzaka* i t. d. (Z miast i wsi): Z Wilna, p. *Z.* Z Poniewieża, p. *Zastępcę*, Z Mińska lit., p. *H. D. L.* i t. d. (Z Królestwa Polskiego): Z Warszawy, p. *Albertusa* i t. d.

Przegląd prasy. Wiadomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Tydzień polityczny.

Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Bóże. Sport. Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologja.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Polski handel i przemysł. Kronika giełdowa. Ogłoszenia.

ŻYCIĘ I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Pax, p. *J. Ms.* Otwarcie Muzeum w Lucernie, p. *K. Waliszewskiego*. Najnowsza historia literatury polskiej, p. *St. Tarnowskiego*. W pracowni Biegasa, p. *Nemo*. Czorsztyn. (Notatka w przejeździe), p. *Sz.* Nestor parlamentarjuszów polskich, p. *Gordona*. Nowi biskupi. Całun turyński. Ks. Jan Ścisławski, p. *H.* Obrazki mandzurskie. Notatki naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. **Nowe książki.** Bibliografja tygodniowa.

Ilustracje: Trzy ilustracje do artykułu „Otwarcie Muzeum w Lucernie”. Dwie ilustracje do artykułu „W pracowni Biegasa”. Dwie ilustracje do artykułu „Czorsztyn”. Obchód Bożego Ciała w Warszawie. Cuda budownictwa: Flatiron Building. Demonstracje pokojowe w Londynie. Portrety: Jan Bloch, Henryk Bloch, dr. Henryk Szuman, ks. Stanisław Zdzitowiecki, ks. Edward Ropp, ks. Jan Ścisławski. Portrety w „Kronice pośmiertnej”: Edmund Stecki, Tadeusz Hrehorowicz.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Miecz i Lokiec. Powieść z wieku XVII, p. *Wiktora Gomulickiego*. (DC). Bańka mydlana. Nowela wierszem, przez *Alinę Swiderską*. (DC). Rok 1809. Powieść historyczna, p. *Wacł. Gąsiorowskiego*. (DC). Na strażnicy. Streszczenie „Kraju”, p. *Leona Bielskiego*. To i owo.

KARTA ALBUMOWA:

Do dzisiejszego N-ru, przy rozestanych egzemplarzach pisma dla prenumeratorów i na sprzedaż numerową, dołączoną jest Karta albumowa, odwarzająca obraz *Józefa Brandta: «Na czatach»*.

Od Administracji.

Celem wczesnego uregulowania nakładu pisma na *drugie półrocze*, upraszamy Sz. Prenumeratorów o przyspieszenie wysyłania prenumeraty lub zamówień; usunie to reklamacje, spóźnienia lub też przerwę w otrzymywaniu pisma. Zanosimy przytem uprzejmą prośbę, by Sz. Prenumeratorzy przy odnawianiu prenumeraty zechcieli komunikować nam, oprócz nowych, i poprzednie swe adresy, pod którymi otrzymywali „Kraj” dotychczas, gdyż informacja ta może usunąć wszelką w przyszłości reklamację.

Administracja „Kraju”.

WŚRÓD PANÓW PRUSKICH.

Kwestja polska jest wciąż na porządku dziennym w Berlinie. Nie schodzi ze szpałt dzienników. Raz wraz bywa poruszana w sejmie Rzeszy, w sejmie pruskim, w Izbie panów. Zdawałoby się, że już nic nowego o tych stosunkach powiedzieć nie można. Zdawałoby się, iż zainteresowanie ogółu niemieckiego powinno uleść znużeniu i osłabieniu. Zeszłotygodniowe rozprawy w pruskiej Izbie panów wykazały, że tak nie jest. Obudziły powszechne zajęcie. Obok starych i zużytych komunalów usłyszano nowe poglądy i wywody. I prasa niemiecka nie przestaje zajmować się «kwestją polską». W dociekaniach i rozstrząsaniach swych dochodzi nawet do wniosków zgola niezwykłych. Wroga polakom «Kreuz-Zeitung» w polemice z niemniej wrogą nam «National-Zeitung» nabrała przekonania, iż wcielenie wielkich, niegdyś do Polski należących dzielnic przez Prusy, było politycznym błędem. Państwo bowiem tylko wtedy powinno przystępować do rozszerzania swych

granic, jeśli może liczyć na polityczną i ekonomiczną asymilację mieszkańców. Inaczej owo rozszerzanie granic wywołuje stałą wewnętrzną wojnę i w skutkach może stać się wielkiem niebezpieczeństwem. Fryderyk Wielki mógłby przewrócić się w grobie, słysząc taką opinię konserwatywnego organu niemieckiego. Tyle już lat minęło od chwili zaboru, a dotąd kwestja polska zawsze stoi otworem. I nawet w cichej zazwyczaj pruskiej Izbie panów wywołuje ona wciąż spory, przypomnienia i groźby.

Mowa Józefa Kościelskiego.

Przyjęta znaczną większością w sejmie kolonizacyjna ustawa przeciw-polska przywędrowała do Izby panów, aby pozyskać sankcje tych urzędowych pruskich podpór tronu i ołtarza. Obrady nad pierwszym czytaniem projektu rozpoczęły się w ubiegły czwartek. Pierwszy w ogień poszedł p. Józef Kościelski. Świetna mowa, jaką wygłosił – spokojna w formie, lecz bardzo stanowcza w treści – zjedna sobie niewątpliwie uznanie całego społeczeństwa polskiego. Oto jej ścisłe brzmienie podług stenogramów:

Panowie! Kiedym się dziś, przed rozpoczęciem posiedzenia, zapisał do głosu, widziałem na odnośnej kartce, że byłem czwarty. Przyznaję, że skoro pierwszy mam przemawiać do panów, zawdzięczam to pewno mojej naturze kozła ofiarnego (*Karnikelnatur*), który, jak wiadomo, zawsze «zaczyna». (*Wesołość*).

Panowie! Ilekroć w tej wysokiej Izbie i wogóle w ciałach prawodawczych wnoszonym był projekt antypolski, zawsze mimowolnie mi się przypominała bajka Andersena o sukniach królewskich. Nikt nie ma odwagi powiedzieć: ten człowiek jest nagi, nikt nie ma tej odwagi, a gdyby się zdobył na nią, zaraz okrzyczano by go za zdrację ojczyzny. Nikt nie ma odwagi powiedzieć, że widzi przed sobą polaka, jakim jest w rzeczywistości: jako bez pomocy zostawiona postać nędzy i rozpacz (*śmiechy*), której zdarto z ciała wszystkie suknie, a ciało to pokryte ranami i bliznami. Ale wszyscy wtórują ministerjalnemu hypnotyzerowi i mówią: tak jest, widzę przed sobą wyraźnie polaka w pełnym rynsztunku, zbrojnego od stóp do głowy; w prawicy wywija mieczem, w lewicy ma ożóg; przed sobą ma wielką skrzynię z bombami dynamitowemi, a nawet w zębach ma długi, niemiecką

krwią zbroczony nóż. (*Śmiechy i głosy: Aaa!*)

Tak, panowie, to dziwna rzecz, jak łatwo nawet najrozsądniejsi ludzie pozwalają się zahypnotyzować. Niedawno widzieliśmy to przy wielkim szwindlu stumiljonowym. (*Głos: Aaa!*)

Cóż Pan sądzi?

Głos: Powiedziałem tylko: aaa.

A więc, panowie, ja myślałem tylko o stumiljonowym szwindlu pani Humbert w Paryżu. (*Wesołość*). Jeżeli panowie myślicie o innym szwindlu stumiljonowym, nie jest to moją winą. Przy tamtym szwindlu paryzkim pani Humbert widzieliśmy, jak łatwo na lep fałszywych przedstawień poszli najwytrawniejsi, najdoświadczeni ludzie interesu, dlatego też wcale się nie dziwimy, że i gdzieś indziej ludzie, aby ująć przed domniemanem niebezpieczeństwem, narażają się na prawdziwe, jeżeli dla zaspokojenia pewnej liczby talarowych patryjotów, podkopują podstawy państwa.

Tak, panowie, zdaje mi się, że odpowiednio do celu, wybrano niezbyt szczęśliwą chwilę.

Przed kilku dniami, a więc w chwili, kiedy projekt ten przedłożony był komisji drugiej Izby i kiedy także minister skarbu się oświadczył przeciwko wszystkiemu w komisji przedstawionym skreśleniom, tenże sam pruski minister skarbu na posiedzeniu komisji parlamentu oświadczył, że obecne położenie finansów państwa pruskiego jest bardzo smutne, a wobec tego rząd żadną miarą zgodzić się nie może na zniesienie podatku cukrowego, bo toby zachwiało budżetową równowagę.

Niechże mi ktoś wyjaśni, jak to pogodzić? Ale nawet w razie, gdyby położenie finansowe państwa pruskiego było świetnem, czyż nie byłoby innego, rzeczywistego, korzystniejszego zadania, któreby godne było ambicji rządu, celu odpowiedniejszego w czasie, gdy miliony ludzi zmuszone są mieszkać w sposób niegodny ludzkości! gdy higiena ludowa leży odłogiem, miliony chorych marnie giną z powodu braku opieki i środków ratowania ich, miliony młodych obywateli, rwących się do oświaty, dla braku środków nie mogą osiągnąć wyższego wykształcenia! gdy główny czynnik błogiego rozwoju, nauczyciel ludowy, finansowo i materialnie nie o wiele lepiej jest postawiony, niż zwykły robotnik rolny (*Głos: Oho!*) — no tak panowie, z wyjątkiem u nas, na wschodzie, bo tu dostaje premje za bicie. (*Śmiechy!*) A więc panowie, w czasie, kiedy tyle ważnych spraw socjalnych czeka na załatwienie i daremnie czeka, w tym czasie wyrzucą się ćwierć miljaru na nic, prawdziwie na nic! A przynajmniej wyrzucą się te miliony na coś niedoścignego. Przytem to wyrzucanie pieniędzy za okno naraża bezpośrednio powagę i potęgę państwa na wschodzie na największe niebezpieczeństwa. Cała zagranica, cały świat dziwi się, że u nas prawie już pół miljaru wyrzucono, żeby na wschodzie wzmacnić żywioł mocniejszy, t. j. żywioł, który korzysta z pełni praw obywatelskich, z wszystkich dobrodziejstw i darów państwowych, który dzierży w całej pełni urzędy i prebendy, czy jak się tam to wszystko nazywa — ten więc żywioł wzmacnia się przeciw-

ko ludności, dla której niedostępnymi pozostać muszą wszystkie błogosławieństwa, które w części dopiero co wyliczyłem.

Oczywiście, temu przeczyć nie chcę: ten deszcz miljonowy i nas wzmacnia pod niejednym względem. (*Głos: Nie-stety!*)

Tak jest, «niestety», z waszego stanowiska — ależ my tak mało korzystamy pod każdym względem z naszej przynależności do państwa! Ale i dla nas kryje się w tem stanowcze niebezpieczeństwo: obawiam się bowiem, że wobec roztoczenia tej wielkiej potęgi, przeciwko nam skierowanej, podlegniemy manji wielkości (*wesołość*), a gdy na tę manję zachorujemy, znów stanie się możebodem, że w szpitalu dostaniemy się do tego samego oddziału, co całe pruskie ministerstwo stanu. (*Wielka wesołość*).

Panowie! Wnioski, które tu od czasu do czasu czynię, skierowane są przede wszystkim do samej wysokiej Izby, a nie do królewskiego rządu, którego zapewne przekonać nie zdołam. Ale wysoka Izba, wedle mego zdania, nie może przecież na stałe trwać na stanowisku muchy jednodniówki, która nie dba o to, co będzie jutro, bo jutro już jej samej może nie będzie. Izba panów zaś pozostaje nazawsze. Godzina wybije, kiedy prawda wyjdzie na jaw, a i wysoka Izba dojdzie do przekonania — żałuje, że to już dziś się nie stało — że bez prawdy niema sprawiedliwości, a bez sprawiedliwości niema potęgi.

Już dziś w konserwatywnej prasie zaznaczają się pod tym względem lekkie wskazówki. Posiew wszędzie, a dzień, w którym wysoka Izba zmiecie ze stołu tę wszystką robotę burzącą, ten dzień państwu i monarchji wyświadczy największe dobrodziejstwo, o jakim pomyśleć można.

Co się tyczy nas, polaków, my wytrwamy i nie zachwiejemy się. Trzymamy się mocno naszego programu, a program ten ma to dobre, że jest krótki i węzłowy. Program nasz zestawiony w dwóch punktach. Pod N-rem 1 brzmi on: pozostaniemy polakami, niech się dzieje, co chce. A pod N-rem 2 powiedziano: żadnymi, najwyrafinowanymi usiłowaniami nie pozwolimy się zepchnąć z drogi prawa, bo prawo jest naszą siłą.

W tej narzuconej nam walce pozbyliśmy się niejednej iluzji, niejednej wiary, ale tem trzeźwiej stajemy do walki, a i teraz z bardzo nikłym uczuciem tęsknoty rozwiać się pozwalamy przed oczami naszymi ostatniemu widziadłu i bajce o państwie prawa i sprawiedliwości. (*Hr. Mirbach:* Gdzie ono istnieje?)

P. Kościelski mowę swą wygłosił wśród rzadkiego w tem dostojnym zgromadzeniu zjęcia. Słuchano go z wyjątkową uwagą. Widocznem było, iż argumenty mówcy nie przemijają bez wrażenia. Więc gdy zszedł z mównicy, na szanie zagrożonej niemieckim państwem, hr. Bülow.

Mowa hr. Bülowa.

Niepowodzenie, jakiego doznało słynne porównanie o «królikach» i «zajacach», oraz wrażenie, jakie wywarła w Niemczech i więcej jeszcze

zagranicą mowa malborska, wpłynęły dodatnio na *preussischen Uebermuth* kanclerza. Mówił spokojniej niż zwykle.

«Czuję się obowiązany — zaczął hr. Bülow — odpowiedzieć p. Kościelskiemu na niektóre jego wywody. Wstrzymam się przytem od wszelkich sztuk hypnotyzowania, określając fakty tak, jak rzeczywiście się przedstawiają.

«Rozwój i historyczne powstawanie monarchji pruskiej zniewoliły nas do wcielenia wielkich kawałów obcych narodowości w państwo pruskie. Nasi królowie przyznali tym obcym żywiołom wszelkie dobrodziejstwa kultury i wszelkie błogosławieństwa pruskiej administracji. W państwie pruskim osiągnęły te żywioły kulturę, która im przedtem była zupełnie nieznaną, a którą o własnych siłach z trudem byłyby uzyskały. Przyznaliśmy również tym obcym współobywatelom wszelkie prawa obywatelskie, daliśmy im wszelkie prawa konstytucyjne, z których reszta pruskich poddanych korzysta.

«Nie rozumiem zatem wcale, jak przy końcu swych wywodów p. Kościelski powiedzieć mógł, iż pomiędzy rozmaitemi marzeniami, które się w jego oczach rozwijały, znajduje się również marzenie o sprawiedliwości państwa pruskiego. Sprawiedliwość państwa naszego istnieje jak dotąd, tak i nadal, istnieje także wobec polskich obywateli, lecz jednego uczynić nie możemy, i to może będzie głównym powodem skarg pana Kościelskiego: nie możemy obcym elementom przyznać autonomji. Państwo pruskie bowiem jest państwem jednolitem i państwo pruskie jest państwem niemieckim. Jest państwem niemieckim *von jeher*, i jego historycznym powołaniem jest wszędzie niemieckość bronić i podnosić. (*Oklaski*). Odsrodkowych tendencji nie uznajemy, a dla urojeń federalistycznych, które poprzedni mówca może miał na myśli, niema u nas miejsca.

«Pan Kościelski oświadcza, że on i jego przyjaciele stoją na gruncie panujących stosunków. Nie myślę wcale wątpić o dobrej wierze pana Kościelskiego. Nie wątpię również, samo przez się rozumie, o lojalności jakiegokolwiek polskiego członka wysokiej Izby. Sądzę atoli, że mam podstawę do oświadczenia, iż pod względem lojalnego pojmowania sytuacji pan Kościelski znajduje się nieledwie osamotniony pośród swych politycznych czynnych rodaków. (*Wesołość i oklaski*). *Rara avis nans in gurgite vasto*. (*Wielka wesołość*).

Kanclerz wyraża przeświadczenie, iż p. Kościelski nie myśli brać udziału w usiłowaniach, zmierzających do oderwania prowincji polskich od państwa pruskiego. Według hr. Bülowa wszakże nie da się zaprzeczyć, iż takie usiłowania istnieją.

«Nie da się zaprzeczyć, że agitacja polska walczy obecnie zacięciej, aniżeli dawniej przeciw pruskiej idei państwowej, przeciw niemieckiej idei narodowej i przeciw niemieckiej mowie, że narzoni swe o odbudowaniu niezawisłego państwa polskiego dziś daleko jawniej wysuwa na przednie miejsce. Ta okoliczność właśnie czyni tę kwestję w naszej wewnętrznej polityce najważniejszą, czyni

prawdziwą kwestją przyszłości i przeznaczenia naszej pruskiej monarchji, bo sięga ona jej fundamentów, które dźwigają monarchję i tem samem całą Rzeczpospolitą niemiecką. Pan Kościelski mówił o niewinności polskiej agitacji. Tak, lecz mnie dzisiaj rano przedstawiono wycinek z pewnego bardzo cenionego i wielce rozpowszechnionego czasopisma polskiego.

Tutaj hr. Bülow odczytuje wyjątek z artykułu «Przeglądu Wszechpolskiego», który nie chce przy monarchji Hohenzollernów pozostawić nawet Prus wschodnich. Kanclerz dodaje, iż

«te ostateczne cele agitacji wszechpolskiej nie zawsze bywają przedstawiane tak jawnie. Jednakże pewna polska gazeta, wychodząca w Grudziądzu, domaga się, aby z W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich, oraz Mazurów utworzono oddzielne państwo polskie z osobnym polskim namiestnikiem i z osobnym polskim sejmem. Jednocześnie zawezwano mię, abym do grona swych szanownych kolegów przyjął nowego jeszcze kolegę wyłącznie do spraw polskich (*wielka wesołość*). Kto ową osobistością ma być, tego nie wymieniono (*ponowna wesołość*).

«Jeżeli bronimy się przed tego rodzaju usiłowaniami, spełniamy wyłącznie nasz obowiązek».

W dalszym ciągu hr. Bülow broni finansowo-prawnej strony projektu, twierdząc, iż Prusy nigdy nie pożalują pieniędzy na czyny narodowe, a właśnie wielkim czynem narodowym jest kontynuowanie tych zadań, które królowie pruscy podjęli w XVIII wieku.

«Na końcowy ustęp mowy p. Kościelskiego muszę nadmienić, iż wcale nie myślimy o tem, aby polakom wydrzeć ich mowę i wiarę. Mamy przeciwnie nadzieję, iż polscy współobywatele, w dziękczynnym uznaniu tych dobrodziejstw, które im od półtora wieku panowanie królów pruskich wyświadcza, z czasem staną się z własnego przekonania dobrymi prusakami i niemcami. Atoli nie możemy dopuścić do tego, aby nasi kupcy i nasi przemysłowcy w małych miastach wschodnich byli przez bojkot doprowadzani do ruiny. Nie możemy pa trzeć spokojnie, jak przez przypływ polskiego żywiołu nasi chłopci zmuszani są do emigracji. Występujemy przeciw wzmagającej się polonizacji kresów wschodnich spokojnie, otwarcie i konsekwentnie. P. Kościelski porównał panowanie ministra do życia jednolitych muszek. W parlamencie porównano nas do trawy, którą wiatr na polu rozrzuci i która następnie bez śladu ginie, tak że nikt nie wie, gdzie się podziała. Tak źle nie jest! (*Wielka wesołość*). Nie wiem, czy prędko uczynię p. Kościelskiemu tę przyjemność i ze stanowiska swego ustąpię. Lecz ktokolwiek będzie mym następcą, ten wcześniej przeciw polskiej agitacji broni nie złoży, dopóki ona nie ustanie, dopóki wszyscy poddani polscy nie staną się wobec państwa pruskiego lojalnymi.

Mowa von Wittinga.

[Wysoki ten urzędnik pruski, nadburmistrz m. Poznania, który zabrał głos za-

raz po kanclerzu, pochodzi z poznańskiej rodziny żydowskiej. Rodzice jego nosili nazwisko „Witkowskich“. Jeden brat począł wspinać się szybko po szczeblach dostojności państwowych, pozyskał szlachectwo i osobiste zaufanie cesarza Wilhelma. To właśnie p. von Witting. Drugi brat ostrem piórem wyrobił sobie opinię jednego z najwybitniejszych publicystów niemieckich; jest nieprzejednanym wrogiem korony; nazywa się Maksymilian Harden. Obaj przechowali dziedziczne cechy semickiej.

Przemówienie p. Wittinga było interesujące z tego względu, że maż ten, znający dokładnie stosunki poznańskie, lub udający przynajmniej ich znajomość — stanął w wywodach swych na wielu punktach w sprzeczności z kanclerzem Rzeszy. Przedewszystkiem p. v. Witting prosi usilnie,

«aby na miłość Boską nie brać zbyt tragicznie i poważnie prasy polskiej. Odpowiada ona charakterowi ludu polskiego, a gwałtowne wyrazy, jakie słyszemy, są tylko słowami. Uważam za rzecz naturalną, iż królewski rząd państwowy zwraca baczną uwagę na działanie prasy polskiej i propagandy polskiej. Byłoby niebezpiecznem na nią nie zważać. Ale sądzę, że tej prasie polskiej nie można wyświadczać większej przysługi, jak kiedy się ją przytacza i cytuje. Polacy nie są — i to jest z gruntu fałszywem w wywodach p. Kościelskiego — ludem, pokrzytym siłami i ranami. Mają oni wszelkie znamiona pnącej się w górę burżuazji.

«Dają oni naprzód, a taki lud i taka pnąca się w górę burżuazja mało nadaje się do urządzania powstań. Panowie! przy wskazywaniu na radykalizm prasy, niebezpieczeństwo tkwi w tem, że się odwraca uwagę od punktu najgłośniejszego. Tym najgłośniejszym punktem nie jest groza oderwania się i rewolucja, czego obecnie nie należy się ze strony polaków obawiać. Niebezpieczeństwem jest ich wzmaganie się ekonomiczne. Już za czasów Bismarka pytano się, zżąd oni na to biorą pieniądze? Czy na owe miliony, jakie posiadają polskie kasy, banki i spółki nie składają się w znacznej części *pieniądze zagraniczne*? Nie śmiem przesądzać i nie wiem tego. Bądź co bądź panuje przekonanie, iż tej systematycznej i w swoim rodzaju wspaniałej akcji nie należy przypisywać wyłącznie funduszom krajowym. *Powolne, żywiołowe słowiańszczenie wschodu — to najważniejsze zagadnienie!* Wierzę też bezwarunkowo p. prezesowi ministrów, iż nie jest wcale zamiarem rządu germanizowanie polaków kosztem ich języka i wiary. Jakkolwiek daleko stoję od ks. Radziwiłła, to jednak sądzę, iż pod tym względem ma on słusność, twierdząc, że toby tego dokazał, ten istotnie zgryzłby granit. Nie uważam za możliwe próby odebrania polakom ich religji i mowy. «Polityka jest sztuką możliwości». Te dawne słowa Bismarka powinniśmy mieć w pamięci. Wobec niezmiernie wybitnego poczucia narodowego tak wielkiego ludu (zdaje mi się, że liczy 16 milionów, czy nawet więcej), uważam taką dążność za niemożliwą. Dlatego z zadowoleniem przyjmuję oświadczenie p. prezesa ministrów, iż rząd państwowy dalekim jest od zamiaru uciskania polaków jakimikolwiek szykana-

mi policyjnemi. Przez tego rodzaju ma-łostkowe środki nie zmieniliby się ani jeden polak».

P. Witting dowodzi, iż polacy nie są traktowani, jako «obywatele drugiego rzędu». Dowodem — ich olbrzymi postęp ekonomiczny. Dalej p. nadburmistrz poznański twierdzi, iż p. Kościelski, w którego lojalność wierzy, jest odosobnionym. Niedawno w teje Izbie panów wygłosił on mowę, którą Niemcy uznali za nieprzyjazną, a jednak mowa ta doznała jaknajostrzejszych zacepek ze strony prasy polskiej.

«Chciałbym także do p. Kościelskiego i tych panów, którzy jeszcze mówią imieniem polaków, zwrócić zapytanie: Kto stoi za panami? Nikt nie stoi za panami! Jesteście panowie oficerami bez żołnierzy. Już oddawna ruch polski przestał być arystokratycznym. Czasy te minęły bezpowrotnie! Ruch polski jest dzisiaj radykalno-demokratycznym. Chocyste panowie dzisiaj usunęli całe duchowieństwo, to nie zmieniliby to w niczem ruchu polskiego».

Polacy — według p. v. Wittinga — przestali również być stronictwem *Kościelnem*. A gdy tak wygląda ruch polski, coż należy czynić? Przeciw *powolnemu słowiańszczeniu* i polonizowaniu wschodnich prowincji pruskich p. v. Witting widzi dwa środki: należy sprowadzać jaknajwięcej osadników niemieckich i dokładać wszelkich starań, aby ich na miejscu utrzymać. Ku pierwszemu celowi zmierza polityka kolonizacyjna. Drugi cel osiągnąć będzie można jedynie przez ekonomiczne i kulturalne podniesienie dzielnic polskich. Dla każdego większego miasta i dla każdego okręgu należy ustanowić program: Co można zrobić, aby zatrzymać tutaj ludność niemiecką?

«Chciałbym również ostrzedz przed wszelką nadzieją germanizowania, i zdaje mi się — to wypowiedział już p. Miquel często — że szkoła także nie jest miejscem germanizowania. Polski chłopiec uczy się w szkole po niemiecku tak samo, jakby się uczył był łaciny, jako obcego języka. A jednak szkoła ma najdonioślejsze znaczenie w połączeniu ze szkołą uzupełniającą i z wojskiem».

P. v. Witting radby, aby zachód monarchji pruskiej nie pożalował milionów i miliardów na rzecz wschodniej «kolebki państwa pruskiego».

Obok niewątpliwych prawd, jakie mieszczą się w przemówieniu nadburmistrza poznańskiego, trzeba napiętnować rzucaną przezeń denuncjację o napływie «kapitałów zagranicznych», które mają wpływać na «słowiańszczenie wschodu monarchji pruskiej». Spokojny zazwyczaj «Dzien. Pozn.» tak się wyraża o tym postępkach p. v. Wittinga:

«Ale czy też namyślił się p. Witting, że arcyprzenikliwym wywodem swym śmiertelnie obraził całe społeczeństwo polskie, które pracuje w pocie czoła,

oszczędza każdy grosz, odejmuje sobie chleb od ust, żeby gromadzić kapitały, a tu naczelny burmistrz m. Poznania staje ponad nim z miną wielkiej przenikliwości i twierdzi: wy jesteście coś naksztali łapowników! Straszna to rzecz! Niechże się nie dziwi p. Witting, jeżeli się spotka z objawami tej obrzydliwej śmierci!

Tkwi też spora garść innych fałszów w tem przemówieniu, np. twierdzenie, że polacy więcej biorą od państwa, niż przyczyniają do jego finansów podatkami.

Dalszy ciąg obrad.

Wielu mówców jeszcze zabierało głos w kwestji ustawy: Książę Hatzfeld namawiał do energicznej polityki przeciwpolskiej; hr. Hoensbroech dowodził, że centrum nie powinno wspierać swemi wpływami polaków, którzy nie katolickie, ale narodowe cele mają na widoku; książę Ernest Günther Szlezwig-Holsztyński, szwagier cesarza Wilhelma, twierdził, iż w Poznańskie trzeba posyłać więcej «gentlemenów». Oświadczenie to podnieść należy, albowiem tkwi w niem wyraźne wyznaczenie, iż teraźniejszym władzom pruskim w ziemiach polskich «dżentelmenem» jest zupełnie nieznaną. Nadburmistrz gdański, p. Delbrück, wygłaszał poprostu hymny radości na cześć ustawy. Członek centrum, hr. Droste-Vischering, stanął wymownie po stronie polaków. Wreszcie ks. Herbert Bismark powiedział swoim zwyczajem kilka «aforyzmów». Niefortunna latorość żelaznego kanclerza na ten raz przestrzegala przed energią polek... Odważny rycerz chciałby namówić rząd do specjalnej krucjaty przeciw kobietom polskim.

Poczem projekt rządowy odesłany został, według regulaminu, do komisji.

Trzecie czytanie projektu.

W ciągu jednego dnia załatwiła się z ustawą komisja. Przyjęła projekt bez zmiany. I zaraz w ubiegłą sobotę nastąpiło trzecie czytanie.

Rozprawy nie budziły już takiego zainteresowania, ponieważ główne argumenty za i przeciw zostały wygłoszone. Jednakże i to posiedzenie było ożywionem. Ze strony polskiej «na szanach» stanął tym razem sędziwy hr. Mieczysław Kwilecki, poddając ostrej krytyce wieczne zale ministrów, jakoby Niemcy w Poznańskim byli uciskani przez polaków. Nieprawdziwymi są opowiadania o agitacjach polskich. Fałszem są zarzuty, miotane przeciw duchowieństwu polskiemu. W 1870 r. wiedziano jak się można pozbyć polaków: wysyłano ich pierwszym w ogień. Dziś nie jest to możliwe. Dziś rząd szuka innych dróg, by tępić to, co nazywa «polską zaro-

zumiałością». Ale nic z tego, bo narodowości nie można tak zmienić, jak się zmienia stary paltot.

Przemówienie hr. Kwileckiego rozdrażniło bardzo wojowniczego ministra Rheinabena, który odpowiedział kilkoma pustymi, lecz szumnymi frazesami. Dostojne zgromadzenie czekała wszakże jeszcze jedna niespodzianka, która wywołała silne wrażenie. Gdy przyszło do głosowania, ks. Antoni Radziwiłł, blizki krewny cesarza, generał artylerji pruskiej i adjutant monarchy, podniósł się z krzesła. Ks. Antoni Radziwiłł nie miesza się nigdy do dyskusyj polskich, do rozpraw politycznych; cieszy się wielką przyjaźnią i uznaniem cesarza Wilhelma; u dworu jest poniekąd domowym. Co powie?

«Chcę objaśnić, dlaczego będę głosował przeciw projektowi—rzekl.—Wszędzie, gdzie granice polityczne nie są w zgodzie z narodowymi, rząd powinien starać się o pogodzenie narodowych przeciwieństw. Obawiam się, iż obecny projekt nie w tym kierunku działać będzie, lecz przeciwnie, będzie zaostrzał jeszcze te narodowe przeciwieństwa!»

I książę Antoni Radziwiłł głosił przeciw projektowi rządu. Był to sensacyjny moment posiedzenia.

Ustawa przeciwpolka, jak można było się spodziewać, została przyjęta znaczną większością głosów. Dziś jest faktem dokonany.

Gordon.

ECHA MALBORSKIE.

Cesarz Niemiec, zjednoczonych w Wersalu, wódz najwyższy trzech milionów żołnierzy, *summus episcopus* kościoła pruskiego, jest człowiekiem wielostronnie uzdolnionym. Strategik, kaznodzieja, kompozytor, dramaturg, malarz, mówca—wśród i zawsze objawia niepospolity lot wyobraźni i szybkość decyzji.

W chwili, gdy Europa drży przed znikomem widmem Chin, cesarz wznosi groźny okrzyk i posyła tysiące teutonów, aby pięścią opancerzoną poskromili dzicz mongolską; i oto w imieniu poskromionych brat bogdychana bije czołem w Poznaniu. Na okęcie, wiozącym Wilhelma II na odpoczynek do fjordów norweskich, cesarz sam wygłasza kazania do załogi, zaś nadwornemu pastrowi zaleca kazać nie dłużej nad 15 minut. Układa hymn do Aegira, tworzy dramaty, szkicuje plany i rozkazuje malować obrazy swego pomysłu. A przedewszystkiem wygłasza mowy: do wojsk, do marynarzy, do studentów, do burmistrzów, nawet do pogorzalców w Wisztyńcu.

Wysokie dostojęstwo monarsze,

dźwigane zawsze z powagą i majestatem przez innych władców świata, cesarz niemiecki umie dźwigać z dumą i blaskiem. Ale też umie zejść z tronu i stanąć wśród tłumu. Umie tak czuć i mówić, jak zwykli prusacy, jak przeciętny członek «Ostmarkverein». W Malborgu z poczuciem iście malarskiem inscenizuje uroczystości, pełne przepychu, Wzywa swoje społeczeństwo germańskie do obronnej walki z całym żywołem polskim, awięc i słowiańskim.

Trudno zrozumieć pobudki, które popchnęły cesarza Niemiec do tego kroku. Są tacy, którzy chcą złożyć to na karb jego temperamentu. Inni chcą przypisać ten objaw jakiegoś dziwnemu zapalowi bojowemu, który ogarnął monarchę; inni wreszcie sądzą, że cesarz tak mówił pod wpływem doradców swoich, bawiących się tanim kosztem w zwalczanie «niebezpieczeństwa polskiego» i szukających popularności. Niebezpieczeństwo to stworzyli poniekąd sami ministrowie, bo polityka ich—jak mówi Delbrück—«rozpala zarzewie wojny wewnętrznej w kościele, w szkole, w sercach nawet dzieci». Wrażliwy monarcha Niemiec, wciąż słysząc dokoła o widmie «niebezpieczeństwa», mógł łatwo przejąć się tą atmosferą niepokoju i powtórzył na zamku malborskim słowa, które od lat kilku nie schodzą z ust mówców i dziennikarzy hakatystycznych: «brońmy się przeciw zuchwałości polskiej».

Cokolwiekby, jest faktem, że sympatje władcy Niemiec są po stronie hakatystów. To symptomat groźny. Mimowoli przychodzi na myśl okrzyk Bebla, który słyszano niedawno w parlamencie Rzeszy: «Smutne to jest zaiste, że osobiste względy odgrywają u nas ważniejszą rolę w najkardynalniejszych kwestjach państwowych, aniżeli zasady prawa». Taką właśnie najkardynalniejszą kwestją w Prusach jest—podług Bülowa—kwestja polska. Dziś na jej bieg wpływają już osobiste popędy cesarza Wilhelma. I pomimo wszelkich dociekań psychologicznych, nie umiemy dziś rozwiązać dylematu: czy to przemijający objaw, czy może przeczucie blizkiego rozrachunku dziejowego dwóch światów: germańskiego i słowiańskiego? Tę zagadkę rozwiąże przyszłość: czekajmy w spokoju.

Depesze cesarskie.

Cesarz Wilhelm nie ograniczył się na toastach w Malborgu, lecz i w telegramach, wysłanych do monarchy angielskiego (z powodu przysłania deputacji «Johannitów» angielskich) oraz do arcyksięcia Eugenjusza wypowiedział raz jeszcze myśl swoją.

W telegramie do króla Edwarda cesarz wspominał o rycerzach angielskich, którzy pod wodzą Bolinbroka, późniejszego Henryka IV, walczyli ramię przy ramieniu z krzyżakami na ziemi pruskiej przeciwko «poganom». Na to doszła oględna odpowiedź od króla Edwarda:

«Cieszę się, że uroczystość poświęcenia kaplicy zamkowej odbyła się tak pięknie, i wdzięczny jestem za łaskawe przyjęcie rycerzy angielskiego zakonu św. Jana. Niechże w zgodzie i pokoju działają dalej przy boku rycerzy zakonu niemieckiego».

Telegram cesarza do arcyksięcia Eugenjusza zawierał taki ustęp:

«Wiadomo ci, jak wysoko cenię zasługi starych rycerzy niemieckich około rozwoju mej ojczyzny, i jak się staram o wskrzeszenie i pielęgnowanie ich pamięci przez odrestaurowanie wspaniałego zamku malborskiego. Oby zamek ten stał się w przyszłości celem pielgrzymek dla każdego Niemca, który w niej pragnie ożywić i wzmocnić swoje poczucie niemieckie. Nieobecność twoja napelniała nas żalem».

Arcyksiążę odpowiedział na te wynurzenia:

«Oby odnowiony pod opieką waszej cesarskiej mości zamek malborski pozostał w najdalsze wieki symbolem chrześcijańskiej miłości bliźniego, szlachetnego ducha monarszego i sztuki niemieckiej».

Przypuszczać można, że w ten sposób dano umyślnie do zrozumienia władcy Niemiec, iż uroczystość malborska dla Austrii i austriackiego zakonu rycerzy niemieckich inne ma znaczenie. Zastępujący w Malborgu nieobecnego arcyksięcia jen. Bechtolsheim, w odpowiedzi na wojowniczy toast Wilhelma II, odrzekł bowiem wymijająco:

«Stary niemiecki zakon, pokonawszy pogaństwo w tych krajach, już spełnił swe zadanie i odtąd wrócił do pierwotnego swego (w Jerozolimie) powołania, to znaczy wyłącznie do wykonywania samarytańskiego miłosierdzia».

O tekst mowy.

Pismo gdańskie, «Danziger Ztg», donosi, że cesarz Wilhelm w Malborgu dosłownie powiedział: «*Polnische Freiheit und sarmatische Annassung*». Jest to zwrot oczywiście jeszcze ostrzejszy, a słowa «*sarmatische Annassung*» skierowane są już nie przeciw samym polakom, ale przeciw słowianom wogóle. «Dzien. Pozn.» sądzi, że widocznie przez wzgląd na Rosjan, którzy także do sarmatów się zaliczają, hr. Bülow, który osobisty brał udział w festynie malborskiej, w urzędowym tekście wyretuszował brzmienie mowy, umieszczając tylko wyrazy: «*Polnischer Uebermuth*». «Dzien. Pozn.» przypuszcza, że wyrażenie: «sarmackie uroszczenia» dowodzi, iż polacy byli w tym wypadku tylko figurą retoryczną, rodzajem *pars pro toto*.

«Są to jednak kwestje szerokiego znaczenia i dalekich horyzontów—dodaje «Dzien. Pozn.»—Wyczerpać ich na tem miejscu niepodobna. Kto wszakże patrzeć chce na położenie rzeczy nie z stanowiska pewnej partji czy koterji, nie z punktu widzenia uspra-

wiedltwionej czy nieusprawiedliwionej sympatji lub antypatji, ale ze stanowiska silniejszej od tego wszystkiego dziejowej konieczności, ten musi przyjść do przekonania, że spór nieublagany, walka zacięta, na którą składały się wieki, wybuchły na całej linii, i że chwila ta jest może bliższą, aniżeli się to naporóż wydaje. Każdy moment, w którym odsłania się, dokąd właściwie zmierza prąd, zwany w ostatnim czasie wszechniemieckim, zbliża tę chwilę stanowczą».

Za taki moment historyczny uważa «Dzien. Pozn.» mowę malborską.

Geneza mowy.

Korespondent berliński «Czasu» tłumaczy wystąpienie Wilhelma II jego temperamentem. Do wygłoszenia ostrych słów w Malborgu spowodować miał go poseł Chrzanowski, gdy niedawno wyraził w sejmie pruskim, że wojsko, które rząd wysłała do Wrześni, przyniesie z sobą «pruską zarazę». Cesarz wtedy miał zawołać:

«Mogą krytykować mój rząd, mogą wymyślać na rozporządzenia ministerjalne. Ale od wojska mego wala!» Od tego czasu zawziętość cesarza Wilhelma przeciw polakom weszła w nową fazę. Mówią nawet, iż pośpiech, z jakim wniesiony został do sejmu projekt ustawy przeciwpolkiej, jest w łączności z tą nagłą wzmoczoną zawziętością».

Korespondent sądzi, iż mowę tę trzeba brać raczej jako akt *psychologiczny*, niż jako akt *polityczny* znaczenia; dodaje jednak, że niepotrzebnem byłoby drażnić «tę siłę, która może rzucić na ludność polską nowe klęski i prześladowania».

W PARLAMENCIE WIEDENSKIM.

Protest Kłofacza.

Dzienniki wiedeńskie i biuro telegraficzne Wolfa podały w streszczeniu opis znanego zajścia w parlamencie austriackim w d. 10 czerwca, spowodowanego protestem radykalnego posła czeskiego Kłofacza przeciwko mowie malborskiej cesarza Wilhelma. Oto niektóre ustępy z przemówienia Kłofacza, który wniósł zapytanie, jak się zachowa rząd austriacki wobec mowy cesarza Wilhelma:

«Wielomówny cesarz niemiecki stanął znów na czele wszechniemieckiego ruchu i użył wyrażen, które dotychczas słyszano jedynie z ust mówców wszechniemieckich. Jeżeli przeciętny człowiek mówi o «polskiej bezczelności» i «sarmackiej bucie», jest to tylko dowodem niepełnego wykształcenia. Gdy atoli wyrażenia takie padają z ust monarchy, za którego dynastję pod Sedanem płynęły strumienie krwi polskiej, to wnosić z tego można, iż buty gdzieindziej szukać należy, oraz że cesarz niemiecki objawił się światu nietylko jako wszechniemiecki zwolennik, ale także jako osoba obca wszelkiemu poczuciu zgody. Cesarz niemiecki mówił tym razem nietylko o polakach, lecz w obecności wysokiego austriackiego dygnitarza wzywał Niemców także po za granicami Rzeszy niemieckiej do walki przeciwko słowianom...»

Gdy prezydent odebrał mówcy głos, poseł czeski *Fressl* zawołał: *pfuj! Hohenzollern!* Wszechniemiec *Schoenerer*: Nie drżycie tak ze strachu, nie bójcie się! Gdy słyszycie

coś o cesarzu niemieckim, padacie zaraz z trwoگی...

Posel *Berger* i *Malik* (wszechniemiecy): Poczekajcie, Hohenzollernowie przyjdą i na was...

Posel *Choc* (radykał czeski): Jesteście sługami cesarza niemieckiego!... (*warsawa*).

Nazajutrz, otwierając posiedzenie, prezydent Izby hr. Vetter oświadczył:

«Widzę się zniewolonym powrócić do wczorajszego zapytania posła Kłofacza, wyostrowanego przy końcu wczorajszego posiedzenia. Dopiero po zamknięciu posiedzenia mogłem poznać to zapytanie w dokładnym brzmieniu ze stenogramu. Wobec panującej wrzawy i niepokoju w Izbie, nie mogłem słyszeć poszczególnych wyrazów i zrobić użytek z przysługującego mi prawa dyscyplinarnego.

«Wyrażam tedy najżywsze ubolewanie z powodu ubliżającego godności Izby zajścia; szczególnie ubolewam, że pierwiej nie mogłem zrobić użytku z mego prawa dyscyplinarnego». (*Protesty i warsawa* u czeskich radykałów).

Wkrótce potem prezes ministrów Koerber udzielił parlamentowi następującego wyjaśnienia z powodu interpelacji Kłofacza:

«Panowie! Pod koniec wczorajszego posiedzenia, gdy mnie już na sali nie było, rozegrała się scena, o której muszę pomówić. Oświadczam, że słowa, jakie tutaj padły—pomijam z góry osobę, do której się to odnosi—że rząd słowa to odpiara z oburzeniem, żalem i smutkiem. Nie mam prawa badać motywów i celu słów, które tutaj wczoraj padły, musi mi jednak przysługiwać prawo cenzury następstw, albowiem rząd jest przedstawicielem państwa wobec całej zagranicy. Jakżeż to wobec pomienionych wypadków panowie wyobrażacie sobie powinność i obowiązek odpowiedzialnego rządu? jak wyobrażacie sobie stosunki do jakiegobądź państwa, jeżeli tutaj, w parlamencie austriackim, głowy państw zagranicznych, dzisiaj ta, jutro inna, narażone są na obelgi? Wczoraj wystąpiono przeciw sprzymierzeńcowi wienemu monarchji naszej od chwili wstąpienia jego na tron. Sprawy takich zajęć wykraczają ciężko przeciw własnemu państwu, chociaż, co prawda, polityki państwowej na zewnątrz nie nadwiera. Wśród tych okoliczności stanowisko rządu określone jest jasno. Nadaję mu wagę oświadczeniem, że odmawiam odpowiedzi na wystosowaną do mnie z tego powodu interpelację».

Stanowisko Koła w Wiedniu.

Organ narodowej demokracji galicyjskiej, «Nowa Reforma», wyraża wielkie niezadowolenie z milczenia «ugodowego» Koła polskiego w Wiedniu w sprawie mowy malborskiej. Oto, co czytamy w tym dzienniku:

«Koło polskie nie mogło przeciw treści mowy malborskiej wystąpić w tym tonie, jak to uczynił poseł Kłofacz. Ale miało ono, nawet pod względem formalnym, prawo i obowiązek, zapytać prezydenta ministrów, z jakiego tytułu cesarz niemiecki wygłasza do wszystkich Niemców, a więc i do austriackich, apel, aby stawali do szyku bojowego przeciw polakom? Jeżeli nam niema być wolną mieszać się w rzekomo «wewnętrzne sprawy» Prus i Niemiec, gdy upominamy się o krzywdy naszych rodaków, to niechże ten zakaz obowiązuje także stronę przeciwną. Ale żeby stronie przeciwnej wolno było, i to w formie jaknajbardziej urzędowej, bo zatwierdzonej później przez kanclerza Bülowa, rzucić zarzewie domowej wojny w granice Austrii, tego już przecieć zawiele. A Koło polskie dopuściło się zaprzepaszczenia naszych in-

teresów narodowych, gdy prowokację malborską zniósł w milczeniu“.

Przeciwko podobnym skargom na Koło występuje energicznie «Gaz. Narodowa», organ namiestnika Galicji. Podnosi ona z uznaniem, że w tak trudnej chwili Koło zachowało powagę i wymowny spokój. Wystąpienie Kłofacza «Gazeta Nar.» nazywa krzykactwem radykalizmu.

PRASA POLSKA W PRUSACH.

Mowie malborskiej poświęca «Kurj. Pozn.» następujące słowa:

„Z ust następcy Albrechta Brandenburskiego, władcy Prus i Niemiec, padły na uszy w Malborku słowa, które bolesnym echem odezwą się w całej zachodniej Polsce. O polskiej swawoli i obronie niemieczyny przed nią mówili w sali biesiadnej zamku krzyżackiego, krzyżaków na ziemi pruskiej następcy... Konstatujemy tylko fakt dziejowy, że monarcha germański wobec słowiańskiego narodu, zamieszkującego wschodnią granicę jego państwa, uznał za stosowne wystąpić nie przeciw jakimś stronnictwu polskiemu, ale ogólnikowo przeciwko swawoli polskiej. Wszystkich zatem polaków te słowa dotykają. Nikt z nich nie jest wyłączony, nawet ci, którzy o wzmacnianiu uczuć monarchicznych się odzywali“.

«Dziennik Poznański» pod pierwszym wrażeniem nazwał nieprzejawną apostrofę monarchy

„tak wymowną, że jakiegokolwiek komentarze mogłyby tylko osłabić wrażenie tej antypolskiej mowy cesarza Wilhelma II.“

„Czegóż się doczekamy w Poznaniu? Spuszczajmy okien naszych zasłony, żeby świat nie widział naszych wątpliwości“!

«Wielkopolanin» oświadcza zupełnie otwarcie:

„Najważniejszym jest, że ta mowa przekona wszystkich, co cesarz o nas myśli i jakie zajmuje stanowisko wobec polaków.“

„Wyraźniej tego cesarz niemiecki zaznaczyć nie mógł.“

„Jest to ważnym dla naszego zachowania się w czasie pobytu cesarza w Poznaniu; zachowamy się spokojnie, to jest usuniemy się zewsząd, nawet z ulicy“.

Poznańska «Praca» o przemówieniu malborskim pisze:

„Największą jego osobliwością jest to, że nie zdarzyło się dotąd, iżby władca nad krajem, zamieszkanym przez obywateli dwóch różnych narodowości, udzielał w różny podniety jednej części poddanych przeciwko drugiej... Zawsze lepiej dla ogółu poddanych i dla państwa, gdy różnorodność w niem żywiły w czasie pokojowym same między sobą układają i ustalają sobie wzajemne stosunki“.

«Dziennik Kujawski» pisze, że cały naród polski słowa cesarza utrwalił sobie w pamięci:

„Ośm lat temu w Toruniu udzielił nam napomnienia, dzisiaj obwinia nas o zarozumiałość, krzywdzenie niemieczyny, jej „sztuki i obyczaj“ i, oraz wzywa niemieców na wały obronne. A słowa te są wymierzone nie tylko przeciw nam, pod berłem pruskim, ale przeciwko wszystkim polakom.“

«Dziennik Berliński» widzi w mowie malborskiej dowód, że polacy znaczą coś w konfiguracji politycznej, jako naród:

„Powołuje cesarz „swój“ naród do walki; przyznaje tem samem, w przeciwieństwie do ministrów pruskich, którzy zaznaczyli, że w Prusach jest tylko jeden naród nie-

miecki, że istnieje w obrębie państwa inny naród—wrogi niemiecom naród polski. „Nie jesteśmy wrogami ich narodowości, jesteśmy tylko przeciwnikami ich, skoro występują w myśl tradycji krzyżackich, zaborecznych, w celu pochłonięcia naszego narodu.“

„I nie ustąpimy“.

Przytaczamy jeszcze głosy kilku polskich organów ludowych, wychodzących w Prusach.

«Gazeta Olsztyńska»:

„Końcowy ustęp mowy cesarza Wilhelma, skierowany przeciw polakom, aż nadto może nas przekonać, jakimi uczuciami monarcha niemiecki wobec nas jest przejęty. Jeżeli pod tym względem panowały jakie złudzenia, to cesarska mowa w Malborku zapewne je rozchwiewa. Nas, polaków, takie mowy nie mogą zastraszyć, gdyż narodowość nasza od Boga zależy“.

«Gazeta Gdańska»:

„Wiemy tylko, że niemieczyna następuje na nas całą siłą, że od kolebki naszej aż do mogiły czyha na nas germanizacja i niechęć niemiecka, i że do nieszczęść naszych w Prusach zachodnich przylączyło się teraz nowe, najpotworniejsze: germanizacja przez kościół... Czas najwyższy, abysmy wszyscy poczuli się wreszcie do obowiązku obrony, mianowicie przez szerzenie dobrych gazet polskich. Ze my bronimy skarbow i świętości naszych, tego nam nikt za złe brać nie może i z drogi takiej też nikt nie zawróci“.

«Gazeta Opolska»:

„Osobliwie i tak do sadne wystąpienie głowy państwa przeciw nam, wszystkim polakom, całej ludności polskiej, jest — pomimo swego bolesnego znamienia—świadcstwem, stanowiącym dla nas niemałą otuchę. Niedawno jeszcze starano się w nas wzmocnić, iż już nas niema, są tylko „po polsku mówiący prusacy“, z którymi już liczyć się nie potrzeba. Tymczasem z najwyższego miejsca zaprzeczono temu stanowczo, co świadczy, że polacy są nie tylko narodem z wielką przeszłością historyczną, ale i dziś jeszcze posiadającym tak wielką siłę ducha i żywotności, iż warto im jaknajrozszyślej, z najpoważniejszego miejsca i w najpoważniejszej chwili wypowiedzieć energiczną wojnę“.

«Nowiny Raciborskie»:

„Słowa cesarza niemieckiego Wilhelma II dotykają nas bardzo boleśnie, bo nie pociągamy się do żadnej winy. Ale słowa te nie zmieniają naszego postępowania dotychczasowego. Jak dotąd, tak i nadal nie przestaniemy bronić naszej polskości i naszych narodowych skarbow polskich do ostatniego tchu“.

«Katolik» i «Dziennik Szlązki»:

„Nie pierwszy to raz, że dzisiejszy monarcha pruski wystąpił przeciwko polakom. Kilka lat temu cesarz Wilhelm zjechał do Torunia, także w Prusach Zachodnich, i tam na rynku toruńskim z konia wypowiedział także mowę przeciwko polakom. Od tego czasu minęło kilka lat. Mowa cesarska została z konia wypowiedziana, a my, polacy, jak żyliśmy, tak żyjemy, jak pracowaliśmy, tak pracujemy w poczcie czoła nad podźwignięciem naszym narodowym i ekonomicznym, a pracujemy w jaknajtrudniejszych warunkach—i to na pociechę całego żywotu polskiego stwierdzić można, że nie idziemy w dół, tylko w górę.“

„Przed mową cesarską w Toruniu nie mieliśmy Września, mowa malborska wypowiedziana została po Wrześniu, z powodu której cały świat cywilizowany stanął po stronie ludności polskiej, znajdującej się pod berłem pruskim. Wrzesień pobudziła cały naród polski. Ten naród żyje i żyć będzie tak długo, dopóki Panu Bogu podobać się będzie i dopóki ten naród sam na sobie nie popełni samobójstwa politycznego, to zna-

czy, że tak długo żyć będzie, dopóki pilnować i bronić będzie swych praw polskich, narodowych, wzmacniać w sobie swe siły narodowe“.

OPINJA NIEMIECKA.

Wśród hakatystów poznańskich mowa cesarza w Malborku sprawiła radość. «Posener Tageblatt» pisze: „Nową otuchę w ciężkiej walce czerpać będą z tej mowy niemiecy na kresach wschodnich, mając uzasadnioną nadzieję, że nigdy już nie nastąpi fatalna chwilejność w polityce na kresach wschodnich, jak to w ubiegłym wieku niestety kilkakrotnie się zdarzało, a co zbyt gorzko się pomściło za każdym razem“.

W jaki sposób objawiają swe zadowolenie pisma, wrogi zasadniczo polakom, przykładem być może głos «Tägliche Rundschau», która wyraża swoje zapęły tak:

„Zaiste księżca była to uczta, podczas której przejawiała się powaga czasów (?) i podczas której nie dworskie, tylko niemieckie uczucia odgrywały rolę. Kto to uznaje, ten zaliczy malborskie mowy nie do rzadkości, lecz do poważnych objawów chwili, które przygotowują do czynów“.

Niektóre dzienniki zapatrują się na przyszłość z pewną trwogą. Np. «Berl. Ztg» pisze:

„Niestety, możemy ztąd spodziewać się tylko zaognienia przeciwności w dzielnicach polskich, które nasbardziej, niż kiedykolwiek, oddala od rozwiązania sprawy polskiej“.

Ludowa prasa niemiecka oświadcza się przeciwko mowie malborskiej.

Omawiając pokojową politykę w Alzacji i wojową w Poznańskim, katolicka «Koelnische Volks-Ztg» pisze:

„Hrabia Bülow, który zawsze występuje w sposób nader cięty, skoro chodzi o polaków, zapewniał nas wielkim głosem, że mowa malborska wypływała z poczucia obowiązku monarchy, ponieważ tu chodzi o jednolitość pruskiej monarchji. Mówią, wprawdzie, że mieszkańcy Alzacji i Lotaryngji są lojalni, nie zagrażają całości państwa, nie dają do oderwania niektórych jego części, polacy zaś są coraz oporniejsi, okazują coraz więcej nienawiści do niemieczyny i do państwa pruskiego i dają z całej siły do oderwania się od niego. W tem może być coś prawdy. Ale przeczmy temu, iżby polaków można pozyskać i pogodzić ich ze stanem rzeczy innym traktowaniem, aniżeli mieszkańców Alzacji i Lotaryngji. Ustawy wyjątkowe, uposledzanie, niesprawiedliwość wszędzie wywołują nienawiść i nieprzyjaźń, a nie miłość i zaufanie. Polaków wogóle jeszcze nigdy nie traktowano przychylnie, lojalnie i sprawiedliwie, albo przynajmniej działało się to w czasie tak krótkim, że dobroczynny wpływ tego traktowania nie mógł się okazać w większych rozmiarach. W dodatku mieszkańcy Alzacji i Lotaryngji są w większej części Niemcami i dawnymi poddanymi cesarstwa niemieckiego, przeto przy ich pozyskaniu współdziała natura i historia; polacy zaś mają inną narodowość i bogatą własną przeszłość państwową, a pogodzenie się ich z twardą rzeczywistością jest o wiele trudniejsze. Tem bardziej więc trzeba dojść do przekonania, że przez szorstkie i niesprawiedliwe traktowanie pozyskać polaków niepodobna“.

Mowa cesarza w Malborku—zdaniem dziennika «Märkische Volkszeitung», należy do tych licznych mów cesarskich, na które godzić się nie można.

„Jeżeli już było koniecznym, ażeby obok pracy kulturalnej niemieckiego zakonu wskazać w tej mowie na wschodzie, to życzylibyśmy sobie tego, ażeby się to było stało w rozumieniu pojednawczym. Była właśnie odpowiednia chwila do wypowiedzenia słów pojednawczych. Zamiast tego padły z ust cesarza słowa, które polacy przyjmują jako wypowiedzenie walki. Mamy w Prusach 3 miliony polaków. Dotąd mogli oni mieć nadzieję, że w końcu cesarz powstrzyma politykę swoich ministrów,—przyznając im, że zezwala na nią z oporem, bo okoliczności zewnętrzne do tego go zmuszają, żywi jednak dla swych polskich poddanych te same uczucia, co dla niemieckich, i ostatecznie położy kres wszystkim nieporozumieniom. Teraz wszystko się skończyło“.

Lipski «Volksblatt» pisze, co następuje:

„Dziwnem jest, że odpowiedzialni doradcy korony nie odradzili cesarzowi właśnie w Malborku i na uroczystości, poświęconej pamięci zakonu krzyżackiego, mówić o „polskiej zuchwałości“. Wiadomo przecież, że zakon niemiecki, który główną swoją siedzibę miał w Malborku, słowiańskie narody sąsiadnie z „niemiecką zuchwałością“ tak długo dręczył i prześladował, aż polacy mu wszystkie jego zbrodnie z procentami należycie odptacili, mianowicie w strasnej bitwie pod Tannenbergiem 15 lipca 1410 r. Nigdy oręż polski nie miał świetniejszego dnia, jak ten, w którym „niemieckiej zuchwałości“ tę gruntowną wymierzył karę. Z niemieckiego zakonu dziś nie pozostało ani śladu na niemieckiej ziemi, i aby hulaśliwymi festynami w odbudowanym Malborku ożywić statystami, trzeba było sprowadzić członków zakonu św. Jana, który przechował się aż do dni dzisiejszych, jako zabawka i sport junkrów. Jeżeli zresztą ten klub szlachecki ma reprezentować naród, który cesarz nawołuje do obrony dóbr narodowych, to „polska zuchwałość“ nie potrzebuje się go obawiać. Kanclerz Rzeszy złym był doradcą korony, gdy jej zalecił wydać w Malborku taką odezwę. Lud niemiecki nie weźmie udziału w tej walce, woli on ze zdumieniem przypatrywać się, jak bohaterki kanclerz Rzeszy chwytą w żyłastą dłoń sztandar zajęczy i z śmiertelną odwagą idzie w bój wśród grzmiotów hasła: „Hajże na królików!“

Ludowe pisma niemieckie w Austrii zajęły również nieprzychylnie stanowisko wobec mowy malborskiej. «Linzer Volksblatt» pisze: „Jakie stanowisko ludność Rzeszy niemieckiej zajmie wobec tej mowy, to jest jej rzeczą. Stanowisko Austrii jednakże wobec trójprzymierza stało się przez tę mowę jeszcze trudniejszym. Jakże będzie można utrzymać to przymierze, skoro się w ten sposób wypowiedzia walkę polakom? Najnowszą mowę cesarza uważać trzeba ze względu na nasze mocarstwo za bardzo nierozważną manifestację. A wydaje nam się jeszcze bardziej nieszczęśliwą wobec faktu, że wypowiedziana została wobec generała austriackiego, który na czele polskich ułanów dokonał jednego z najślawniejszych czynów wojennych, jakie wykazuje historia nowszych czasów. Jakież atoli mowa cesarska sprawiłaby była wrażenie, gdyby na miejscu jen. Bechtoldsheima stał sam arcyksiążę Eugeniusz“.

W sposób ironiczny omawia wie-deńska «Sonn-und Montagsztg. mowę malborską. Autor artykułu uważa ją za bardzo ważną, jako wygłoszoną po słynnej mowie Wilhelma II przeciwko chińczykom. Zaznaczywszy, że cesarz widocznie nie uważa

wszystkich swoich poddanych za «swój lud», autor pisze:

„Na szczęście nie potrzeba się obawiać, iżby cesarz Wilhelm w taki sam sposób zamierzał prowadzić wojnę przeciwko polakom, jak niedawno przeciwko chińczykom. Polacy niezawodnie nie odczują tak samo krwawo „dobrodziejstw niemieckiej kultury“, w imię której cesarz posyłał wojsko do Chin, jak mieszkańcy niebieskiego państwa. Natomiast przypuszczamy, że ta wojna przeciwko polakom będzie tak samo bezskuteczna, jak walka w Chinach. Proroctwo cesarza, że i za 1,000 lat jeszcze żaden chińczyk nie będzie śmiał „krzywo patrzeć“ na Niemca, wcale się nie spełniła. Dziś bowiem już spogląda każdy chińczyk jeszcze krzywiej na każdego europejczyka, a zwłaszcza na Niemca, niż przedtem. Czyżby rząd pruski wogóle uważał za idealny swój cel, ażeby i polacy, wszyscy bez wyjątku, patrzyli krzywo na Niemców? Zapewne lepiej byłoby, gdyby stosowano do nich politykę inną, a nie tę, której wyrazem był ów nakaz do wojsk: „Nie dawajcie pardonu!“

Autor sądzi, że cesarz Wilhelm, nieobliczalny w swych mowach, może jeszcze kiedyś zawezwać polaków do wspólnej walki z Niemcami przeciw jakimś nowemu wrogowi. Cesarz Wilhelm bowiem z równą łatwością umiał powinszować Krügerowi pobicia Anglików, jak i obecnie Anglikom — pobicia Boerów.

Zaznaczamy jeszcze głos liberalnej i niezbyt polakom życzliwej «Frankfurter Ztg». Organ ten pisze:

„Odwieczajono się już po licznych doświadczeniach, aby polityczne enuncjacje, wypowiedziane przez Wilhelma II w podniesionym nsposobieniu przy rozmaitych uroczystościach, poddawać politycznej krytyce, zwłaszcza jeżeli zawierają bardzo problematyczne wartości wycieczki historyczne“.

Środków antypolskich ten dziennik nie pochwała.

GŁOSY SŁOWIAŃSKIE.

Prasa czeska.

Dzienniki czeskie wszelkich od-cieni poświęciły obszerne artykuły mowie Wilhelma II. «Narodni Listy» piszą:

„Zaiste, nic nie może lepiej charakteryzować nieobliczalności temperamentu i powagi koronowanego mówcy, który dziś rozporządza trzema milionami bagnetów, nad ten ogromny przewrót w jego wyobrażeniach o polakach pruskich, który objawia się w tak drastyczny sposób w najnowszych, drakońskich czynach rządu i sejmu pruskiego przeciw polakom, oraz w brutalnej mowie Bülowa o płodności polskich „królików“. Tak odplaca niemiecka „wierność“ słowianom od wieków. Ileż to krwi przelali polacy na polach walk za Prusy i Niemcy w zeszmle stuleciu! Wojowali w Szlezewiku i Holsztynie, przelewali krew za sprawę Prus w r. 1866 na ziemi czeskiej, obficie lała się krew polska w wojnie za cesarstwo niemieckie na ziemi francuskiej.“

„Wówczas to przelożono im na język polski «Wacht am Rhein», wówczas niemiecy sławili ich za ich wierność i waleczność; ale gdy było już po wojnie, wcieli ich Bismark, wbrew międzynarodowym układom z r. 1815, do nowej swej rzeszy narodu niemieckiego, nie zważając na zastrzeżenia prawnopństwowe i językowe, które gwarantowała polakom pruskim cała Europa. I od-

tań rozpoczęło się nowowiekowe martyrium trzymilionowej mniejszości narodu polskiego pod jarzmem pruskim“.

Dalej «Narodni Listy» podają opis pruskiej polityki antypolskiej od roku 1885.

„Zbieranie kapitałów na zachowanie odwiecznych gniazd rodzinnych, wszczenie dzieciom w świątyni życia rodzinnego ducha polskiego i wychowywanie ich na do-brych polaków, przez uczenie ich pięknej mowy ojczystej i otwieranie przed nimi skarbow dziejów polskich i polskiego piśmiennictwa, Prusy nazywają dziś „zbrodnią i zuchwałstwem, wielkopolską agitacją“, przeciw której Bülow przedsięwzięje najostrejsze środki i przeciwko której z murów twierdzy malborskiej wyzywa się do broni cały lud niemiecki!“

„Września, Malbork i uchwalenie 250 milionów na wykupywanie ziemi polskiej i osadzenie na niej zaufanych Niemców, to zaprawdę granitowe pomniki butnego ducha prusackiego, zalającego rozległe kraje i ciche siedziby słowiańskie „w granicach i po za granicami Niemiec“.

„Czyż daleko—kończąc «Narodni Listy»—od mowy malborskiej do interwencji na rzecz ochrony wszelkich „niemieckich braci“, czy oni będą mieszkali w Kongo, czy nad Dunajem, albo Weltawą? Potrzeba im tylko podnieść kilka bolesnych wykrzykników, a mogą być pewni, że będą w Berlinie wysłuchani“.

Prasa rosyjska.

«Nowosti» zaznaczają, że mowa malborska zwróciła powszechną uwagę:

„Protest energiczny deputowanych czeskich w parlamencie austriackim świadczy o tem, że w Austrii mowie malborskiej nadano znaczenie nie tylko antypolskie, ale i szersze — antysłowiańskie. Zrozumiano ją jako wezwanie Niemców do walki ze słowiańszczyzną. W ten sposób zajęcie to nabrała znaczenia międzynarodowego. Sejm pruski przyczynił się do zaostrzenia stosunków, przez przyjęcie wniosku o asygnowanie 250 milj. marek na cele kolonizacji niemieckiej w ziemiach polskich, należących do Prus“.

„Niepowodzenie dotychczasowej komisji kolonizacyjnej przypisać należy przede wszystkim nienaturalnym i nieludzkim jej zadaniom. Z jakiego powodu i w imię czego kulturalna rdzenna ludność kraju jest traktowana nieledwo narówni z „czerwonoskórzymi“ w Ameryce, których systematycznie „usuwa“? Rzecz prosta, że naród cywilizowany nie może się rzec praw swoich niezaprzechyconych. Na tem polu walki narodowościowej trudno prowadzić politykę, której teraz jął się hr. Bülow, bo im bardziej stanowczą jest polityka pod tym względem, tem większym i bardziej zaciętkim bywa opór, jej stawiany“.

«Nowosti» sądzą, że przyszłość przekona hr. Bülowa, jak dalece błędna jest jego polityka.

Moskiewski «Russkij Listok» nie wierzy w powodzenie planów germanizacyjnych:

„Brutalność polityki niemieckiej jest rzeczą dobrą, gdyż otwiera oczy polakom, którzy zaczynają pojmować, iż jedynym ratunkiem dla nich jest słowiańszczyzna. W wieku bieżącym stoczy się wielka walka między Niemcami a słowiańszczyzną. Kto zwycięży, czy dumny ale przeżyty germanizm, czy młoda i pełna życia słowiańszczyzna—zobaczymy.“

Mowę malborską omawia «Now. Wr.» we wstępnym artykule. Pismo zaznacza, że słowa cesarskie wywo-

lały «oszałamiające» wrażenie wśród ludności polskiej.

„A jednak prawdopodobny rezultat mowy malborskiej nie będzie zbyt pomyślny i dla niemieckiej sprawy we wschodnich prowincjach Prus i dla państwowych interesów niemieckiego cesarstwa. Wśród Polaków niemieckich mowa ta niewątpliwie wywoła wzmożenie walki, znievoli ich do bardziej zważającego oporu przeciw zapędowi pangermanizmu. A za granicami cesarstwa, wśród licznych i wpływowych Polaków austriackich, pojawi się — a według ostatnich wiadomości, już się pojawił — ruch przeciw trójprzymierzu, t. j. przeciw udziałowi w niem Austro-Węgier. Wyzywające zachowanie się wszechniemieckiej partii w parlamencie austriackim, krzyki w czasie przemowy Kłofacza: „Czekajcie: wkrótce wszystko tu będzie hohenzollernowskie“, oczywiście tylko powikłały sytuację. W klubie polskim w Wiedniu jednogłośnie przyjęto rezolucję, aby przy obradach nad budżetem wojennym w delegacjach austriackich, polscy członkowie delegacji zażądali wyzwolenia polityki austro-węgierskiej z pod wszelkiej zależności od polityki niemieckiej, prowadzonej przez Prusy.

„Jeżeli rząd niemiecki nie zmieni zajętej przez siebie pozycji bojowej, to wzburzenie, wywołane przez mowę malborską cesarza Wilhelma, może przejawiać się w formach nader ostrych“.

«Now. Wr.» nie wyciąga dalszych wniosków; twierdzi tylko, że polityka Wilhelma II sprawie niemieckiej we wschodnich Prusach pożytku nie przysporzy.

GŁOSY Z ZACHODU.

Prasa francuska.

Jeden z poważniejszych głosów o mowie malborskiej zamieścił wytrawny dziennik «Journal des Debats»:

„Wilhelm II powiedział, że buta polska chce pognać germanizm, i że jest zmuszony wezwać swój lud do obrony własnej narodowości. Ale ta ostrożność oratorska nie zmyli nikogo i nikt w dalszym ciągu wątpić nie będzie, że celem, do jakiego zmierzają, jest germanizowanie Polaków, poddanych pruskich. Ta wojna, wypowiedziana przez Wilhelma II, miała podwójny, łatwy do przewidzenia wynik. Wewnątrz państwa poddanych polskich nie onieśmieliła bynajmniej, lecz podnieciła do oporu. Na zewnątrz wśród polskich poddanych państw ościennych niechęć przeciw Niemcom, bardzo już żywa od wypadków wrzesińskich, wzmożła się jeszcze znacznie. Zaledwie mowa w Malborku stała się wiadomą. Koło polskie w Radzie państwa zebrało się dla sformułowania protestu i trzeba było zimnej krwi prezesa jego, by manifestacja ta nie przybrała charakteru zbyt niemiłego dla Niemiec. Znaczenie międzynarodowe tej strony kwestji łatwo można zrozumieć, rozważysz, że ze wszystkich żywiołów słowiańskich w Austrii, żywioł polski był jedynym, który dotychczas sprzyjał sojuszu austro-niemieckiemu. Walka, wszczęta przez rząd pruski przeciw poddanym polskim, stanowi czynnik równie ważny w stosunkach międzynarodowych, jak i ze stanowiska wewnętrznej polityki Niemiec“.

Półrządowy «Temps» tak się o tej mowie wyraża:

„Uroczyście odnowienia zamku malborskiego nastąpiła cesarzowi sposobność do ogłoszenia osobistego zapatrywania na kwestję polską w Prusach, bardziej niż kiedykolwiek zaostrożną. Wilhelm II, swoim zwyczajem, wyraził się z największą stanowczością, a mowa jego była taka, jakiej moż-

na było się spodziewać. Hohenzollernowie, spadkobiercy teutonów, z których jeden był wielkim ochmistrem zakonu, zachowują względem Polaków te same uczucia, co dawni rycerze, stróże pochodzącego niemieckiego przeciw zalewowi słowiańskiemu. Mowa Wilhelma II, ożywna tym duchem tradycyjnym, była prawdziwym ogłoszeniem zerwania z żywiołem polskim“.

Niektóre dzienniki francuskie podkreślają charakter antysłowiański mowy malborskiej i jej znaczenie międzynarodowe.

Prasa angielska.

Największy dziennik angielski «Times» potępia zasadę nieubłaganej germanizacji, ogłoszoną przez cesarza Wilhelma II i hr. Bülowa, i czyni przytem uwagę następującą:

„Jakkolwiek niebezpiecznym może być panslawizm, jest on przeciwko zapórą przeciw niebezpieczeństwu, uciekającemu się do przemocy — pangermanizmowi. Dążenie do zapanowania w sferach interesów, zdawna należących do Rosji i Austrii, nie sprzyja trwałości ogólnego pokoju“.

Ztąd wnosić można, że i w Anglii nadają mowie malborskiej znaczenie międzynarodowe.

PROJEKT SĄDÓW MIESZANYCH

W KRÓLESTWIE.

Jak wiadomo, w łonie komisji do spraw reformy sądowej w państwie powstał projekt wprowadzenia w Królestwie Polskim i w południowych guberniach Kaukazu sądów lawniczych do spraw kryminalnych. Wypada bliżej się przyjrzeć tej formie sądu i wypowiedzieć o niej parę uwag krytycznych.

Jakkolwiek projektodawcy nazywają sąd projektowany «sądem przysięgłych o specjalnym komplecie» (specjalnago sastawa), nie jest to jednak wcale sąd przysięgłych, lecz najczystszy typ sąd lawniczy z przeważającym żywiołem koronnym. Z istniejących obecnie sądów najwięcej się doń zbliża rosyjska Izba sądowa z przedstawicielami stanów, która sędzi niektóre przestępstwa, «tymczasowo» wyjęte z pod kompetencji sądów przysięgłych. Projektowany sąd ma się składać nie z dwóch oddzielnych ław, z których jedna (przysięgli) orzeka o winie, druga (sędziowie koronni) określa karę i rozstrzyga wynikające podczas sądenia kwestje form prawnych — lecz z jednego gremjum, w którym obok trzech sędziów koronnych ma zasiadać trzech sędziów niekoronnych, przedstawicieli żywiołu społecznego. W razie rozstrzeżenia głosów, przeważać ma zdanie prezydującego, którym, naturalnie, będzie zawsze sędzia koronny.

Tak więc sędziowie koronni, jakkolwiek w równej liczbie, będą jednakże mieli stanowczą przewagę,

rozporządzając w razie rozstrzeżenia czterema głosami. O przegłosowaniu zatem sędziów koronnych przez niekoronnych, o przewadze zdania przedstawicieli żywiołu społecznego nie będzie mogło być nawet mowy. Zdanie tak zwanych «sędziów przysięgłych», a właściwie lawników, będzie miało znaczenie wtedy jedynie, jeżeli nastąpi rozstrzeżenie w samym składzie sędziów koronnych. A wiemy wszyscy z doświadczenia, że rozstrzeżenie to należy do rzadkich wyjątków. Każdy, kto miał styczność z sądami koronnymi, mógł się naocznie przekonać, że wszystkie prawie wyroki zapadają jednogłośnie, że wyjątkowo tylko jeden z sędziów, niezadowolony z wyroku, pozostaje «przy swoim zdaniu» (pri osobom mniemaj). W tych wyjątkowych wypadkach miałyby znaczenie zdanie sędziów niekoronnych. Na to, ażeby w jednej sprawie wywrzeć wpływ na wyrok, musieliby cierpliwie w stu innych dołączyć swe posłuszne głosy do zdania sędziów koronnych, albo też mieć to moralne zadowolenie, że chociaż ich przegłosowano, jednakże byli oni innego zdania.

Postawiony wobec przeważającego liczebnie (ilością głosów) kompletu sędziów koronnych, taki lawnik po kilku wyrokach niechybnie poczuje się tem, czem będzie w rzeczywistości — intruzem. Pierwszej, drugiej, a może i trzeciej sprawy wysłucha pilnie, ze skupioną uwagą, zestawi w umyśle akt oskarżenia, zeznania świadków, mowy prokuratora i obrońcy, i ostatecznie przystąpi do głosowania z wyrobionym zdaniem. Przynajmniej, że ten sam pogląd wyrobi sobie dwóch jego kolegów. Podadzą np. swoje głosy za jednym zdaniem — gdy tymczasem sędziowie koronni, w równej napozórliczbie, dojdą do innego wniosku. Po obliczeniu głosów, okaże się trzy na trzy, głos przewodniczącego sędziego koronnego przeważa, wyrok zapadnie w myśl wniosku sędziów koronnych. I to wyrok bez apelacji, jako «werdykt przedstawicieli sumienia publicznego». W drugiej sprawie sędzia-lawnik wyrobił sobie zdanie takie, jak sędziowie koronni. Wyrok zapada zgodnie z jego zdaniem. Ale czy to on wyrokował? Nie. Dorzucił tylko do zdania większości swój nic nieznaczący głos. Gdyby był przeciwnego zdania, nie wpłynęłoby to wcale na brzmienie wyroku. Faktyczne wyrokowanie pozostanie w rękach sędziów koronnych, lawnicy będą tylko dekoracją zbyteczną.

Mogą się wprowadzić zdarzyć wypadki, że głos lawników będzie miał jakie takie znaczenie. Przy rozstrzeżeniu głosów sędziów koronnych, to zdanie będzie miało przewagę, za

którem oświadczą się lawnicy. Jeżeli wszyscy trzej lawnicy będą jednego zdania i do nich przyłączy się sędzia koronny, wówczas zdanie ich utrzyma się nareszcie. Ale niech tylko chociaż jeden z lawników oświadczy się za wnioskiem większości w łonie sędziów koronnych, to już wystarczy, żeby ta większość wyrokowała. Jeżeli nawet przy jednogłośnym zdaniu lawników głos sędziów koronnych przeważa, to przy najmniejszym rozstrzeżeniu tych zdań tem większą przewagę mieć będzie.

A teraz wyobraźmy sobie lawnika, który po kilku pierwszych sprawach przekonał się z doświadczenia, że faktycznie wyrokują sędziowie koronni, że głos lawników w znacznej, bardzo znacznej większości wypadków jest głosem wołającego na puszczy. Jak będzie on słuchał następnych spraw? Opuszczy ręce, zda się na łaskę i niełaskę sędziów koronnych i nie podniesie głosu wtedy nawet, kiedy jego zdanie wyjątkowo mogłoby mieć wpływ na wyrok.

Czy podczas narad sędziów nad wyrokiem lawnik może motywować swoje zdanie i przeciwnie na swoją stronę chociaż jednego z sędziów koronnych? Należy wątpić. Jeżeli sędziowie koronni nie przekonały wywody oskarżyciela lub obrońcy, który sprawę poznał do gruntu i wytoczył przed oczy sędziów całą baterję argumentów, ubranych w umiejętną formę, czy będzie on słuchał dowodzeń lawnika, któremu, jako laikowi, będzie ze swego urzędowego stanowiska może wprost niedowierzal? Wiadomo, że sędziowie koronni najczęściej mają wysokie wyobrażenia o swojej godności, jako rzecznicy Temidy, i niejedni nie zechcą cofnąć raz powziętego poglądu i przechylić się do zdania sędziego-lawnika. Jeżeli dzisiaj prezydujący często na publicznej sali przerywa mowę obrońcy z powodu braku czasu, to tembardziej pozwoli sobie na to względem sędziego-lawnika w odosobnionym pokoju.

Praktyka wykazała, że sędziowie nieprawicy bardzo starannie spełniają swe obowiązki, jeżeli są pozostawieni sobie samym — sądy przysięgłych zyskują coraz więcej zwolenników. Przeciwnie zaś, ci sami sędziowie niekoronni, połączeni w jedno gremjum z koronnymi, ufają ślepo tym ostatnim i stają się wobec nich pionkami. Przewiska lawników niemieckich (potakiwacze — *Jasager*, albo *špiochy* — *Beischläfer*) dowodzą, że tak jest i w Niemczech. Wiemy także doskonale, że wobec zdania sędziego gminnego lawnik nigdy prawie nie oponuje, że tak samo biernym jest ten sam sędzia gminny wobec prezesa zjazdu, że członkowie wybieralni sądu handlowego tam tylko są samodzielni,

gdzie działają jednoosobowo, na sejsji zaś najczęściej biernie ulegają głosowi przewodniczącego sędziego koronnego. A jednak ten sam lawnik, który na ślepo podpisuje ferowany przez sędziego gminnego wyrok, ten sam lawnik częstokroć bardzo dobrze i samodzielnie sędzi, gdy w zastępstwie nieobecnego sędziego gminnego zostaje przewodniczącym.

Tak więc trzech sędziowie niekoronni, dodani do dzisiejszego kompletu koronnego, będą balastem bez pożytku dla sprawiedliwości. Sądzić będą, tak jak i teraz, faktycznie tylko sędziowie koronni.

Gdyby jednakże chodziło tylko o dodanie trzech sędziów niekoronnych, projekt nie byłby jeszcze tak złym. Dla jednej na sto spraw taki zmieniony komplet mógłby nawet wypaść korzystnie. Ale i druga część projektu: zniesienie instancji apelacyjnej — jest bardzo niedogodną. Według projektu, «sąd przysięgłych w specjalnym komplecie» ma sądzić bez apelacji.

Ponieważ zaś, jak widzieliśmy, skład sądu pierwszej instancji pozostanie faktycznie nie zmienionym, cały więc nowy projekt zredukuje się do uwolnienia sędziów koronnych pierwszej instancji od motywowania wyroków i od kontroli instancji apelacyjnej.

Ze jednak kontrola ta jest potrzebna, najlepiej dowodzą cyfry. Jak mówi urzędowa statystyka warszawskiej Izby sądowej, Izba ta w ciągu 25 lat swego istnienia zaledwie dwie trzecie wyroków sądów okręgowych uznała za dobre, nieuznała przeszło 10 tys. wyroków, uwolniła kilkanaście tysięcy niewinnych skazanych! Jeżeli instancja apelacyjna będzie zniesiona, to corocznie kilkaset niewinnych zostanie skazanych, kilkaset jednostek naprośnie zgubionych bezpowrotnie.

Najpoważniejszym, zdaje się, argumentem, przemawiającym na korzyść nowego projektu, są względy finansowe: zmniejszenie wydatków na utrzymanie instancji apelacyjnej. Wydatki będą może mniejsze, ale ogólna suma pracy ludzkiej stanowiącej się powiększy. Dziś znaczna większość spraw sędzi trzech sędziów, i tylko w razie apelacji — trzech innych; przy nowym projekcie — każda najdrobniejsza sprawa wymagałaby sześciu sędziów. Czy nie lepiej byłoby wprowadzić sądy przysięgłych odrazu?

Aleksander Mogiński.

TEORJA „MAŁYCH“ NARODÓW.

Z filozofii dziennikarza rosyjskiego.

Współpracownik «Nowego Wrem.» p. Mienszikow jechał przez Galicję i góry Karpackie. W wagonie poznał młodego serba, który kształcił się w jednym z wyższych zakładów naukowych petersburskich i udawał się na odpoczynek do ojczyzny, rozstrojwszy sobie nerwy na Północy. Obaj jadący rozprawiali o sprawach słowiańskich.

„Jak wszyscy prawie słowianie, uczący się za pieniądze rosyjskie — powiada p. Mienszikow — towarzysz mój najwidoczniej nie lubił Rosji i wstręt swój źle ukrywał. Nasz naród wydawał mu się barbarzyńskim, kraj nasz — pozostającym w tyle nie za Europą tylko, lecz nawet za Serbią na wszystkich polach! Serbowie wydawali mu się i bardziej wykształconymi i bardziej wykwiłtynymi, niż rosjanie; kawa w Belgradzie lepsza, niż w Petersburgu. Oni mają skucyznę i stronnicwa, Rosja tego nie ma. Rosja przystała na rozczłonkowanie Serbji. W królestwie serbskim mieszkańców jest około 2 1/2 milionów, podczas gdy naogół ilość serbów sięga w Europie do 12 milionów; znajdują się oni w poddaństwie austriackim, węgierskim, tureckim. Serbja w granicach obecnych zmuszona jest grać rolę nader nędzną. Niema za co utrzymać rządu i armji. Urzędnicy w ciągu miesięcy całych nie otrzymują pensji. Serbja ma 450 milionów dinu. Austrija jest gospodarzem w Belgradzie. Niech tylko Serbja odezwie się głośnie, austriacy zamykają granicę dla wywozu wieprzów — i całe królestwo serbskie przechodzi krzyż. Cóż na to opiekun Rosja?“

P. Mienszikow zaznacza, że małe narody, które dopiero co zakosztowały życia politycznego, nie umieją się pogodzić ze swoim losem i w duszy swojej noszą dramat.

„My, należący do wielkiego narodu, nie możemy sobie wyobrazić dokładnie psychologii tych rozsypanych narodowości. Cierpienie ich jest poważne, ono zatrzuca ich twórczość. Takie narody — jakkolwiek niekiedy są bardzo utalentowane — prawie nie wydają wielkich ludzi. Cała myśl narodowa koncentruje się na marzeniu nieiszczalnym, zatracca się bezowocnie“.

P. Mienszikow starał się pocieszyć swojego towarzysza podróży:

— „Oburzasz się pan na to — mówił — że Rosja „zgodziła się“ na okupację Bośni i Hercegowiny. Ale oto ten piękny kraj karpacki, przez który jedziemy w tej chwili, to — ciąg dalszy naszej Małorosji, lecz nie należy do nas. Od niepamiętnych czasów żyli tu rodowici rosjanie. Tu więcej jest rosjan, niż serbów w Serbji. Jeszcze za czasów Włodzimierza św. kraj ten należał do Rosji, a przeciwieństwo zmuszeni jesteśmy „zgodzić się“ na to, że tutaj władza Austrii, a nie Rosji. Jakże możesz pan żądać, aby Rosja wojowała za Bośnię, Hercegowinę, Dalmację, Krocję, Sławonję, Styryję, Krajinę, Macedonję i t. d.? I dlaczegoż my obowiązani jesteśmy ofiarować to wam w darze? Takich darów żąda od nas Bułgaria, Czechy, nawet Polska. Wszystko to, co starożytnie państwa słowiańskie roztrwonili, obowiązani jesteśmy odnaleźć i zwrócić! Ależ my sił nie mamy nawet do tego, aby otrzymać napowrót to, co jest nasze własne.“

„Oto drugą dobę — mówił p. Mienszikow — jedziemy po zwaliskach słowiańskich państw — polskiego, czerwonoruskiego, morawskiego, serbskiego. Wybuchy oczywiście zdarzały się już na tych miejscach — wiara, język, typ ludowy, kultura, wszystko to tak

się tu pomieszało, że wygląda to jak kupa skorup. Polacy, węgry, niemiecy, rusini, żydzi, czesi, cyganie, rumuni, serbowie, turcy, greccy, bułgarzy...

— „A wie pan co?—smętnie zauważył serb—może to jedynym dla nas będzie rantkiem, jeżeli nas zabierze Austria. Wówczas przynajmniej my, wszyscy serbowie, będziemy pod jednym dachem. Jest nas 12 milionów. To znaczy, że jest nas znacznie więcej, niż węgry, a patrz pan, jakie oni sobie królestwo odgrodzili...”

— „Bal i to idea. Tylko po co panu koniecznie królestwo? Jeżeli pan chce własnego królestwa, to przecie znowu nastąpi politykowanie, znowu zamęt, znowu—jak u węgry—zapalny patriotyzm, uciążliwe podatki i długi państwowe.”

— „Jako? więc jeżeli się jest małym narodem, to już niema się prawa do istnienia?—pytał serb.”

— „Jak pan sam widzisz, trudno mu istnieć. Nawet wielkie narodowości ledwie znoszą ciężar swojego nacjonalizmu. Największe mocarstwa znajdują się w długach, które opłacić trudno. Wszędzie armia strasznie urosła i bez wystrzału rujnuje swój kraj.”

— „Cóż tedy uczynić?”

— „Nie. Jeżeli narodowość nie pasuje do sił, trzeba się jej wyrzec (?). Już tyle stuleci zachodni i południowi słowianie pozabawieni są niepodległości, a ród ich nie przepada. Zachowuje się typ etnograficzny, a nawet język, wiara, ubiory, obyczaje...”

Takie jest ostateczne *resumé* tej ciekawej rozmowy feljetonisty «Nowego Wrem.» ze zdenerwowanym serbem. Oczywiście wywody p. Mienzikowa co do wartości i warunków istnienia «małych» i «wielkich» narodów i państw są czysto subiektywne.

FORUM PUBLICUM.

Odpowiedź hr. Mycielskiemu.

W numerze 20 «Kraju» przytoczony został głos Józefa hr. Mycielskiego o stosunku Polski do Rosji. W jednym z ostatnich numerów «Dziennika Pozn.» ukazała się obecnie w rubryce «głosów obywatelskich» odpowiedź hr. Mycielskiemu, nadesłana z Królestwa. Przynajmniej większą jej część:

„Przeczytawszy w petersburskim „Kraju“ wyciągi z listu hr. Józefa Mycielskiego na temat zbliżenia się polsko-rosyjskiego, czuję się w obowiązku poczynić pewne zastrzeżenia co do tych poglądów hr. Mycielskiego, godząc się jednak na zasadę tych rozumowań. Wymieniając te rzeczy, co dzieła polaków i rosjan, hr. Mycielski wspomina system polityczny, wyznanie i rodzaj cywilizacji. Otóż w tym względzie zaznaczyć muszę, iż już i dziś ten system polityczny odrębny nie stanowi dla zbliżenia pomiędzy polakami, wchodzącymi w skład państwa rosyjskiego, i Rosją żadnej zapory. Wiara w parlamentaryzm odpadła nas całkowicie wskutek badań nad naszą własną historią parlamentarnego rozwoju i wskutek obserwacji lat ostatnich nad wynikami systemu parlamentarnego w całej Europie.

„Ostatecznie przykłady waszej sprawiedliwości parlamentarnej, pruskiej i niemieckiej, odejły nam i resztę naszych złudzeń w tym względzie. Dziś i najpoczyźszy szowinista w Królestwie Polskiem w kwestji żądań parlamentarnych milczy ponuro. Ufamy też, że Rosja nie pójdzie śladem

Europy i swego systemu samowładczego nie zamieni na inny. Wolimy dowierzać jednemu panującemu, którego serce jest dostępne uczuciom wyrozumiałości i miłosierdzia, niż tej strasznej bezosobowej maszynie, jaką jest każdy parlament.

Zaznaczymy ten «głos obywatelski», jako niezmiernie charakterystyczny wyraz osobistego zniechęcenia dla idei parlamentarnej, objawiającego się wśród niektórych umysłów polskich pod wpływem gwałtów sejmu pruskiego.

ECHA ZACHODNIE.

Z ARGENTYNY, w maju.

[Kolonje galicjskie].

△ Kolonia Apostoles, założona w r. 1897 i Azara w r. 1901, powstały przypadkowo. Kilkanaście rodzin galicjskich w r. 1897 miały się udać do prowincji Cordoby; wtedy jeszcze o kolonizowaniu prowincji Misiones przez galicjan rząd nie myślał. Gubernator p. Lanusse, w porozumieniu z jednym z wykształconych polaków, zrobili próbę. Ci nowi koloniści wyczerpali swe fundusze i za staraniem gubernatora rząd udzielił im pomocy w postaci żywności, bydła robocznego i narzędzi pracy, i skierował ich do Apostoles. Zapomógł rząd dawał przez lat pięć. Był to wyjątek, zrobiony dla kolonistów galicjskich, w żadnej innej bowiem kolonii rządowej zapomóg koloniści nie otrzymywali. Cofnął też minister rolnictwa w r. b. te zapomogi, osadziwszy, że jak na przynętę zrobił dosyć.

Obiedwie kolonje, Apostoles i Azara, rozciągają się na przestrzeni przeszło tysiąca kilometrów kw. nad wielką rzeką Uruguay, przy ujściu dwóch rzek mniejszych Chimaray i Tunas. Kolonia—to step z wysoką trawą, czerwoną ziemią, bardzo urodzajną, i niezliczoną ilością mrowisk podziemnych, które koloniści nierazko połowę lub całe zbiory niszczą i pracę niweczą. Statystyka oblicza ilość mieszkańców na 3,200 osób.

W kolonji Apostoles istnieją trzy szkoły z wykładowym językiem kastylskim. Dzieci obowiązane są chodzić do nich z promienia 1 leguy (5 1/2 klm.), widzieć też można, jak czasem po kilkoro dzieci jedzie na koniu do szkoły. Kościół znajduje się tylko w Apostoles, a młody ks. Zakrzewski sprawuje swój urząd z niemałym nakładem sił i zdrowia.

Aklimatyzacja z trudnością przychodzi kolonistom, jakkolwiek tutejszy klimat zwrotnikowy dalekim jest jeszcze od nieprzyjemności tropikalnych. Pospolicie występuje u ludzi trądzik, lub też legną się robaki i to w najzdrowszym ciele. Niechlujstwo i ciemnota galicjskich wieśniaków przyczyniają dużo pracy lekarzowi, którego tu zastępuje farmaceuta. Administrator kolonji przybiecał nam lekarz-polaka, mającego dojeżdżać dwa razy tygodniowo do kolonji.

Starsi koloniści są jakotako zagospodarowani. Niektórym powodzi się dobrze. Zbyt ziemiopłodów jest trudny i odbywa się na sposób północno-amerykański: sklepikarz kupuje wszystko, lecz nie gotówką nie płaci; każe brać towa-

rami, na których zyskuje 100 — 200 proc. Cały handel odbywa się więc w pierwotnej formie zamiany — praca krawca za pracę w polu; za siermięgę kawał łańcucha, jarzmo i rzemień.

K.

WIEDEŃ, 14 czerwca.

[Sytuacja. Delegacja i stanowisko polaków. Interpelacja posła Kłofacza w sprawie mowy malborskiej. Deputacja lwowska i Koło polskie. Projekt nowej ustawy prasowej].

△ Chaos, zamęt, mnóstwo nagłych wniosków, walka o porządek dzienny—oto obraz sytuacji parlamentarnej ostatniego tygodnia. Projekt podatku od biletów kolejowych otoczono tak silnym murem nagłych wniosków, czesi obstawali przy raz zajętem stanowisku z taką usilnością, że zwątpiono już, czy się uda rządowi sprowadzić parlament jeszcze w obecnej sesji do regularnej pracy.

Przyznać należy, że Koerber umie się godzić ze stronnictwami. Przedewszystkiem rzadko kiedy widzi za czarno, a następnie nigdy się nie cofa przed żądaniami chociażby największemi, wiedząc dobrze, że przy targu żądania zwykle maleją. Zrazu nieprzejednany i oburzony na wysokość ceny, głosi, że do zgody przyjść nie może, ale potem znów się zbliża, prosi, obiecuje, czasem nawet grozi, aż w końcu się pogodzi. Czesi znają widocznie p. Koerbera dobrze, bo mimo nalegań ze strony rządu i klubów parlamentarnych, mimo gróźb dzienników inspirowanych przez rząd—nie ustąpili. Płacz i lamenty dzienników wiedeńskich, że uporem swym krzywdzą biedne wdowy i djurnistów, nie wzruszyły ich, wiedzieli bowiem, że p. Koerber, chcąc przeprowadzić podatek kolejowy, z wszelką pewnością uczyni wszystko, aby sobie czechów zjednać. Nawet dymisja ministra rodaka, d-ra Rezeka, nie nastraszyła ich, przeciwnie dodali do pierwotnych warunków jeszcze jeden, że stanowiska rządu wysoce ważny, bo narażający skarb na nowy wydatek. Zażądali, aby Izba uchwaliła, jeszcze przed podatkiem kolejowym, ustawę o ulgach podatkowych przy kłeskach elementarnych. I w końcu czesi wyszli zwycięsko. Ustawę o emeryturach załatwiono w formie wniosku nagłego. Izba panów uchwaliła zniesienie myt, a i na żądane ulgi podatkowe przy kłeskach elementarnych parlament się zgodził.

Dziś naradom nad podatkiem od biletów nie stoi w drodze, ale bo też czesi mają obecnie rękojmię, że dochód z nowego podatku istotnie zużytym zostanie na owe ulgi podatkowe. Udało się też czechom wymóżyć na Koerberze przyrzeczenie, jakkolwiek nieoficjalne, że powtórzy w Izbie poselskiej oświadczenie, złożone w Izbie panów, iż rząd sprawy językowej nie bagatelizuje i wkrótce gorliwie się nią zajmie. Dymisja ministra Rezeka, której, jak się obecnie dowiadujemy, ani sam dr. Rezek, ani rząd nie brali na serjo, została oczywiście, wobec dokonanej zgody, cofnięta.

Przy wnoszeniu nagłych wniosków pomagali sobie czesi podpisami posłów wszechniemieckich i naodwrot—wszechniemiecy podpisami czeskiemi. Ciekawa w każdym razie spółka, którą usprawiedliwić można chyba tylko panującym zamętem i koniecznością opozycji. Mówiąc o potrzebie obstrukcji, mamy naturalnie na myśli tylko obstrukcję czechów, opo-

zycja wszechniemców nie ma bowiem najmniejszej racji bytu i jest nawet wprost śmieszna. Chcą np. przeszkodzić uchwaleniu subwencji dla Towarzystwa żeglugi na Dunaju, ale dlaczego—pewnie sami nie wiedzą. Zarzut korupcji, panującej w owem Towarzystwie, podniesiony przez posłów wszechniemieckich, nie jest niczem poparty. Prawdopodobnie więc wszechniemiecy chcą tylko upozorować czemkolwiek swoją lichą działalność parlamentarną. Na gwałt zebrał 19 najrozmaitszych wniosków nagłych, niekiedy wprost blażeńskich, pewni, że do omówienia ich nie dojdzie, bo rząd natychmiast zacznie się z nimi godzić. Spotkał ich atoli niemylny zawód, prezydent Izby orzekł bowiem, że wnioski, jako nagle, natychmiast weźmie pod obrady. W tym ambarasie odstąpili, niby to z grzeczności i w przekonaniu ważności sprawy, pierwszeństwo nagłemu wnioskowi socjalistów w sprawie katastrofy w Boryslawiu. Mowa, a raczej gadanina posła ich, Malika, przeplatana żakowskiemi dowcipami, która trwała bitych 7 godzin, jest dowodem, jak poważnie panowie ci traktują całą sprawę. «Idiote parlamentaire»—tak nazwał niedawno temu tego samego Malika «Cri de Paris».

Dziś przystępuje Izba do obrad nad podatkiem od biletów; przypuszczamy, że już około środy poslowie się rozjadą. Obecnie sytuacja poniekąd wyjaśniona: czesi uspokojeni, a Koerber wyjątkowo, że przy najbliższym spotkaniu się ze Szellem, będzie mógł z dumą wskazać na swój parlament. Izba poselska, która załatwiła budżet, a nawet uchwaliła nowy podatek, kwalifikuje się stanowczo do narady nad ugodą węgierską!

Delegacje ukończone. Uchwalono 38 milionów na nowe działa, ale nie z powodu trafnych argumentów ministra wojny, bo tych w żadnej jego mowie dotrzeć się nie można, lecz z tej prostej przyczyny, że żadne stronnictwo nie chciało na siebie wziąć odpowiedzialności za zmniejszenie siły zbrojnej. Na skromne życzenia delegatów co do dwuletniej służby wojskowej, lepszego obchodzenia się z żołnierzami, zniesienia słynnych kar «anbinden i spangen», sprzecznych z naszymi pojęciami o ludzkości, zmiany przepisów pojedynkowych i przestarzałej procedury karnej—odpowiadał p. minister, jak zwykle, wymijająco lub wprost przecząco. Życzenia te można łatwo spełnić bez ofiar pieniędzy, trzebaby tylko trochę dobrej woli, ale delegaci są już przyzwyczajeni przez jen. Krieghammera do tonu kaprańskiego: «tak być musi, jak ja chcę». Polacy, głosząc za żądaniami ministra, zaznaczyli, stosownie do uchwały Koła, swoje stanowisko, wyrażając przez mówców, pp. Abrahamowicza, Jaworskiego i Byka, swoje zapatrywanie o mocarstwem stanowisku monarchji i jej *niesamowistości* na wszystkich polach. Państwo musi w sojuszach być uważane jako czynnik równoważny i z żadnej strony nie powinno być poniżone do stosunku... Omawiając przemówienia delegatów polskich, żaden z poważnych dzienników wiedeńskich nie wystąpił ostro przeciw polakom. Tylko «Ost-deutsche Rundschau», organ Wolfa, i antysemitki «Deutsches Volksblatt» rzuciły się na delegatów polskich. Przeciwnie

oświadczeniu delegatów polskich wystąpiły także dzienniki niemieckie Rzeszy, a w pierwszym rzędzie «National Ztg.» i «Münchener Neueste Nachrichten». Ostatni dopatruje się w mowie delegatów niebezpiecznej solidarności wszystkich polaków i nawołuje rząd austriacki do czujniejszej baczności nad agitacją wszechpolską.

Mowie krzyżackiej w Malborgu poświęciły wszystkie dzienniki dłuższe artykuły. Toast cesarza Wilhelma wywołał przykre zdumienie, a u uczciwszych—nawet oburzenie. Nie wdając się w szersze komentarze, podniosła prasa z zadowoleniem odpowiedź arcyksięcia Eugejusza na telegram Wilhelma II. Bardzo gwałtownie natomiast występuje «Neue Freie Presse» przeciw posłowi czeskiemu Kłofaczowi, z powodu jego interpelacji w sprawie mowy malborskiej. Dziennik ten wyraża obawę, że podobne zajścia mogą niekorzystnie wpłynąć na zagraniczne stosunki państwa. Polacy zaś w interpelacji posła Kłofacza widzą wyraz współczucia i sympatii dla narodu polskiego, ale trudno im byłoby się zdobyć na podobną demonstrację, która mogłaby sprawie samej zaszkodzić. Kłofaczowi należy się jednak uznanie za gorące poparcie sprawy polskiej. Otrzymawszy setki depezy i listów dziękczynnych od wybitnych polaków z trzech dzielnic, podniósł jeszcze raz sprawę przemówienia malborskiego w nagłym wniosku, z stanowczym żądaniem odpowiedzi, której mu Koerber pierwszym razem odmówił, i z zapytaniem, dlaczego w sprawozdaniu opuszczono zakończenie pierwszej interpelacji.

Bawiąca tu deputacja lwowska wraca do domu z przyrzeczeniem, że rząd wkrótce przystąpi do rozpoczęcia robót publicznych we Lwowie, aby w ten sposób zażegnać przykre skutki bezrobocia. P. Jaworski zajął się żądaniami deputacji nadzwyczaj pilnie i zażądał od Koerbera spełnienia tych życzeń w tak stanowczej formie, iż z pewnością należy się spodziewać, że rząd pod tym naciskiem rychło spełni dane przyrzeczenie. W naradach konferencji parlamentarnej Koła z p. Koerberem omówiono też kilka innych ważniejszych spraw, dotyczących zapomogi dla Krakowa i dla kilku miast prowincjonalnych, jako też i zniesienia podatków gruntowych.

Ogólne zdziwienie zapanowało onegdaj w parlamencie, gdy p. Koerber zajął miejsce na trybunie i niespodziewanie ogłosił tylekroć obiecywany projekt nowej ustawy prasowej. W chwili, kiedy w Izbie panował największy zamęt (było to właśnie po sławnej mowie Malika), w chwili, kiedy jeszcze nie wiadzano—w jaki sposób uda się Izbę wprowadzić z fatalnej chmury nagłych wniosków, spodziewano się raczej enuncjacji, dotyczącej położenia parlamentarnego, a może nawet rozwiązania Izby, aniżeli tak przyjemnego podarku. Koerber, który dotychczas szczerze obdarzał stronnictwa korzyściami materialnymi, wyczerpał te zasoby zupełnie. Chcąc przeto pozyskać parlament dla regularnej pracy, postanowił wystąpić właśnie w chwili najkrytyczniejszej z darem wartości moralnej dla wszystkich stronnictw. Prasa austriacka, na której dotychczas ciążyły ciężkie okowy, jedynym zamachem oswobodzona; przepisy,

hamujące rozwój publicystyki ze szkoda życia społecznego, znikły, a zastąpią je wkrótce nowe, odpowiadające wymaganiom i poglądom świata cywilizowanego. Dotychczasowe postępowanie obiektywne, które niejednemu dziennikowi groziło zupełną zagładą, bo oddawało go wprost na łup urzędnikom prokuratorowi, ustąpi wkrótce miejsca postępowaniu subiektywnemu, a zakaz kolportażu, zadający prasie niepowetowane krzywdy materialne, podkopujący byt dzienników, zwłaszcza mniej uposażonych, zostanie zniesiony. Zapowiedziane w projekcie Koerbera zniesienie zakazu kolportażu i złagodzenie praktyk konfiskacyjnych jest olbrzymim krokiem naprzód. O te ulgi w konstytucyjnej Austrii przez długie lata napróżno się upominano. Nad wyłączeniem przekroczeń przeciw czci osobistej z pod jurysdykcji sądów przysięgłych z pewnością ubolewać będzie nie jeden dziennik «rewolwerowy», ale dla prasy przyzwyczajonej do projektu Koerbera stanowczy zwrot ku lepszemu. Nowoczesne poglądy o prasie w mowie ministra, jako też cały projekt znalazł w Izbie przychylnę przyjęcie, a prasa poczuwać się musi względem p. Koerbera do prawdziwej wdzięczności.

Novus.

△ Wiedeń. Poseł czeski Kłofacz wystąpił d. 18 czerwca w parlamencie z ponowną interpelacją. Omawiając ostatnią mowę hr. Bülowa w pruskiej Izbie panów w sprawie kolonizacji antypolskiej, Kłofacz powiedział, że Austria nie może pozwolić na to, aby z Berlina wychodziły pogroźki i zaczepki. Austria nie powinna znieść, aby jej nadawano pozór wasala Niemiec. «Dziś powołaniem Austrii—rzekł Kłofacz—jest opieka nad mniejszymi państwami i narodami, połączeniem we wspólnym związku». Kłofacz w końcu zapytał, czy Koerber zamierza odpowiedzieć w tym duchu na mowę Bülowa.

△ Wiedeń. Korespondent wiedeński «Piet. Wied.» przytacza rozmowę swoją z jednym z wybitnych działaczy politycznych polskich, który miał mu powiedzieć: «mowa cesarza Wilhelma wywołała oburzenie w najumiarkowańszych nawet stronnictwach polskich. Los braci naszych pod berłem pruskim nie trwoży nas—potrafią oni stawić czoło tym nowym napaściom. Oburza nas ta okoliczność, iż mowa ta nie liczy się weale z Austrią, ignoruje uczucia milionów słowian! Pozycja rządu austriackiego po takich demonstracjach stała się bardzo uciążliwą. Jako wierni poddani, uchwaliliśmy w tych dniach wydatek stomiljonowy na artylerję; ale w żaden sposób nie możemy współczuć sojusznowi z państwem, które systematycznie ciemniży słowian, i wstydzimy się bezradności naszego ministerstwa spraw zagranicznych, które nie może wywrzeć żadnego wpływu na politykę Niemiec i nie zdoła przeszkodzić wygłaszanu takich mów podburzających przeciw polakom. Klub polski zamierza złożyć w tej sprawie memorjał cesarzowi Franciszkowi-Józefowi, gdyż bankructwo polityki hr. Goluchowskiego stało się oczywistym. Czy spełni to jednak klub polski? Czy nie staną temu na przeszkodzie tysiączne okoliczności i czy decyduje się przystąpić do opozycji?»

△ Lwów. W sprawie dostarczenia pracy robotnikom i zapobieżenia rozruchom, prezydent Małachowski zwołał posiedzenie rady miejskiej, która zeszła się w nadzwyczajnym komplecie. Posiedzenie prezydent zagalął następującymi słowami: «Z uczuciem grozy i smutku w sercu zgromadzamy się dzisiaj. Miasto nasze było widownią rozlewu krwi, walk ulicznych i pożałowania godnych wypadków, nad którymi ubolewać

musi każdy, kto miłuje to miasto i odczuwa ból bliźniego. W tak ciężkiej chwili obowiązkiem jest rady miejskiej zebrać się i zastanowić nad położeniem. W dalszym ciągu mowy prezydent powiedział: Nie rozchodzi się jedynie o ludność miasta Lwowa, co do której miasto jest świadome swych obowiązków. Przesilenie dotyczyło całego kraju i dlatego stolica kraju, odczuwająca najwięcej skutki przesilenia, musi w tych ciężkich chwilach zwrócić się do tych czynników, które mogą zawsze znaleźć i roboty i potrzebne dla nich fundusze. Temi czynnikami zaś są kraj i państwo, które i dziś ma w zapasie szereg robót, mogących dać na szereg lat dostateczne zajęcie licznym rzemiosłom robotniczym. Reprezentacja miasta uchwała wystąpić z petycją, aby rząd dla stworzenia robotniczych podjął bezzwłocznie budowę gmachów rządowych, a nadto budowę kolei Lwów-Winniki-Brzeżany.

Z NAD WARTY, 14 czerwca.

[P. Frydrychowicz i komitaj kolonizacyjna. Procesy prasowe].

Δ Dawno już na społeczeństwo wielkopolskie nie padały takie gromy. Ucisk większy się z każdym dniem. Potężny aparat państwowości pruskiej wysła całą swą energię, by odebrać polakom najważniejszy punkt oparcia—ziemię. Ów czwór milijarda marek zostaje rzuconych w tym celu do dzielnic polskich. Przytem hr. Biłow zapewnia, iż są to tylko pierwsze «weksle» polskie, których termin płatności nadszedł.

Nikt w Poznańskim nie lekceważy położenia. Wszyscy sobie zdają sprawę, iż każdy zagon polski, który przejdzie w ręce komisji kolonizacyjnej, to strata niepowetowana. I przysuwa się ramię do ramienia. Walczmy do ostatniego tchu, nie dajmy się wyprzeć z ziemi naszych ojców! Takie hasło brzmi na całej linii.

I w takiej właśnie chwili znalazł się człowiek, noszący staropolskie nazwisko szlacheckie, który ofiarował swój majątek komisji: pan Frydrychowicz. Może to spekulant, kupujący posiadłościami miejskimi? Nie, to potomek rodu, który Wilczę otrzymał podobno jeszcze w Łokietkowych czasach. Pół tysiąca lat Wilcza była własnością rodziny Frydrychowiczów. Teraz rozgłaszają się na niej osadnicy niemieccy.

Nie znam osobiście p. Frydrychowicza. Ale przed paru dniami spotkałem obywatela, mieszkającego w okolicy Wilczej. P. Frydrychowicz—mówił mi z żalem ów ziemianin—uchodził za dobrego gospodarza. Nikt nie sądził, aby znajdował się w złych interesach. Nikt nie jest w stanie odgadnąć motywów, które pchnęły go do sprzedaży. Może zraziły go niedobory w gospodarstwie z ostatnich lat...

— Lecz czemuż zwrócił się do komisji kolonizacyjnej?—rzekłem.—Wszak mógł udać się do Banku ziemskiego, do jednej ze spółek parcelacyjnych... Wszak związek ziemian śpieszy zawsze z chętną radą i pomocą wszystkim obywatelom ziemskim, co się do niego zgłaszają?

— To jest wprost niewytłomaczone—odparł mój znajomy.—I nie do przebaczenia. Czy p. Frydrychowicz skusił do bryberii interes? Przedewszystkiem po nad interesem osobistym górną interes narodowy. Potem zaś—czyż p. Frydrychowicz wiedział, żali nie znajdzie się za tę samą cenę nabywca polski? Czemuż nie zgłosił się do Związku ziemian, o którego istnieniu nie mógł nie wiedzieć?

Tak mówił znaczny obywatel wielkopolski. I po tysiąc razy miał słusność. Sprzedaż komisji majątku, posiadającego 2 tys. morgów rozległości, jest wielkiem nieszczęściem. Niemal jednocześnie, jak słyszałem, p. Antoni Filipowski kupił dobra Karczewo, które mają 1,600 morgów przestrzeni, a które od 50 lat były własnością niemieckiej rodziny v. Prittwitzów.

Przeciwno p. Zygmuntowi Słupskiemu, wydawcy i redaktorowi «Komara», prokuratorja wytoczyła proces o rzekomą obrazę cesarza. Obrazą ta wynikała z rysunku, który przedstawiał nauczyciela, bijącego dziecko—gdy z boku przypatrzył się egzekucji oficer pruski z podkreślonymi do góry wąsami. P. Słupski skazany został na 6 miesięcy więzienia. Sąd nie zgodził się na wniosek obrońcy, mec. Seydy, który chciał złożyć za skazanego 1,500 marek kaucji, i p. Słupskiego niezwłocznie uwięziono. Niemal równocześnie miały miejsce inne procesy prasowe, wytoczone zaocznie przeciw trzem pismom polskim, wychodzącym po za granicami państwa pruskiego, mianowicie przeciw lwowskiemu «Gazecie Narodowej», krakowskiemu «Dziennikowi» i amerykańskiemu «Wielkopolaninowi». We wszystkich trzech wypadkach sąd zawyrokował konfiskatę inkryminowanych egzemplarzy.

Otóż co jest charakterystycznym, to fakt, że rysunek, za który p. Słupski został skazany na pół roku więzienia, nie jest oryginalnym, ale reprodukcją z paryskiego tygodnika «l'Illustration». I kiedy prokuratorja pruska z taką zawziętością występuje przeciw zagranicznemu piśmie polskiemu, przeciw «l'Illustration» nie zarządzono żadnych kroków sądowych, mimo że ten tygodnik bardzo jest rozpowszechniony w Niemczech. Zkądżeż tak zadziwiająco odmienna miara?

Proces przeciwko «l'Illustration» nabrały europejskiego rozgłosu i prasę francuską pobudziły niechybnie do drwin i szyderstw. Z głosów w prasie polskiej mniej sobie robi rząd pruski. Tak łatwo jest być zuchwałym—wobec słabszego.

Bart.

Δ Poznań. Dalszy ciąg procesu wrzesińskiego rozpoczął się w Gnieźnie d. 23 czerwca. Wytoczone będą trzy sprawy: 1) przeciw Elżbiecie Kantoreczkowej, która z powodu słabości nie stanęła w listopadzie przed trybunałem; 2) przeciw chłopcu Kaliszewskiemu, którego przewinienie dopiero teraz się wykryło, i 3) powtórna rozprawa przeciw uczniowi szewskiemu, Wiszniewskiemu, o zmniejszenie kary na trzy tygodnie.

Δ Podług doniesienia dzielników, Ignacy Paderewski nadesłał do Poznania 50 tys. marek z prośbą o nabycie za całą sumę akcyj poznańskiego Banku ziemskiego.

SZLĄZK GÓRNY, w czerwcu.

[Co myślą w centrum o polityce antypolskiej?]

Δ Stosunek między partją centrum a rządem staje się coraz oziębniejszy. Z wyjątkiem kilku osobistości, które sobie robią iluzję, że przez najdalej idące ustępstwa wobec rządu, centrum utrzyma się na stanowisku partji rządowej i uzyska więcej wolności dla kościoła i katolików wogóle, większość dawno już przysłała do przekonania, że katolicy w Prusach są uważani za *malum necessarium*, że rzeczywistego zaufania rząd

do nich niema i daje im to uczuć na każdym kroku.

Jeden z naszych wysokich dygnitarzy kościelnych, który uchodził i jest w rzeczywistości filarem łączności katolików z rządem, oświadczył niedawno zupełnie otwarcie wobec licniejszego zgromadzenia: «Temu zaprzeczyć trudno, że my, katolicy w Prusach, jesteśmy obywatelami drugiej klasy». Gdy jeden z przytomnych wymienił niektóre nazwiska z wyższych sfer rządowych, rzekomo życzliwych katolikom, dygnitarz ów odparł: «Wyraźnie zaznaczam, że nazwisk żadnych nie wymienialem, ale fakt pozostanie faktem, o czem każdy przekonać się może».

Oburzenie wprost wywołało zabranie kaplicy zamkowej w Malborku katolikom i bezwzględna odpowiedź ministra na petycję katolików o zachowanie jej charakteru katolickiego. Tutejsza «Schlesische Volkszeitung» nazwała dzień uroczystości malborskich dniem żałoby dla katolików, i ani arcyksiążę austriacki, przewodniczący rycerzy św. Jana, ani żaden z biskupów i dygnitarzy kościelnych w uroczystościach nie wziął udziału.

Walkę rządu z nami potępia centrum z całą stanowczością, jako bezowocną z jednej strony, a przeciwną zasadzie sprawiedliwości z drugiej. Organ tutejszego stronnictwa katolickiego z uznania godną odwagą wypowiada się przeciw niej.

Szlązak.

Δ Berlin. Wydawnictwo «Dziennika Berlińskiego» nabył p. Karol Rose z Warszawy, znany inicjator i organizator kuchni ruchomych. P. Rose jest obywatelem pruskim i zamierza obecnie osiedlić się w Berlinie. Kierownictwo «Dziennika Berlińskiego» ma objąć p. Krysiak, dotychczasowy współpracownik «Dziennika Poznańskiego».

Δ Bawaria. Książę Ludwik bawarski, syn regenta Luitpolda, przyszedł wiedeńskiemu, wypowiadał 2 czerwca na 38 zebrań rolników bawarskich mowę. Jeden jej ustęp jest bardzo znaczący: «Po złych dniach—rzekł książę—następują dobre, a po dobrych mogą nastąpić złe. Choćby się narodowi powodziło najgorzej, nie zginie, jeśli jest moralnie dzielny, a z drugiej strony może naród być bardzo *potężnym* i panować nad całym światem, a jednakże nie powiedziano, że zawsze będzie górą, chyba, że zostanie moralnie dzielny. Narody, pozornie niezwykłe, upadły rzekomo przez inny naród, ale w istocie przez własne zepsucie moralne. Jest to pociecha dla tych, którzy dziś są powaleni, byle tylko nie wyzbyli się moralnej siły, żeby się wydobyć na wierzch; ale jest także przestroga dla tych, którzy dzierżą władzę i siłę w swem ręku». Mowa ta wypowiedziana została na cztery dni przed mową ces. Wilhelma w Malborku, jednak uważać ją można za odpowiedź na dążności Wilhelma II, ks. Ludwik bowiem znany jest z tego, że nie podziela ani autokratycznych, ani wielu polityczno-społecznych poglądów Wilhelma II. Głośną czasą swego była jego mowa do kolonii niemieckiej w Moskwie, w której przypominał Berlinowi, że władcy mniejszych państw niemieckich nie są wasalami Prus.

Δ Hanower. Na zjeździe welfickim w Goslar—jak donosi «Schles. Ztg»—baron Hadenberg powiedział o rządach pruskich, co następuje: «Coraz więcej ludziom przykrzy się pruska gospodarka i niejednym z pomiędzy nas chciałby się jaknajprędzej, choćby już dziś, pozbyć prusaków z kraju. Nawet najsilniej ugruntowane państwo, gwałtem rozszerzone, nie jest wiecznym, jak te-

go historia dowodzi. Nie należy dlatego wątpić, lecz trzeba być cierpliwym i pokładać w Bogu nadzieję, bo On wszystko sprawić może».

Z MIAST I WSI.

WILNO, w maju.

[Wspomnienie o jen. Trockim].

□ «Wil. Wiestnik» wydrukował niedawno obszerniejsze wspomnienie o działalności ostatniego general-gubernatora wileńskiego, jen. Trockiego. Autor wspomnienia stara się w krótkości zaznaczyć wszystkie ważniejsze strony życia kraju, w których działalność ta mniej więcej silnie się zaznaczyła. Między innymi mówi tu o budowie kościołów na Litwie, oddanej przez jen. Trockiego pod nadzór t. zw. «pośredników mirowych», ponieważ zmarły general-gubernator uważał składki, pobierane na ten cel od włościan, za zbyt wysokie i zanadto obciążające ludność, która oczywiście nie bez trudności ponosiła te ofiary. Z tego też względu—pisze «Wil. Wiestn.»—pośrednicy winni byli na to zwracać szczególną uwagę.

«Umocnienie tutaj osadnictwa rosyjskiego—pisze dalej autor—ma doniosłość nadzwyczajną, ponieważ może sparaliżować cięża ludności ku Niemcom i «Przywiśliniu» i ocalić tę miejscowość od cywilizacyjnego podboju jej przez Niemców».

W zakresie sądownictwa jen. Trockij zalecił gubernatorowi kowieńskiemu, żeby rozprawy w sądach włościańskich toczyły się bezwarunkowo w języku rosyjskim, i żeby na sędziów nie wybierano osób, nie umiejących po rosyjsku. Wreszcie jen. Trockij zwrócił też uwagę na sprawę alfabetu rosyjskiego dla ksiązek litewskich.

Wspomniałszy dalej o niektórych ważnych cyrkularzach, wydanych przez jen. Trockiego, autor wraca jeszcze do poglądów jen. Trockiego na kościół i duchowieństwo katolickie, wyrażając swoje życzenia co do powiększenia zakresu wymagań naukowych w seminariach. Kończy się artykuł wzmianką, że jen. Trockij pilną zwracał uwagę na znajomość języka rosyjskiego i historii Rosji wśród alumnów i sam bywał w seminarjum na egzaminach z tych przedmiotów.

Ż.

□ Wilno. Ogłoszono już w pismach program wrześniowej wystawy rolniczo-przemysłowej, a właściwie zajęć i rozrywek. Będziemy więc mieli w pierwszym dniu wystawy, prócz uroczystego otwarcia, raut w sali miejskiej, w celu bliższego zapoznania się przybyłych gości, na drugi dzień—śniadanie, na trzeci—bal w klubie miejskim, dalej obiad dla delegatów, konkurs maszyn, zebranie ogólne członków Towarzystwa rolniczego, nawet iluminacje i fajerwerki. Ostatnie trzy dni wystawy poświęcono na bal komitetu wystawowego, konkurs hipiczny i wreszcie rozdanie nagród. Zjazd spodziewany nadzwyczaj liczny.

PONIEWIEŻ, 28 maja.

[Wystawa rolniczo-przemysłowa].

□ Wczoraj zamknięto wystawę, której otwarcie odbyło się przed trzema dniami. Pomimo krótkiego okresu czasu wy-

stawa spełniła swoje zadanie, bo grupując w jedno okazy wszystkich gałęzi przemysłu wiejskiego i rolniczego z rozmaitych okolic powiatu przedlicznym sąsiadami, odtworzyła przed licznymi zgromadzonymi ziemianami całokształt stosunków rolnych tej części naszego kraju. Zewnętrznie wystawa przedstawiała się pokaźnie. Obszerny plac tuż nad Niewiażą, urozmaicony grupami świerków, zapelniono szeregiem pawilonów, altaną dla muzyki, halą dla maszyn rolniczych, wreszcie obszernym budynkiem, mieszczącym biuro komitetu wystawowego i salę posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Dzięki energii prezesa komitetu, p. J. Kozakowskiego, wystawa na chwilę otwarcia była zupełnie gotową.

Otwarcie nastąpiło w sobotę d. 25 maja. Na uroczystość tę przybyli: gubernator kowieński, rz. r. st. Watazzi, delegat ministerstwa rolnictwa ks. Urusow, przedstawiciele rozmaitych towarzystw rolniczych, a mianowicie: wileńskiego pp.: Gieczewicz, Falewicz i Kotwicz, rosińskiego pp.: Gruzewski, Kontym i Romer, suwalskiego—p. Pawłowicz, witebskiego—p. Szachno, humańskiego—p. Wysokiński, lubelskiego—p. Rojewski, oraz licznie zebrani członkowie kowieńskiego Towarzystwa rolniczego i okoliczni ziemianie z rodzinami.

Najpocześniejsze miejsce na wystawie zajmuje dział bydła rogatego. Ogółem dostarczono 130 sztuk, w tem 111 sztuk bydła rasy holenderskiej. Tak wielka przewaga holendrów stwierdza najlepiej, że rasa ta okazuje się dla warunków miejscowych najodpowiedniejszą.

Drugim z kolei co do znaczenia swego działem był dział koni, których dostarczono 127 sztuk. I tu znowu przeważała jedna rasa, i to miejscowa, żmudzka. «Żmudziny», w ilości 76 sztuk, wystawili głównie włościanie, co stanowi niepoślednią zasługę działalności miejscowego Tow. rolniczego.

W dziale maszyn i narzędzi rolniczych prym trzymała kowieńska spółka rolna, inaczej syndykatem zwana, następnie miejscowe fabryki narzędzi rolniczych: suwalska, Rekosza i Szuwała w Kownie, Kochanowicza we Włocławku, Zawadzkiego w Klimontowie.

Nierogaczyni nadesłano mało, zato psy, przeważnie myśliwskie, przedstawione były i licznie i ładnie. Poza to na wymienienie zasługują: gospodarstwo nabiłowe spółki «Biruta», owoce p. Widuginsa, wyroby tkackie włościan z powiatu poniewieckiego, roboty kobiece pań: Birmuntowej i Dudziłowej, wyroby żydowskiej szkoły rzemiosł w Poniewieżu i t. p.

Sędziowie konkursowi zakrzętnęli się około oceny wystawionych okazów zaraz w dniu pierwszym. Wobec ogromnej ilości okazów, zasługujących na odznaczenie, trzeba było uciec się do zastąpienia medali dyplomami. W dziale bydła najwyższe nagrody otrzymali pp.: B. Karp, Sz. Meyszutowicz, hr. Keyserling, p. Kerbedź; w dziale koni pp.: Butrym, Karp, Podbereski; w dziale nierogaczyni pp.: Kończa i Węclawowicz; w dziale narzędzi rolniczych pp.: Elvorti, Rekosz i Cegielski. Poza to medalem złotym zostali nagrodzeni: pp. Widuginsa za owoce i «Biruta» za plony gospodarstw mlecznych, medalem

srebrnym—żydowska szkoła rzemiosł i t. d.

Podczas wystawy odbyło się kilka posiedzeń, a więc: ogólne zgromadzenie członków kowieńskiego Tow. rolniczego, posiedzenie sekcji hodowli bydła rasy holenderskiej, wreszcie konkurs plugów. Ogólne zainteresowanie i ożywienie obecnych nie zdołał nawet zepsuć kilkakrotnie powtarzający się w ciągu trwania wystawy deszcz, który utrudniał bardzo zwiedzanie wystawy.

Zastępcza.

□ Z Jakobsztatu (gub. kurlandzka) piśnią do nas: Ciężki rok najdotkliwiej dał się czuć większym majątkom, bo i ceny na las ostatniemi czasy uległy znacznej niższości, która jednak nie wpłynęła na wysokość płacy za obrabianie i transport towarów leśnych. Tutejsi włościanie dostarczają głównego zastępcę drwali dla obszernej lasów naddziwińskich. Te zarobki uboczne do pewnego stopnia złagodziły skutki nieurodzaju, który inaczej stałby się prawdziwą klęską. Świeżo przystąpiło do budowy ostatniej części kolei Moskiewsko-Windawskiej, od stacji Kreuzburg do Windawy. Mieszkańcy tutejsi cieszyli się nadzieją, że przejdzie ona przez Jakobstat i złączy go z Kreuzburgiem. Niestety, postanowiono budować most o 9 wiorst od miasta, które musi pozostać przy dawnych sposobach komunikacji, za pomocą przewozu nie zawsze bezpiecznego, osobliwie podczas płynięcia kry. E.

MIŃSK LIT., w czerwcu.

[Zgromadzenie Tow. rolniczego].

□ D. 26 maja odbyło się doroczne zgromadzenie Towarzystwa rolniczego, tym razem mniej liczne niż zwykle z racji spóźnionych robót gospodarskich. Obradom przewodniczył wiceprezes p. E. Woyńłowicz. Nowych członków wstąpiło 10, zaś ubyło wedle sprawozdania za rok ubiegły 48, co jednak nie zmniejsza bynajmniej ogólnej liczby członków Towarzystwa, gdyż co roku wstępuje na miejsce ubywaających kilkudziesięciu członków nowych. Na miejsce ustępujących z własnej woli członka rady p. J. Kukiewicza, został wybrany ogromną większością głosów hr. Jerzy Czapski. Przewodnicząc do spraw bieżących, przewodniczący zaznaczył, że staranie sekcji hodowli koni co do uwolnienia zarodowych ogierów oldenburskich, stanowiących własność sekcji, od poboru na potrzeby wojsk pozostało bez skutku, gdyż na mocy prawa oswojonego są tylko stadniny przez rząd zatwierdzone, a nie reproduktory pojedyncze. Sekcja postanowiła jednak czynić w tym celu dalsze starania. Na zasadzie projektu ministerstwa skarbu o wydawaniu pożyczek przez Bank państwa pod towar leśny, wyrobiony przeważnie na eksport zagraniczny, obrano osobną komisję z członków sekcji leśnej, w celu dalszego opracowania tego projektu i przedstawienia do ministerstwa własnych żądań.

P. Zieliński podał do wiadomości ustawę pogrzebowej kasy mińskiej, utworzonej przed zarząd miasta. Do kasy mogą należeć chrześcijanie, zarówno mieszkańcy miasta jako też i guberni, wpisowe wynosi 2 rb. 50 kop., liczbę członków określono do 500 osób; pierwsze posiedzenie członków kasy odbędzie się d. 9 czerwca. Ustawę i utworzenie kasy przyjęto z uznaniem, jako rzecz bardzo po-

żyteczna. Ze sprawozdań sekcji notujemy oświadczenie prezesa sekcji hodowli bydła, p. Jodki, o utworzeniu się pierwszej spółki okręgowej wyrobu masła w powiecie bobrujskim, pod Hłuskim; do spółki weszło 8 obywateli. P. Jodko referował następnie o użyciu mleka zebranego, pozostałego od produkcji masła, na karm dla krów dojnych. Sposób ten, praktykowany w niektórych guberniach północno-rosyjskich, nie może jednak mieć u nas należytego zastosowania wskutek produkcyjniejszego użycia tegoż mleka na twarogi i sery proste lub na karm dla cieląt.

W imieniu sekcji poleskiej p. Szczyt podał do wiadomości, że na prośbę sekcji, w Pińsku tworzy się oddział Towarzystwa rybołówstwa. Handel rybą, wedle zapewnienia referenta, potrzebuje tej dźwigni, gdyż zamiast miliona pudów rocznego eksportu z Pińszczyzny, obecnie wywozi się zaledwie trzysta tysięcy pudów ryby. Sekcja żywo zajmuje się teraz opracowaniem kwestji kredytu melioracyjnego. W sprawie pińskiego Towarzystwa kredytu wzajemnego, projekt ustawy tego Towarzystwa został podany do gubernatora dla przedstawienia do ministerstwa skarbu. P. Grabowski, jako przedstawiciel sekcji hodowli koni, oświadczył, że wskutek wygórowanych warunków, podanych przez zarząd miasta Mińska, sekcja nie mogła dotąd wziąć w dzierżawę rynku dla koni, spróbuje jednak raz jeszcze stanąć do ogólnej licytacji.

P. Holberg proponuje utworzenie przy Towarzystwie nowej sekcji, «ogrodniczej». Sekcja miałaby na celu związek ziemian do produkowania najbardziej odpowiednich gatunków owoców, sprzedaż tego artykułu, jako też kształcenia miejscowych ogrodników. Do projektu przyłączyło się natychmiast 25 osób i postanowiono opracować odpowiednią ustawę.

Z referatów zaznaczamy sprawozdanie p. Zielińskiego z pobytu na zjeździe pożarowym w Moskwie, który się odbył w marcu, i z oglądania wystawy pożarowej. Uwagę p. Zielińskiego zwróciły szczególnie dachy ogniotrwałe, powszechnie używane w gubernii nowgorodzkiej, ze słomy, maczanej w glinie. W tym przedmiocie zawiązała się żywa dyskusja, z której wynikało, że powszechnemu zastosowaniu tego rodzaju dachów przeszkadza nieumiejętne ich stawianie, oraz okoliczność, że dach taki, jako materiał niepalny, rzeczywiście znakomicie zabezpiecza od pożaru, jednak wskutek swej wagi, przy nieumiejętnej budowie, nader obciąża krokwie i w rezultacie źle ochrania od deszczów.

Na zakończenie zgromadzenia p. E. Woyniłowicz zwrócił uwagę na świeżo ustanowioną «Naradę o stanie przemysłu rolnego» i program jej zajęć. Przewodniczący przytoczył niektóre punkty programu, najbardziej dotyczące interesów gospodarki miejscowej i prosił członków o bliższe zbadanie poruszonych kwestyj i o przygotowanie materiału dla obrad i debatów w tej sprawie na przyszłym posiedzeniu Towarzystwa.

H. D. L.

□ Z Bobrujska piszą do nas: Mieszkańcy miasta naszego po strasznym pożarze wcale nie upadli na duchu; owszem

z wielką energją wzięli się do odbudowywania. Parę setek baraków już stanęło, kamienic pomniejszych zbudowano również kilkanaście i handel zawrzał po dawnemu. Pomimo, iż straty — jak się teraz okazało — przenoszą się dziesiątami mil. rb., niewypłacalność, jak dotąd, nie stała się epidemiczną. Może to zawdzięczać należy temu, iż lwia część strat ponieśli bogaci finansisci. Komitet pomocy bardzo energicznie wzięł się do dzieła i tysiące biedaków zabezpieczył od głodowej śmierci. — Za inicjatywą i pod przewodnictwem miejscowego dziekana, ks. Jana Krassowskiego, został zwołany komitet do zajęcia się odbudowaniem kościoła; w poczet komitetu wybrani zostali pp.: Karol Niezabykowski, dyrektor wileńskiego Banku Antoni Żebrowski, dr. Halicki, W. Tołkacz, R. Honesti i D. Wirpsza. Z chwilą zatwierdzenia komitetu składki dość raźnie zaczęły napływać, ale niestety zbyt mała ilość tutejszych parafjan nie pozwala ludzić się nadzieją wybudowania kościoła własnymi siłami. — Z bólem serca musimy zaznaczyć, iż znalazło się kilku oszustów, którzy, korzystając z naszego nieszcześcia, udają się do różnych osób w celu wyłudzenia pieniędzy, niby to na kościół. Ostrzegamy przeto ofiarodawców, aby żądali przedstawienia książeczki, zatwierdzonej przez księdza lub komitet budowy. Z. P.

□ Kijów. W petersburskim „Grażdanie” wystąpił z dziwnym oskarżeniem, pod adresem polaków, pewien niepodpisany „Właściciel ziemski” z Kraju zachodniego. Utrzymuje on, że polacy znowu „podnieśli głowę”, a na dowód przytacza dwa fakty. Niewymieniony z nazwiska milioner-rosjanin w Kraju południowo-zachodnim, pochodzący z kupiectwa, przed dwoma laty miał jenerałnego rządzącego-rosjanina, który miał podwładnych, również rosjan. Dziś głównym rządzącym został polak, a podwładnymi jego są polacy, którzy jakoby utworzyli tam ognisko „polskiej propagandy”. To fakt pierwszy. Fakt drugi: na fabryce pewnego milionera-rosjanina, administrator-rosjanin i podwładni-rosjanie zostali zastąpieni przez polaków, którzy ogłosili zaraz „swoje królowanie” i zawiesili w kantorze portrety królów polskich (?). Powtarzając te fakty, „Now. Wr.” dodaje: „jeżeli są prawdziwe”, ale przypomnia sobie, że i organizator ruchu 1863 r., Józefat Ohryzko, „porósł materjalnie w pierze w kantorze dóbr Demidowych San-Donato”. Cała ta opowieść nieznanego korespondenta „Grażdania” i historyczny komentarz „Nowoje Wremia” są prawdopodobnie przysłówiowem malowaniem „czarta” na ścianie.

□ Finlandja. Senatowi fińskiemu Najwyżej rozkazano ogłosić przepisy o używaniu rosyjskiego, fińskiego i szwedzkiego języków w sądach i instytucjach rządowych. Urzędnicy, zobowiązani do znajomości języka rosyjskiego, wydają na prośbę zainteresowanych osób odpowiedzi w języku rosyjskim. Instytucje do tego nie zobowiązane, dodają na żądanie za opłatą, przekład rosyjski. Użycie języków szwedzkiego lub fińskiego stosować się ma do języka gminy.

□ Do „Now. Wr.” donoszą, że w potwornym terminie w d. 1 czerwca, do popisu wojskowego stanęło zaledwo 30 proc. ogólnej liczby popisowych, powołanych w r. b. na mocy nowej ustawy wojskowej.

□ Port-Arthur. Korespondent „Now. Wrem.” malarz p. Krawczenko, w liście „Z odległego Wschodu” opowiada o wrażeniach, jakich doznał podczas pobytu w Port-Arthurze. Wskazuje on, że Port-Arthur jest punktem oparcia, sercem wszystkiego tego, co ciągnie z Rosji na daleki Wschód. „Przy umiejętnych organizatorach z tego niewielkiego miasteczka nrośnie wkrótce wielkie miasto portowe.

To kresowy punkt naszej Mandżurji, to zarazem początek nowego ruchu naszych okrętów, które, przy właściwym poparciu, łatwo konkurować mogą z japońskimi towarzystwami żegluga, a następnie i ze wszystkimi innymi”. Dalej korespondent zaznacza, jak wielką rolę grać będzie Port-Arthur wobec Chin, które z czasem wyrósłszy muszą na kolosa, gdyż obudziły się już z wiekowej śpiączki. „Za rok, za dwa lata, gdy pogłębionem będzie dno przystani, Port-Arthur stanie się świetną stacją dla ogromnej eskadry morskiej, która pod osłoną groźnych baterij nadbrzeżnych potrafi, kiedybydż zechce, wyjść na otwarte morze na spotkanie wroga”.

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

WARSZAWA, 15 czerwca.
(Wystawa wiosenna).

+ Nie mieliśmy w tym roku wcale wiosny, po niewyraźnej zimie nastąpiło bowiem również niewyraźne lato, odrazu i bez przejść, dla pocieszenia się zaś po utracie najpiękniejszej pory roku, mamy wystawę wiosenną. Urządził ją w salonach swoich p. Krywałt, zebrawszy w nich dzieła kilkudziesięciu malarzy i kilku rzeźbiarzy, przeważnie młodszych. Wystawa jest lekko secesyjna, co znaczy, że nie brakuje w niej dziwadła, urągających wszelkiej myśli logicznej i wszelkiemu poczuciu estetycznemu; ale takie dzieła wcale na tej «wiosennej» wystawie nie przeważają, przeciwnie jest ich garstka ledwie. Ze starszych, znanych i uznanych artystów, spotykamy tu parę ledwie nazwisk; przede wszystkim Masłowski, artysta dużej miary i niedoceniony, który wystawił parę akwarel, wykazujących, jakimi dużymi środkami rozporządza; dalej Antoni Kamiński, duży poeta we wszystkim, czego ólówkiem dotknie; jego autoportret niewątpliwie jest arcydziełem. Patrząc na tę twarz, pełną wyrazu i melancholji, o której trudno powiedzieć, czy płynie z twarzy modelu, czy z ólówka rysownika. Wielkiem skończeniem technicznym odznacza się gwaszowy obrazek, przedstawiający babunię przy fortepianie. Z młodszych, a w każdym razie z mniej znanych, wyróżnia się bardzo p. K. Stabrowski, którego krajobrazy wieczorne zajmują i wzruszają widza. Większy pejzaż «Cisza wieczorna» doskonale oddaje to, co artysta chciał przedstawić: spokój, ogarniający naturę i dający wypoczynek życiu. Ze stanowiska malarskiego te rzeczy, które oddaje się przy najmniejszej ilości światła, a osiągające jednak pełne artystyczne wrażenie, są bardzo trudne i interesujące. Inny obraz p. Stabrowskiego, przedstawiający ogródek piwiarniany, oświetlony przez refleksy sztucznego światła, padające z okien budynku, również zawiera rozwiązanie trudnego zadania technicznego sztuki malarskiej i mówi o bogactwie środków tego artysty, który jest *un chercheur*.

Podobały mi się jeszcze akwale p. Józefa Męczyńskiego; jest tu jarmark na konie i jarmark na krowy, rzeczy mało-wane ręką, nader pewną siebie, szerokiemi i zamasytymi plamami, z siłą, która tylko przed siłą najlepszych akwarel Falata może ustępować. Pejzażystą również i bardzo talentowanym jest p. Czajkowski, którego pejzaże zimowe świadczą o szczerem odczuciu natury.

Krajobrazów, jak widzicie, na wystawie wiosennej jest dużo. Oprócz nich nasi młodzi malarze uprawiają jeszcze portrety. Zaznaczyć należy w tym dziale nazwisko p. Krzyżanowskiego, który na zmianę zasłużył, zwłaszcza za doskonały, pełen siły plastycznej i wyrazu portret starszego mężczyzny. P. Okoń dał nam autoportret i «Judasz», doskonała głowa rudego żyda na tle panoramy jerozolimskiej. «Taniec czarownicy» p. Wygrzywalskiego jest bodaj że jedyną «kompozycją» na tej wystawie, która z powodu braku obrazów w staro- znaczeniu tego wyrazu, robi wrażenie raczej wystawy ćwiczeń i studjów. Ten fantastyczny taniec nieubra- nych kobiet jest jednym ze słabszych dzieł na wystawie i dowodzi może, iż «obraz», tak jak go rozumieli dawniej, jest rzeczą o wiele trudniejszą, aniżeli się to młodym naszym mistrzom wydaje. Podobała mi się jeszcze głowa chłopca p. Batowskiego.

Dziwaczne rzeczy uwzględniam o tyle tylko, o ile widzę w nich rzetelny talent — na fałszywej drodze. Ponieważ na wystawie wiosennej takich talentów nie dostrzegam, wstrzymuję się od zbyt łatwych w takich rzeczach popisów ironji. O rzeźbie słowko tylko: z paru rzeźbiarzy, którzy wystawili swe rzeczy, jeden tylko Biegas się wyróżnia — wyróżnia talentem niepowszednim, może nawet i bardzo wybitnym; w każdym razie wystawił tu rzeczy znane już. O płasko- rzeźbie Biegasa «Chopin» pisano wiele, pisano dobrze i pisano słusznie; chwytającym za serce jest też jego mężczyzna, w porywie rozpacz rozdzierający rękami ziemię. Biegas szuka najwidoczniej nowych dróg w rzeźbie, która wydaje się sztuką wyczerpaną w pewnej mierze, a przynajmniej zakończoną, jest to o wiele trudniej aniżeli naprzykład w malarstwie, poddajęcem się z pewną łatwością ekscentrycznym doświadczeniom. Ale nawet przez najskrajniej dziwaczne pomysły Biegasa przebija wielkie uczucie, które potrafi odnaleźć drogę do serca widza; w jego «Chopinie» są twarze, które się długo pamięta — i ta pamięć, zachowująca trwałe ślad wrażenia raz doznanego, powiada wyraźnie o przyszłości naszego artysty, który niewątpliwie przyjdzie wkrótce do tej fazy rozwoju, w której odróżnia się rozstrojone nerwy od chorego serca i ekscentryczność od oryginalności.

Albertus.

+ Odbyło się zebranie organizacyjne Tow. pomocy cierpiącym, powstałego staraniem hr. Julji Aleksandrowiczówny. Na przewodniczącego zaproszono prezesa Ludwika Górskiego, asesorami byli: ordynat hr. Adam Krasiński i Bogusław Herse, sekretarzem — dr. Skowroński, kierownik ambulatorjum bezpłatnego przy ul. Włodzimierskiej, które przechodzi pod opiekę stowarzyszenia. Zarząd sprawować będzie rada, do której powołano hr. Maurycego Za-

moyskiego, hr. Adama Krasińskiego, hr. Władysława Wielopolskiego, B. Hersego, A. Scholtzke, K. Budnego, d-ra A. Lesniowskiego, d-ra B. Skowrońskiego i d-ra Wojciechowskiego. Przewodnictwo dożywotnie radzie ma zapewnione założycielka, hr. Aleksandrowiczówna.

+ Komitet muzeum rzemieślniczego w Warszawie w r. b. urządził wystawę starożytności p. t.: «Stara Warszawa». Zebrano tu będąc pamiętki, dotyczące przeszłości Warszawy od najdawniejszych czasów do połowy przeszłego stulecia, jako to: plany, rysunki, książki, portrety, rzeźby, kostiumy, narzędzia cechowe, ozdoby kościelne i t. p.

+ Na imię p. Wojciecha Górskiego, dyrektora prywatnej szkoły realnej, nadeszła zatwierdzona przez zarządzającego ministerstwem oświaty, r. t. Zengera, ustawa kasy nauczycielskiej. Ustawa stowarzyszenia nauczycieli prywatnych jest unormowana na ustawie kasy literackiej i została opracowana przez adw. przys. Emila Waydla. Do kasy nauczycieli prywatnych mogą należeć osoby obojczy płci, posiadające świadectwa nauczycielskie.

+ Z powodu ukończenia wojny anglo-boerskiej, zamieszkałi w Warszawie poddani angielscy urządzili w jednej z pierwszorzędnych restauracyj wspaniałą ucztę, która zakończyła się odpiewaniem hymnu: «God save the King» i toastami na cześć męznego wojska angielskiego i boerów.

ZA KORDONEM

Fabrykacja fałszów.

W krótkim artykule p. t.: «Prze- stroga», poruszył «Czas» krakowski znaną wadę publicystyki galicyjskiej — pogoń za sensacją:

„Od dłuższego już czasu pojawiają się niemal dzień po dniu w prasie niemieckiej i austriackiej awanturnicze wiadomości z Królestwa Polskiego i Rosji, wiadomości, będące negacją logiki, geografii, a nawet zasad czasu i przestrzeni. Dowiadujemy się o zamachu na pociąg niewybudowanej jeszcze kolei, o buncie w nieistniejącej miejscowości, o splądrowaniu w jakimś mieście trzy razy tyle domów, ile ich tam wogóle jest i t. p. Bywa i tak, że jedna i ta sama wiadomość w ciągu miesiąca powtarza się kilkakrotnie ze zmianą tylko miejscowości i ubocznych szczegółów. Tak było np. z wymordowaniem rodziny tandeciarza, co nastąpić miało raz w Bydgoszczy, drugi raz w Inowrocławiu, a trzeci — w nieistniejącej miejscowości na Litwie. Oczywiście więc istnieje znów — jak to już kilkakrotnie przed laty było — jakaś zorganizowana fabryka wiadomości polsko-rosyjskich, gdzie przy zielonym stoliku — nawet bez pomocy kart geograficznych — dokonują zamachów, mordstw i wszelkich innych zbrodni. Być może, że dla niemieckiej prasy fabryka taka jest pożądana, albo co najmniej nieszkodliwa, co jednak powiedzieć o prasie polskiej, która z beznamiętną naiwnością te brednie drukuje i z takich źródeł czerpie informacje o Królestwie Polskim?»

Autor artykułu w «Czasie» zadał sobie trud wyszukania siedziby tej fabryki i sądzi, że mu się to udało:

„Istnieje mianowicie od pewnego czasu jakaś «Polska Korespondencja», wydawana pono w Krakowie, a narzucająca się wszystkim niemieckim dziennikom w Austrii i cesarstwie niemieckim. W Austrii ma to przedsięwzięcie mało odbiorców; tem lepiej jednak idzie proceder w Niemczech. Ale jeśli austriackie pismo nawet bezpośrednio się ustrzeże, to owe sensacyjne kłamstwa dojdą go, *via* Berlin czy Wro-

claw, bez cytaty „Polsche Correspondenz“ a z odwołaniem się na „Localanzeiger“, „Breslauer Zeitung“ i t. d. Z Wiednia idą te brednie wprost do Galicji, gdzie prasa beznamiętnie je akceptuje i — co nas mniej już obchodzi — do Londynu, Paryża, na Wschód i t. d. Często zdarza się tak: pokątna fabryka krakowska poda jakieś kłamstwo do Berlina i „Localanzeiger“ je bez cytaty wydrkuje; angielski korespondent poda tak samo — przypuścimy — do „Daily News“, zamtąd idzie telegram do „Neue Freie Presse“, a tą marką zaopatrzone, znajduje wstęp do prasy galicyjskiej“.

Przyznać trzeba, że znaczna część prasy galicyjskiej wyzwoliła się z pęt sensacji. Ale są jeszcze dzienniki zakordonowe, w których takie wymysły stanowią powszednią przyrętkę. Warszawski korespondent «Dziennika Poznańskiego» karci fałszywe informowanie przez prasę taką zwaną «wszechpolską», a w szczególności lwowskie «Słowo Polskie», swoich czytelników o stosunkach w Królestwie Polskiem. Zbija więc najpierw masę plotek, rozpuszczonych przez to pismo, a wreszcie pisze:

„A kiedy ten sam organ zaczepiono: dlaczego rozsiewa wieści podobne? — to posunął on swą naiwność do tego stopnia, że się bronit, iż „wiadomości te czerpie ze źródeł wiedeńskich, a więc za nie odpowiedzialności nie bierze“. Jaktóż więc organ polski — co mówię — wszechpolski czerpie wiadomości o rzeczach polskich ze źródeł wiedeńskich? A jeśli w braku innych czerpać je zamtąd musi, to nie umie krytycznie rozróżnić nonsensu od prawdy — i to nonsensów tak jaskrawych?»

«Czas» dodaje do swych uwag: «kto łaskaw, powtórzmy przestroge». Istotnie, przestroga w takich razach jest zawsze potrzebna.

Politykomanja młodzieży.

Z bardzo pouczającymi uwagami wystąpiły pisma galicyjskie z powodu «politykującej» młodzieży polskiej.

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości — pisze „Głos Narodu“ — że rozpolitykowanie młodzieży polskiej, które zwłaszcza w ostatnich czasach tak rozlegle przybrało rozmiary, jest objawem niezdrowym, dla społeczeństwa zarówno, jak i dla młodzieży samej wiele szkodliwym. Ze wstępujące pokolenie nie może i nie powinno być powołanem do kierowania polityką narodu i kraju, temu chyba nikt nie zaprzeczy, podobnie jak temu, że obowiązkiem młodzieży jest przede wszystkim pracować nad własnym wykształceniem, a troszkę o sprawy publiczne pozostawić starszym, którzy posiadają potrzebne do tego doświadczenie i dojrzałość umysłową. Jaktóż nie było i niema pod słońcem kraju czy narodu, gdzieby działał się inaczej, a nasza historia najnowsza uczy nas niestety, że owa polityka młodzieńczej fantazji i młodzieńczego zapału prowadzi wprost do katastrofy. Nie wątpimy ani na chwilę, że młodzież, zwłaszcza polska, jest skora do poświęceń, ale nie wierzymy w to nigdy, aby była zdolną do kierowania społeczeństwem, do nadawania tonu polityce narodowej“.

Najlepszym na to dowodem — zdaniem «Głosu Narodu» — jest sprawa politechniki lwowskiej.

ADRES BULGARSKI.

Omawiając fakt ofiarowania w Peterhofie przez bułgarów Najjaśniejszemu Panu modelu sofjskiego pomnika Cesarza Aleksandra II, «Now. Wremia» pisze:

„Naprzód przemawiał ks. bułgarski, wspominając o bohaterskim czynie oswobodzenia, dokonany przez Cesarza Aleksandra II i jego naród, i kończąc mowę wyrażeniem Cesarzowi, Opiekunowi narodu bułgarskiego, niezniszczalnym uczuciu wiecznej wdzięczności za szlachetnie podarowaną Bułgarii wolność.

„Z mowy Dragana Cankowa i z adresu, odczytanego przed Jego Cesarską Mością Najjaśniejszym Panem, dowiadujemy się o pragnieniu narodu bułgarskiego, wyrażonym w rezolucji zgromadzenia narodowego na posiedzeniu 20 maja r. b. Pragnieniem tem jest—w dniu odsłonięcia w Sofji pomnika Cesarza-Oswobodziciela—zaświadczyć *bespośrednio* przed obliczem Cesarza Rosyjskiego, „jak głęboką jest ta wdzięczność, którą cały naród bułgarski żywi dla Cesarza Aleksandra II“.

„Adres kończy się prośbą, aby Najjaśniejszy Pan raczył odwiedzić stolicę Bułgarii w dniu odsłonięcia pomnika swojego Dostojnego Dziada, jako w dniu uroczystego uczczenia wspomnień o odrodzeniu Księstwa i zbudzeniu go do nowego życia“.

«Nowoje Wr.» zaznacza doniosłość historyczną tego faktu zaprosin i wyraża przekonanie, że obecnie w sferze stosunków bułgarsko-rosyjskich nastąpiła stanowcza i ostateczna zgoda braterska.

ZIEMSTWA I WŁOŚCIANIE.

Wydział ziemstwa gubernialnego kurskiego wystąpił wobec zgromadzenia ziemskiego z referatem, poświęconym sprawom rolnictwa krajowego. Ciekawy ten dokument ukazał się potem na szpaltach «Piet. Wied.» i wywołał zdziwienie «Nowego Wremia», które nazwało go «wolnym wzlotem fantazji ziemskiej» i skrytykowało niemiłosiernie. Zresztą organ p. Suworina przyznaje zupełną słuszność charakterystyce współczesnego rosyjskiego rolnikawłóścianina, jako człowieka

„bez praw pisanych, bez wiedzy, bez kapitału, bez narzędzi do pracy, bez inicjatywy i bez najmniejszej samodzielności“.

Zgadza się także «Now. Wr.», że należy podnieść godność włóścianina, dać mu możliwość wyrobienia w sobie samodzielności, wyprowadzić go z ciemnoty, za której sprawą występują na jaw dzikie instynkty, o czym świadczą niedawne wypadki w gub. połtawskiej i charkowskiej. Natomiast wyszydza «Now. Wr.» postulat ziemstwa kurskiego w sprawie uniezależnienia samorządu włóścianin od dozoru z góry, i mniema, że ten samorząd jest dziś tak szeroki, jak nigdzie na całym świecie; wątpli też o potrzebie przekazania spraw włóścianin sądowi ogólnym, sądy bowiem «wołostne», według «zwyczaju» i «sumienia», są doskonałe; wreszcie wyszydza uwagi o re-

formie podatkowej, twierdząc, że przy żądaniu przez referat obniżeniu stopy podatków gruntowych i pośrednich i zastąpieniu ich przez podatek od dochodów, skarb państwa poniósłby ogromne straty, ludność bowiem nie posiada dość dochodów, któreby wystarczyły na bezpośrednie opodatkowanie w wysokości dla państwa nieodzownej.

DUCHOWIEŃSTWO WIEJSKIE.

Stosunek ludu rosyjskiego do swojego duchowieństwa zwrócił uwagę «Grażdanina». Gdy tylko zajdzie mowa o tym stosunku—stwierdza ks. Mieszczerskij—natychmiast ten i ów sprowadzi rozmowę na grunt porównania tego stosunku u innych wyznań.

„Ksiądz katolicki i pastor luterński postawieni są na stanowisku samodzielnym, a nasz kapłan wiejski nietylko znajduje się w większej zależności, ale wprost jest w położeniu bardzo poniżonym... i ja, com doszedł lat starych, bez bólu w duszy i bez wstydu nie mogę pomyśleć o tem, że w ciągu 50 lat mojego świadomego życia, wszystkich mianem na względzie, rozważano kwestję podniesienia ich poziomu materialnego, prócz jednej tylko istoty w Rosji—kapłana wiejskiego“.

Dziwi to księcia tem mocniej, że historia dowiodła, iż najpewniejszą podporą rosyjskiego bytu państwowego był i jest właśnie duchowny wiejski».

WYKSZTAŁCENIE TECHNICZNE.

Podług doniesienia niektórych pism, egzaminy konkursowe do wyższych zakładów technicznych mają być zniesione, natomiast o przyjęciu będą stanowić stopnie, otrzymane na egzaminach dojrzałości. Pisząc o tem «Piet. Wied.», zaznaczają, że oba te systemy mają cel jednaki: „utrudnić wstęp do wyższych szkół technicznych, gdy tymczasem życie i najżywniejsze potrzeby ekonomiczne państwowe wymagają, aby wykształcenie techniczne było jaknajbardziej dostępne. Brak wykształconych kierowników we wszystkich gałęziach przedsiębiorczości stanowi największą przeszkodę dla postępu technicznego i idącego za nim obniżenia kosztów produkcji, oraz eksploatacji źródeł bogactwa krajowego“.

Jeżeli interesy państwa wymagają, żeby przemysł rosyjski był w ręku rosjan, należy — zdaniem «Piet. Wied.»—dolożyć wszelkich starań, aby ułatwiać wykształcenie techniczne, nie zaś utrudniać je.

W SPRAWIE STATYSTYKI ZIEMSKIEJ.

W «Prawit. Wiest.» ogłoszono doniesienie najpoddańsze ministra spraw wewnętrznych, wykazujące potrzebę zniesienia rejestracji statystycznej ziemskiej w 12 guberniach.

Przez ustawę z d. 8 czerwca 1893 roku sprawę nowego oszacowania nieruchomości poruczone ziemstwom, które powinny być kierować się wydaniami w tym celu przepisami. W uznaniu pierwszorzędnej wagi tej sprawy, minister-

stwa spraw wewnętrznych i skarbu ciągle śledziły za postępem prac szacunkowych i, jak obecnie widać z zebranych danych, pomimo olbrzymiego nakładu, wynoszącego przeszło 6 milj. rubli, prace te postępują bardzo powoli i nie można liczyć na rychłe ich zakończenie.

Jedną z najważniejszych przyczyn tego złego stanu rzeczy jest ta okoliczność, iż instytucje ziemskie zbyt rozszerzyły zadanie swoje, usiłując przez taksatorów—specjalistów przeprowadzić ekonomiczne i szacunkowe zbadanie wszystkich nieruchomości. Drugą przyczyną jest nieodpowiedni skład osób pracujących na tem polu, które przeważnie nie posiadają należytego przygotowania, przede wszystkim praktycznego. Zbyt wielki popyt na statystyków spowodował dążenie wśród nich do zajęcia zupełnie niezależnego stanowiska w gospodarce ziemskiej, oraz częste nietaktowne zatargi z zarządcami ziemskimi. Okoliczności powyższe wywołały zupełnie usprawiedliwione obawy, aby sumy, asygnowane przez ziemstwa na tę sprawę, oraz trzymiljonowa zapomoga skarbową, nie były stracone bezużytecznie. Ujawniła się też niemożliwość rychłego ukończenia prac szacunkowych, od których zależy fiksacja opodatkowania ziemskiej nieruchomości, w myśl ustawy z d. 12 czerwca 1900 r.

Wobec tego, jeszcze z inicjatywy ministra Sipiagina, powstał projekt oddania tej ustawy urzędowi administracji—projekt ten jednak wymaga jeszcze opracowania szczegółowego.

W ostatnich czasach ujawniła się jeszcze jedna strona ujemna prowadzenia prac szacunkowych przez ziemstwa. Prace te wymagają licznego personelu stałego, który w letnich miesiącach musi być znacznie zwiększony przez współpracowników czasowych, ci zaś często nie są nieposzlakowani pod względem politycznym. Liczba tych czasowych współpracowników w ostatnich latach była bardzo wysoka, w gub. połtawskiej np. w r. 1901 stałych statystyków ziemskich było 37, a ilość czasowych wyniosła aż 594. Administracja nie mogła też wszędzie usunąć od prac statystycznych osób, niepewnych pod względem politycznym, gdyż niektóre ziemstwa, przez pośpiech, rozpoczynały te prace, nie czekając na decyzję gubernatorów. W takich warunkach administracja nie była w stanie ochronić ludności miejscowej od szkodliwego wpływu politycznego niektórych z tych współpracowników, gdyż ciągle łączność z włóścianami przy badaniu posiadłości ziemskich, daje osobom podejrzanym zbyt szerokie pole dla antyrządowej propagandy, z którą walczyć zbyt trudno wobec braku policji po wsiach.

Zajścia ostatnie w guberniach połtawskiej i charkowskiej niezbitnie dowiodły, że należy jaknajrychlej położyć kres szkodliwemu wpływowi niektórych statystyków ziemskich na ludność wiejską. Wobec tego minister spraw wewnętrznych zarządził tymczasowe, aż do 1 czerwca, zawieszenie rozjazdów statystyków ziemskich w powiatach, oraz uznał za stosowne w roku bieżącym, zawiesić rozjazdy statystyków w tych guberniach ziemskich, w których tego wymaga względ na bezpieczeństwo publiczne, a mianowicie w tych rolniczych miejsco-

wościach państwa, gdzie ludność, pozbawiona zarobków, najwięcej ucierpiała wskutek nieurodzaju, bo, jak dowodzi doświadczenie lat ostatnich, w takich stronach rozpytywania ludu przy badaniach statystycznych, dają nieraz powód do wysnuwania fałszywych wniosków; a jeżeli te wywiady prowadzone są w duchu antyrządowym, to mogą wyznaczyć poważne zaburzenia, jak to miało miejsce w gub. połtawskiej i charkowskiej.

Wobec tego, minister uznał za konieczne zakaz ten rozciągnąć na 12 guberni. Ma się on stosować wyłącznie do zbierania danych o majątkach ziemskich w powiatach i nie ma mieć zastosowania ani do nieruchomości miejskich, ani do zakładów przemysłowych i handlowych. W innych 22 guberniach ziemskich, oprócz wyżej wymienionych, zdaniem p. ministra, należy dać gubernatorom możliwość zawieszania prac statystycznych w r. b. w tych miejscowościach wiejskich, w których uznają to oni za konieczne ze względów bezpieczeństwa publicznego.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× Za przyzwoleniem Jego Cesarskiej Mości i za zgodą dostojnych Rodziców—jak ogłasza «Prawit. Wiest.»—Jej Cesarska Wysokość Wielka Księżna Helena Włodzimierzówna zaręczona została z jego królewską wysokością królewiczem Mikołajem greckim.

× Najjaśniejszy Pan ofiarował raczył dla pogorzelnicy w Bobrujsku 50 tys. rubli.

× Jego król. wysok. ks. Ferdynand bułgarski mianowany został szefem 54 mińskiego pułku piechoty.

Urzędowe.

× Z rozkazu Najwyższego *wzbronione* zostało zbieranie w roku bieżącym danych statystycznych o majątkach ziemskich w guberniach bessarabskiej, charkowskiej, czernichowskiej, jekaterynowosławskiej, kazańskiej, kurskiej, orłowskiej, penzeńskiej, połtawskiej, samarskiej, symbirskiej i talskiej, oraz nadano gubernatorom prawo zastosowania tego zakazu do niektórych miejscowości reszty guberni, tak zw. ziemskich.

× W «Prawit. Wiest.» ogłoszono następujące informacje o naradach nad dalszym przekształceniem szkół średnich: «W d. 11 czerwca r. b. upływa termin Najwyższego rozkazu o szkole średniej, dlatego więc w maju r. b. zwołana została przy ministerstwie oświaty specjalna komisja dla ułożenia programu szkolnego na przyszły rok akademicki. W skład komisji weszli, pod przewodnictwem zarządzającego ministerstwem, dyrektorowie gimnazjów i szkół realnych po jednym od każdego okręgu naukowego. Rozważywszy programy w dwóch podkomisjach, komisja przyszła do następujących wniosków:

1. Dla gimnazjów: 1) z obawy, aby zmiany nie wpłynęły ujemnie na zajęcia szkolne, komisja uznała za stosowne zachować dla klasy 1 i 2 program roku ubiegłego;

2) zachować w pierwszej i drugiej klasie tę samą liczbę lekcji i przedmiotów, co i w roku 1901—1902; tylko w pierwszej klasie wykladać zamiast 2 języków nowożytnych—jeden, a mianowicie niemiecki; 3) wykład łaciny rozpocząć od klasy trzeciej; w tejże klasie prowadzić dalej wykład historii naturalnej, oraz zacząć wykład drugiego języka nowożytnego (nieobowiązkowy); 4) dla klasy czwartej komisja ułożyła dwa programy, jeden dla gimnazjów z wykładem tylko łaciny, a drugi dla gimnazjów, w których oprócz łaciny zachowano wykład języka greckiego; 5) w starszych klasach zalecono zachować program podług tablic z roku 1890.

II. Dla szkół realnych komisja uznała za stosowne zachować dla 1 i 2 klas program z r. 1901, a dla innych rozkład naukowy z r. 1895 z następującymi zmianami: w wykładach języków nowożytnych w pierwszej klasie ma być wykładany tylko język niemiecki, w drugiej—niemiecki i francuski, który, poczynając od trzeciej klasy, będzie przedmiotem obowiązkowym.

Nad temi wnioskami komisji—jak donosi «Praw. Wiest.»—ma teraz obradować komitet uczonej ministerstwa oświaty.

× Ministerstwo skarbu podaje do wiadomości ogólnej, że w jesieni r. b. nastąpi otwarcie *petersburskiego Instytutu politechnicznego* z wydziałami: elektromechanicznym, ekonomicznym, budowy okrętów i metalurgicznym (z pododdziałami: metalurgicznym i elektrochemicznym). Na pierwszy kurs może być przyjętych 270 słuchaczy. Prawo wstępu mają osoby, które ukończyły wyższe zakłady naukowe, lub też posiadają świadectwa z ukończenia gimnazjum klasycznego, szkoły realnej albo handlowej. Prośby o przyjęcie wraz z odpowiednimi dokumentami składane być winny najpóźniej przed d. 1 lipca r. b. Na podstawie świadectw i dyplomów ułożoną zostanie lista kandydatów, którą zatwierdza minister. Przy instytucie istnieje internat dla słuchaczy. Dla zamieszkania po za internatem należy otrzymać pozwolenie zwierzchności.

× Naczelnym prezes petersburskiej Izby sądowej, *Dejtrich*, został awansowany na radcę tajnego i mianowany pomocnikiem generał-gubernatora fińskiego.

× Kurator okręgu naukowego rzyckiego, doktor filologii *Schwartz*, mianowany został kuratorem okręgu warszawskiego.

× Kowieński gubernialny marszałek szlachty, szambelan *Stolypin*, mianowany został p. o. gubernatora grodzieńskiego.

(Szambelan Piotr Stolypin ukończył w r. 1884 studia przyrodnicze na uniwersytecie w Petersburgu, urzędował w ministerstwach spraw wewnętrznych i rolnictwa, wkrótce jednak ostatek w majątku rodzowym w gub. kowieńskiej. Mianowany marszałkiem powiatowym, został w r. 1899 po zgonie hr. Zubowa marszałkiem gubernialnym).

Ogólne.

× Na odbudowanie zburzonej misji prawosławnej w Pekinie Synod rz. asygnował 150 tys. rb., budżet zaś coroczny powiększono z 15 do 30 tys. rb. Przeprowadzenie kolei Mandżurskiej oraz stworzenie 2 portów rosyjskich na dalekim Wschodzie, wpłynęło na znaczne zwiększenie się ludności napływowej prawosławnej. Okoliczność ta spowodowała ustanowienie biskupstwa prawosławnego w Chinach. Mianowany obecnie biskupem mandżurskim i charbińskim, przewielebny Innocenty, wyjedzie w tych dniach do swojej djecezji w asystencji jednego archimandryty, dwóch mnichów, 3 djakonów i 30 braci zakonnych. Mieszkać będzie w Pekinie w klasztorze Uspienskim.

× Niedawno wyszła w Petersburgu broszura «*Istoriczeskaja zapiska o chołmskiej Rusi*». Z broszury tej, wydanej z rozporządzenia Synodu rządzącego, i opartej na dokumentach, «Moskowskija Wiedomosti» wyprowadzają wniosek następujący: «Światne i pozornie pomysłne powrotne przyłączenie dawnych unitów do kościoła prawosławnego okazuje się nieco innym w rzeczywistości. Z 350 tys., uważanych za przywróconych prawosławiu, według źródeł nawet urzędowych, około 70 tys., t. j. 20 proc. do dnia dzisiejszego uchyla się od prawosławia. Są to tak zwani «oporni» z gub. siedleckiej i lubelskiej, a liczba ich ciągle wzrasta, i nadto dają się zauważyć nawet wypadki, w których już pogodzeni z Kościołem, odpadają znów od prawosławia wskutek upadku w pewnym stopniu religijnego nastroju ludu w ogólności». Wskazując na ten objaw, dziennik powraca znów do dawnego projektu utworzenia nowej guberni chelmskiej i ześrodkowania w niej cywilnego oraz duchownego zarządu nad ludnością tamtejszą, przyłączoną do prawosławia.

W Petersburgu.

× Odjazd. Jego Cesarska Wysokość Następca Tronu 5 czerwca odjechał na własnym jachcie «Zarnica» z Peterhofu do Anglii, aby wziąć udział w uroczystościach koronacji króla Edwarda VII.

× Wyjazd księcia. Ks. Ferdynand bułgarski wyjechał z Krasnego-Sioła do Moskwy, z kąp po krótkim pobycie udał się do Kijowa i dalej na południe.

× Dary sułtana. Posel turecki Guznibasza miał zaszczyt przedstawić się Najjaśniejszemu Panu i ofiarować w darze od sułtana wspaniałą porcelanową serwis do herbaty na 24 osób z przyborami, obsypanymi brylantami. Prócz serwisu ofiarował sułtan dwie kolosalne wazy z porcelany, artystycznie ozdobione.

× Inspektor telefonów. Zarząd poczt i telegrafów, jak wiadomo, ma wyznaczyć inspektora w celu kontroli nad urządzeniem, utrzymaniem, rozwojem i eksploatacją sieci telefonicznej w Petersburgu. Na stanowisko to powołany został radca stanu inżynier-technolog Ludwik Kornatowski.

× Z Siestrotwieck. D. 2 czerwca orkiestra symfoniczna w uzdrowisku Siestrotwieckim odegrała polonez utworu naszego rodaka, p. Zygmunta Zaremby, dedykowany H. Sienkiewiczowi w dzień jego jubileuszu literackiego i skomponowany pod wrażeniem powieści Sienkiewicza «Niewola tatarska». Wykonany z wielką sprawnością i artystycznym zespołem pod batutą autora, polonez został przyjęty z uznaniem. Należy się spodziewać, że efektywny ten utwór wejdzie na repertuar nietylko petersburskich, lecz i krajowych koncertów symfonicznych.

× Kluby. W tych dniach naczelnik miasta rozesał okólnik do wszystkich klubów, surowo zakazujący gry hazardowej w karty, która w ostatnich czasach przybrała olbrzymie rozmiary, dając klubom nadmierne zyski ze sprzedaży kart, oraz z kar, i doprowadzając do ruiny mnóstwo nieopatrnych graczy.

Z TYGODNIA.

Na dogodną dla siebie chwilę odpowiadania przed sądem za «zdradę» trafił p. Artur Lynch. Jest on irlandczykiem, urodził się w Australji, wychowywał w Anglii i przed wojną afrykańską mieszkał w Paryżu, w roli korespondenta pism angielskich i amerykańskich. W chwili wybuchu wojny zaczął korespondować z p. Leydsem, poczem wyruszył do Afryki, ażeby zbierać tam materiały «dla wywołania w Europie oburzenia przeciwko postępowaniu wojska i rządu angielskiego». Wkrótce wszakże spalili za sobą mosty i zaciągnął się w służbę Transwaalu jako feldkornet, wtargnął do Natalu, bił się pod Elands-laagte i w bitwach z jen. Bullerem, później zaś gdy «legion irlandzki», którym dowodził, został rozproszony, powrócił do Europy i ponownie zamieszkał w Paryżu, jakkolwiek jeden z obwodów wyborczych irlandzkich obrał go posłem do parlamentu. P. Lynch czekał cierpliwie, aż nastanie pokój i rozpoczął się uroczystości koronacyjne i wreszcie, zawiadomiwszy speakera parlamentu, że chce zająć swoje krzesło, przyjechał do Anglii. Uwieszono go oczywiście i stawiono przed sądem, który może wydać nań najstraszniejszy wyrok bez obawy jego wykonania. Łaski królewskie z powodu uroczystości koronacyjnych tej ostateczności zapobiegają.

Zaledwie te uroczystości zapoczątkowano, król Edward zaniemógł, przeziębiony w czasie pobudki ceremonialnej w obozie w Aldershof. Wspaniała rewja nazajutrz odbyła się w obecności tylko ks. Walji, król bowiem ratuje zdrowie dla dni następnych. W ostatnich czasach zauważono zbliżenie się sfer urzędowych angielskich do Francji, Ameryki i Rosji. Król Edward zaszczylił swoim patronatem bazar dobroczynny w ambasadzie francuskiej i spożył obiad w ambasadzie amerykańskiej, na którym z pośrednictwem przedstawicieli ciała dyplomatycznego był tylko poseł rosyjski. Dzienniki londyńskie upatrują w tych faktach znamiennej doniosłość polityczną.

Parlament francuski wysłuchał z uwagą deklaracji p. Combes co do polityki gabinetu radykalnej, okłaskiwał oświadczenie rządu co do wymierzonej przeciwko sześciu księżom za udział w agitaacji wyborczej kary zawieszenia pensji—i spierał się o... Alzając i Lotaryngie. Rzecz miała się tak, że pp. Jaurès i Sembat poruszyli sprawę rozbrojenia, twierdząc, że Francja powinna ją zapoczątkować, nie oglądając się na kwestję alzacką, którą załatwi nie wojna ale postępek i przyjsięcie do władzy klas pracujących. Oburzyli się na takie postawienie kwestji nacjonalistki i p. Lasies przedpowiadał blizką, stojącą już za plecami naszymi wojnę, wobec której rozbrojenie byłoby zdradą kraju. Właściwie nie by-

ło o co sprzeczać się gwałtownie, ponieważ tak p. Jaurès, jak p. Lasies wiedzą doskonale, że o rozbrojeniu w czasach naszych nie może być poważnej mowy.

We Francji dzisiejszej dzieje się tak, jak w Turcji. Dziś jest się wielkim wzywem, jutro pastuchem—i odwrotnie. Zaświadczyć to może jen. Bonnał, który wczoraj był dyrektorem Akademii wojskowej francuskiej, członkiem rady ministra wojny i jednym z najświetniejszych generałów młodszej generacji, a dziś jest emerytem niespodzianie dla siebie i innych, i pozostaje mu chyba założyć kawiarnię. Może sam temu winien.

Delegacje austro-węgierskie wysłuchały z natężoną uwagą mów pp. Jaworskiego i Abrahamowicza z powodu nowych kredytów wojennych. Posłowie polscy zaznaczyli, że jakkolwiek nie pragnęliby obciążać ludności nowymi ofiarami, czują się w obowiązku głosić za kredyty, ponieważ chodzi im o stanowisko mocarstwowe Austro-Węgier, o potęgę państwa Habsburgów, zapewniającego zamieszkiującym je ludom prawa narodowe i możliwość postępu cywilizacyjnego na rodzimej podstawie. Prasa cała podnosi z naciskiem to wystąpienie przedstawicieli Koła polskiego wiedeńskiego, upatrując w niem słuszną dążność Polaków do umiędźnienia polityki austriackiej od potężnego sprzymierzenia, który nie przebiera w środkach, skoro mu chodzi o własny interes.

Ma wszakże rząd pruski trochę kłopotów wewnętrznych, agrarjusze bowiem są z hr. Bülowa niezadowoleni. Kanclerz próbował zjednać ich łagodnością—nie zdążył to na nic. Spróbował użyć tonu ostrzejszego i wywołał burzę, która może go teki i łask u góry pozabawić. Już dwóch kanclerzy złożono z urzędu gwoli agrarjuszom, oni bowiem są «plus royaliste que le roi», i na nich zdawna i stale opierały się pruskie rządy. Trzeba się przeto liczyć z nimi, i hr. Bülow zdaje się odpokutuje za zbyt stanowcze zachowywanie się wobec juników. Już ukazała się w pismach wiadomość, że ostatnie deklaracje w sejmie kanclerz złożył we własnym imieniu bez upoważnienia z góry. A to zły znak, gdy tam, u szczytu, zrzekają się solidarności z kanclerzem. Widmo sekretarza cesarskiego p. Lukanusa, doręczyciela dymisji, ukazuje się na widnokręgu.

J. M.

WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

Niemcy. Sędziwy król saski Albert zachorował niebezpiecznie. W razie śmierci, tron odziedziczy ks. Fryderyk-August, synowiec króla. Pruska Izba panów przyjęła wniosek Levetzowa, dotyczący zwalczania szepczącego się alkoholizmu. Hr. Kospoth potępiał przymusowe knajpowania, tak dziś rozpowszechnione w kołach oficerskich i studenckich.

Austria. Na posiedzeniu sejm węgierskiego, prezes ministrów Szell oświadczył, że mocarstwa, związane trójprzymierzem

złożyły wzajemne deklaracje, obowiązujące je do odnowienia sojuszu. Projektowana forma traktatów niezem od dotychczasowych się nie różni.

Hiszpanja. Prawie wszystkie wybitniejsze kongregacje zakonne zapisały się do rejestrów rządowych zgodnie z ustawą. Zapisały się do rejestrów uprawnia istnienie zakonów. W samym Madrycie zapisało się 168 kongregacji, w całej Hiszpanji około 6 tys. W Walencji tłum wielotysięczny wygłosił na powitanie ministra Canalejas i wyprawił mu gorące owacje, jako przywódcy ruchu antyklerykalnego w Hiszpanji.

Turcja. Bawili w Konstantynopolu i byli uroczyście przyjmowani przez sułtana Wielki Książę Jerzy Michałowicz z Małżonką.

Bułgaria. W sferach rządowych zapewniają, że proklamowanie królestwa bułgarskiego nastąpi w ciągu roku bieżącego.

Kreta. Ze źródeł tureckich donoszą, że na Krecie ludność chrześcijańska dopuszcza się takich gwałtów na Turkach miejscowych, iż ci nie są pewni życia i dlatego wzrasta wśród nich groźne rozjątrzenie. Jeżeli mocarstwa opiekuńcze nie wdadzą się w sprawę, powrót krwawych zaburzeń na Krecie jest prawdopodobny. Książę Jerzy wydał manifest, zwywiający obie strony do zgody.

Transwaal. Generał Kitchener wkrótce wraca do Europy. Naczelne dowództwo w Afryce południowej obejmie po nim jen. Lyttelton. Przywódcy boerów: Botha, Dewet i Delarey wkrótce wyjadą do Europy w celu uregulowania kwestji finansowej, a zwłaszcza rozdziału przeznaczanej na odbudowanie ferm sumy trzech milionów funtów sterlingów. Mają oni zobaczyć się również z prezydentem Krügerem, ażeby go namówić do uznania traktatu pretoryjskiego i do powrotu. Kitchener przysłał wzmiankowanym generałom boerów telegram z podziękowaniem za ich takt i energię, ujawnione przy poddawaniu się i składaniu broni. Zachowanie się boerów sprawiło przyjemność królowi i wywarło wrażenie głębokie na naród angielski. Odtąd, zdaniem generała, następuje w Afryce południowej era stanowczego pojednania.

Stany Zjednoczone. Izba deputowanych większością 175 głosów przeciw 38 przyjęła projekt ustawy o anarchistach. Wniosek o wykluczeniu z projektu artykułu, karającego śmiercią za zabójstwo ambasadorów obcokrajowych, został odrzucony przez Izbę.

KRONIKA.

Kościół i duchowieństwo.

* W poniedziałek, d. 3 czerwca, odbył się w duchownej Akademii katolickiej w Petersburgu akt doroczny. O g. 11/2 przybyli do Akademii pałaci: A. Antonowicz, Maculewicz i Leski, również i kanonicy kapituły mohylowskiej, ks. Świdorski, Sidorowicz i rektor seminarjum, ks. Erdman. W godzinę potem przybył JE. metropolita mohylowski, B. Kłopotowski i był spotkany przez senat akademicki oraz gro-no profesorów z rektorem, prałatem Zarnowieckim na czele. Chór kleryków zaintonował ostatni wiersz z hymnu «Veni creator». Potem inspektor Akademii, ks. Maculewicz, przeczytał w auli akademickiej sprawozdanie z ubiegłego roku akademickiego. Wszystkich słuchaczy w Akademii było w r. 1901/1902—57, mianowicie: na kursie 4-ym—14, na 3-im—15, na 2-im—9 i na 1-ym—20. Stopień magistra św. teologii otrzymał ksiądz: Steckiłowicz, Staniewicz, Ruszkis, Paltarakas, Jałbrzykowski, Ciesielski, Michalak, Rajko, Skalski, Jankowski, Głeryszewski, Zółtowski i Pycia. Z kursu 3 na 4 przeszło ze stopniem kandydata 14. Ks. Michalkiewicz, proboszcz kronsztadzki, za przedstawioną senatowi Akademii rozprawę

otrzymał stopień kandydata św. teologii. Metropolita solennie ogłosił nazwiska wszystkich, którzy pozyskali stopnie naukowe i wysłuchał ich przysięgę. Uroczyste też odbyło się nadanie profesorowi Akademii, ks. kanonikowi Janowi Cieplakowi, tytułu doktora św. teologii. Akademia pozyskała już za czasów ś. p. metropolity Gintowta, przywilej nadawania tytułu doktora św. teologii lub prawa kanonicznego. Senat akademicki ozdobił tym stopniem dotychczas 3 tylko osoby: obecnego metropolitę B. Kłopotowskiego, ks. Retkego, oraz ks. Cieplaka. *Honoris causa* posiadają ten tytuł od Akademii: profesor wszechniży Jagiellońskiej, ks. Knapieński i ks. Chodyński. Po stosownych przemówieniach, podnoszących wiedzę i zasługi ks. Cieplaka, ks. metropolita w imieniu Papieża romował go na doktora i włożył na laureata oznaki doktorskie: krzyż, pierścień i biret, poczem ks. Cieplak wygłosił z katedry odczyt i zaznaczył, że zamłowanie do nauk teologicznych zawiązcza dawnemu swemu profesorowi, a potem kolede, dzisiejszemu metropolicie. Chór akademików zaśpiewał «Ad multos annos»; obecni zaś składali nowemu doktorowi powisowanie. W kaplicy odśpiewano następną «Te Deum laudamus». Po akcie odbyła się uczta, w której brał udział ks. metropolita, rektor, profesorowie i wiele innych osób. J. J.

* W kościele św. Winickim (gub. kaliska), podług opowieści miejscowego ludu, wydarzył się miał cud, polegający na tem, że na monstrancji ukazywał się począł wizerunek Zbawiciela. Wizerunek ten widziany być miał z każdej strony monstrancji. Do Świnicy gromadzić się zaczęły tłumy pobożnych, życzących sobie cud ten oglądać. W celu zapobieżenia dalszym pogłoskom, dziekan miejscowy, zawiadomiony o tem przez naczelnika powiatu, delegował ks. Bukowskiego, oraz ks. Pawelskiego, którzy przekonałi się na miejscu, że «wizerunek» pochodzi wskutek naturalnego przelamywania się promieni słonecznych na szkle monstrancji i znika po jej przestawieniu. Mimo to lud jeszcze napływa do Świnicy.

* Niemcy wciąż dążą do uzyskania protektoratu nad misjami katolickimi na Wschodzie, który dotąd był przywilejem Francji; w tym celu—jak donosi «Temps»—zostały zrobione propozycje rozciągnięcia protektoratu niemieckiego nad misjami rządów Holandji, Belgji i nawet Hiszpanji.

Prawo i sądy.

** W d. 30 maja przed sądem okręgowym wojennym w Warszawie, jak donosi «Warsz. Dniw.», stanął b. starszy adiutant sztabu okręgu warszawskiego, podpułkownik Anatol, syn Mikołaja, Grimm, oskarżony na mocy art. 256 kod. karn. Obradom sądu przewodniczył prezes, jen. lej. Strelnikow, oskarżenie wnosil p. o. prokurator pułk. Granowski, obrońcą z urzędu był kapitan Zabiełto. Rozprawy odbywały się przy drzwiach zamkniętych, w obecności jen. adj. Czertkowa. Do śledztwa wezwano 16 świadków i 1 biegłego. O godzinie 11 wieczór, d. 31 maja, przewodniczący ogłosił wyrok, skazujący Grimma na pozbawienie wszystkich praw stanu i na oddanie do ciężkich robót na lat 12. Wyrok w formie stanowczej został ogłoszony w d. 3 czerwca.

** Przy ministerstwie sprawiedliwości utworzono komisję dla opracowania kwestji oddania spraw rozwodowych sądom świeckim.

** Obecnie w Wiedniu toczy się proces o oszustwo. Oskarżona, nazwiskiem Pajarola, żona majstra kamieniarskiego, rozszedłszy się z mężem, odgrywała rolę powiernicy pań i panów z arystokracji i zaciągała zarówno u lichwiarzy, jak i u łat-wowiernych osób prywatnych znaczne długi

na weksle, ze sfalszowanymi podpisami. Ogólna suma długów oszustki wynosi około 400 tys. koron. Między innymi zamieszane są w ten proces, pozostająca pod kuratelą, hr. Marja Pińńska, oraz hr. Kielmansegg, małżonka namiestnika Dolnej Austrii. Ta ostatnia o tyle, że Pajarola utrzymywała, iż pożyczka pieniądze dla niej. Wezwana, jako świadek, hrabina zeznała pod przysięgą, że podsądnej nie zna zupełnie, a weksle z jej podpisem, są sfalszowane.

** W sprawie Szadurskiego Senat wyznał, że jeżeli najwyższa cena, ofiarowana na licytacji majątku, wystawionego na sprzedaż za długi prywatne, nie pokrywa zaległych powinności skarbowych, tedy skarb ma prawo zatrzymać majątek dla siebie.

** P. o. pomocnika ober-sekretarza pierwszego departamentu Senatu, radca dworu Bolcewicz, mianowany został towarzyszem prokuratora sądu okręgowego w Kiszyniowie.

Szkoły i młodzież.

* Szkołę prawa w Petersburgu w r. b. ukończyli następujący polacy: Józef Wielowiejski (medal złoty, zapisany na tablicy marmurowej), Kaz. Paszkowicz, Jan Kiersnowski, Eug. Cwirko-Godycki, Hen. Bławdziewicz i Konst. Biskupski.

* W r. b. studenci wojskowej Akademii lekarskiej po raz pierwszy powołani zostali do służby obozowej. Punktem zbornym jest obóz 3 dywizji grenadierów pod Jarostawiem na brzegu Wołgi, dokąd udało się już 125 studentów. W stosunkach z władzą wojskową i w sprawach służby wewnętrznej studenci-medycy korzystają z praw, przysługujących junkrom szkół wojskowych. Rozpoczęło się już przyjmowanie podań o przyjęcie do Akademii, do której po raz pierwszy przyjmowani będą wychowawcy szkół realnych.

* Profesorowie kilku uniwersytetów niemieckich, w liczbie 126, wnieśli do ministerstwa pruskiego protest przeciwko nie-dopuszczaniu do uniwersytetów pruskich Polaków i Czechów, poddanych austriackich.

Osobiste.

∞ Artysta-malarz Wojciech Kossak, o którym doniesiono, że był obecny w orszaku ces. Wilhelma w Malborku podczas mowy antypolskiej, nadesłał do «Czasu» następujący telegram: «W imię sprawiedliwości muszę sprostać wiadomości, jakobym był w Malborku. Byłem proszony, ale nie pojechałem. Świadczyć mogą o tem posłowie polscy w Berlinie. Podpisano: Kossak».

∞ Poseł czeski, Wacław Kłofacz, który tyle krwi napsuł niemcom wystąpieniem w Wiedniu przeciw mowie malborskiej cesarza Wilhelma, jest z zawodu dziennikarzem i redaguje czasopismo «Czeska Demokracja». Mieszka stale w Pradze, a wybrany został z piątej kurji okręgu Litomyśl. Jest to 34-letni przystojny mężczyzna. Kiedy ś. p. Ferdynand Weigel, jako prezydent ze starszeństwa, zaczął raz w Izbie mówić, Kłofacz zawołał: «Mów pan po polsku. My nie rozumiemy po niemiecku». Później przeprosił Kłofacz sędziwego prezydenta, tłumaczył się jednak koniecznością zaznaczenia swojego stanowiska. Kłofacza, podobnie jak niedawno Holandskiego za mowę w sprawie wrzesińskiej, polacy galicyjscy zasypują podziękowaniami.

∞ Paryżki świat muzyczny podejmował bawiącego chwilowo w Paryżu p. Emila Młynarskiego, artystycznego kierownika Filharmonji warszawskiej; na cześć jego pp.: Collonne, bracia Thiebaud, skrzypek i wiolonczelista, Raul Pugno i inni wyprawili świetną ucztę. Podejmowano na niej

zasłużonego muzyka toastami i przemówieniami.

∞ Znakomity artysta-malarz, p. Józef Brandt, z małżonką swoją p. Heleną z Woyciechowskich 1-voto Pruszkowa, obchodził w Orońsku, w gub. radomskiej, uroczystość srebrnych godów.

∞ Jak donosi «Nordd. Allg. Ztg.», zareczony ks. Stan. Radziwiłła z hrabianką Henrietą Chotkówną, siostrą małżonki austriackiego arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, zostały zerwane.

∞ Kazimierz Tetmajer, poeta, zachorował na tyfus.

Wypadki.

∞ Ze Stawuty (gub. wołyńska) piszą do nas: W d. 31 maja niepamiętna nawalnica nawiedziła Stawutę i wsię okolice ks. Sanguski. Przez pół dnia deszcz lat strumieniami, zalewając niżej położone miejscowości. Trzy stawy sławuckie wezbrały, a woda, zerwawszy groble, w ciągu kilkunastu minut zalała duży obszar, unosząc w silnym pędzie zabudowania i mienie mieszkańców do rzeki Horynia. Straty, zrządzone nawalnicą w Stawucie, obliczają na kilkadziesiąt tysięcy rubli. Kw.

∞ Królowi włoskiemu Wiktorowi-Emanuelowi zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Gdy w górach sabińskich zjeżdżał samochodem z Pofi do Cescano, hamulec przestał działać, automobil zaś z szaloną szybkością począł pędzić z góry w przepaść. Król, z całą siłą skrzywiony kierownicę, wjechał na podwórze klasztoru oo. Franciszkanów, położonego tuż nad przepaścią. Król udał się piechotą do Rzymu.

∞ Współwłaściciel słynnego domu bankowego w Berlinie, Jerzy Bleichröder, padł ofiarą wypadku z samochodem. Powracając z Paryża, wsiadł w Düren na automobil, aby udać się do zamku Lechenich. Kierował sam i zetknął się gwałtownie z wozem towarowym. Wyrzucony całym impetem z automobilu, uległ pęknięciu czaszki i wyzionął ducha.

∞ W d. 11 czerwca dokonano zabójstwa na osobie administratora majątku «Hutta», w gub. suwalskiej, Mieczysław Rydzewskim. Włóścianie miejscowi wpuścili swe konie na pola dworskie; z rozkazu administratora konie umieszczone w jednej ze stodół dworskich. Właściciele koni ruszyli do majątku «Hutta» z zamiarem odbicia koni. Gdy administrator siłował przeciwdziałać gwałtowni, włóścianin Nowicki wystrzelił do niego z dubeltówki i zabił na miejscu. Ś. p. Mieczysław Rydzewski był sekretarzem rady suwalskiego Tow. rolniczego i liczył 35 lat.

∞ Pod Gdańskiem w Petersburgu przed starym cmentarzem wagon kolei elektrycznej wjechał na grono grabarzy, niosących zmarłego. Trumna metalowa spadła na czterech grabarzy, którzy są ciężko ranieni. Kilka innych osób także poniosło raży.

∞ Inżynier Juljusz Prinetti, bratanek ministra Prinetti, został zabity przez spadającą lawinę podczas wycieczki na Monte Grigno, pod Lecco, towarzysz jego zaś, profesor Riva, jest ciężko ranny.

Różne.

∞ Włóścianin z gub. kostromskiej, Iwan Artamonow, fanatyczny wielbiciel słynnego o. Jana Kronsztadzkiego, ułożył na jego cześć antyfonę, p. t.: «Antyfony do wielce cudownego świętego Joanna Ilijca Siergiejewa, w Trojcy sławionego». Po otrzymaniu tej antyfony, o. Jan Kronsztadzki napisał do jej autora—jak donosi «Russ. Słowo»—list, pełen wyrzutów, zakończony temi słowy: «Jak śmiałeś mnie, grzesznika, zrobić świę-

ty? Kim się sam być mienisz? Zapomniałeś widać, żeś głupiec bezmyślny i warjat. Przeklinam twoją antyfonę. Oświadczyć to swoim uczniom i wyznawcom. Proboszcz soboru w Kronsztadzie, Jan Siergiew, 24 maja 1902 r."

W Helsingforsie odbędzie się zjazd skandynawski naturalistów i lekarzy. Pierwsze posiedzenie otwartem będzie 7 lipca n. st. Zapisało się już na zjazd około stu osób, wśród których znajdują się bardzo poważni uczeni.

Sport.

> „Wielką nagrodę paryską" — 200 tys. franków — zdobył 15 czerwca „Kizil Kourgan" p. de St. Alary, drugim dopiero był derbista „Retz".

> Wyścigi na torze Kołomijskim pod Petersburgiem odbywają się dotąd przy nader ograniczonej ilości drugorzędnych stajen. W tej liczbie uczestniczą z powodzeniem konie pp. A. Daszewskiego i P. Guońskiego. W tych dniach dopiero, wobec kończących się wyścigów warszawskich, oczekiwane są stajnie: J. Reszkego, M. Lazarewa, Sonnenberga i in. Najlepsze zresztą konie wyprawione zostały do Moskwy, z kądem przybyła do Petersburga aż po rozegraniu „Derby", wyznaczanego zwykle na ostatnią czerwcową niedzielę.

> W dniu 12 czerwca otwartą została w Warszawie pierwsza wystawa psów. Jako nowość, zainteresowała ona szerokie koła.

W młoscie gub. Orle pojawił się ktoś, nazwiskiem Księżpolski, podający się — jak donosi „Orl. Wiestn." — za korespondenta kilku pism rosyjskich oraz „Kraju". Wobec tego zmuszeni jesteśmy oświadczyć, że na liście współpracowników „Kraju", zarówno stałych jako też i przygodnych, nazwisko to nie figuruje.

BIURO INFORMACYJNE

PRZY REDAKCJI „KRAJU"

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

1201. W. H. Małk. w Ciach. Projekt podwyższenia etatów nauczycieli szkół ludowych, o którym wspominaliśmy w N-rze 20 „Kraju", podług zasięgniętych przez nas informacji źródłowych, spoczywa dotąd w ministerstwie oświaty, sprawa więc ta nie prędko jeszcze może być ostatecznie zdecydowana.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZINY.

W Koszowie, pod Wyrzyskiem w W. Ks. Poznańskim, JE. ks. biskup Likowski pobłogosławił związek małżeński panny Marij Komierowskiej, córki posła do parlamentu, szambelana i Marij z Kurnatowskich, z d-r'em Leonem Janta-Potczyńskim, wł. dobr. Komorza i Wysoka.

W Warszawie odbyły się zaręcziny panny Wandy Stanożęckiej, córki ś. p. Stanisława i Jadwigi z Zukowskich, z hr. Włodzimierzem Mielżyńskim, synem Władysława i Ludwiki z hr. Łubińskich.

D. 1 czerwca w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach w Warszawie, pobłogosławiony został związek małżeński panny Wandy Makowieckiej, córki Ludwika i Marij z Białosiewiczów, z p. Mieczysławem Linowskim, synem Wacława i Stanisławy z Węsierskich.

D. 10 czerwca w kościele M. Boskiej w Nizy odbyły się zaślubiny p. Rity Busse z wice-hrabia Klemensem de Maugny.

DONIESIENIA.

NOWOŚĆ!!!

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

„BANKI MYDLANE"

(s. Kurjera Warszawskiego)

K. LASKOWSKI (EL'A),

z przedmową dr Władysława Rabskiego.

Skład główny: Warszawa, księgarnia Wendego.

Tęgoż autora:

tryptyk sceniczny wierszem

„POGRZEB"

Nakładem księgarńi Dubowskiego w Warszawie.

Zatw. przez Minist. Skarbu

KURSY HANDLOWE

Gust. Chwat-Czyńskiego

męzkie

i oddzielne

żeńskie

Programy bezpł. księg. Fiszera, Nowy-Świat 9.

W zastosowaniu się do przepisu § 26 Ustawy, Dyrekcja Towarzystwa „Przeźorność" w Warszawie ma zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że na mocy decyzji ogólnego zebrania członków tegoż Towarzystwa, zapadła w d. 11 czerwca r. b., do składu Dyrekcji powołany został mecenas Leon Grabowski.

LOKAJ

z dobr. rekom., umiejący gotować, poszukują miejsca na wyjazd lub w mieście. Adres: Petersburg, Fontanka 97 m. 2.

KOCHA

w Warszawie, Miodowa 2, można się dobrze i tanio ubrać.

LEGNIKA DLA KOBIET
D-ra KORABIEWICZA.
Telefon 3548.
Petersb. Czernyszow zaul. 12 (przy moście).
Stale 162ka. Przyj. chor. 11—12 i 5—7 g.

NEKROLOGJA.

W d. 23 czerwca 1902 r. odbędzie się, według ostatniej woli

ś. p. ZYGMUNTA

hr. Wielopolskiego

złożenie serca jego w grobach rodzinnych w kościele parafjalnym w Młodzowach, o godz. 12 w południe.

Na obrzęd ten i nabożeństwo żałobne Aleksander margrabia Wielopolski krewnych, przyjaciół i życzliwych zaprasza. W dzień oznaczony na stacji Jędrzejów drogi żelaznej Iwanogrodzko-Dąbrowskiej pojazdy czekać będą o godz. 9 rano. Osobne zaproszenia rozsyłane nie będą.

† Ś. p. Tadeusz Hrehorowicz,

dr. prawa, były profesor liceum w Jarosławiu, następnie uniwersytetu w Warszawie, adwokat przysięgły w Mińsku litewsk., a w końcu prof. uniwersytetu w Kazaniu, jeden ze zdolniejszych i szlachetniejszych ludzi na Litwie, po długich i ciężkich moralnych cierpieniach, zmarł nagle w zakła-

dzie leczniczym w Kowanówku, w W. Ks. Poznańskim d. 1 maja r. b., zdala od kraju i rodziny, do których tęsknił całym sercem i w wieku lat 52. Niniejszem uprasza się łaskawie krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłego o modlitwę za spokój jego duszy.

LISTA ZMARŁYCH.

† Zmarli w Warszawie: Dadziński Filip, l. 45; Górka Marja, l. 57; Hirszman Teresa z Wasilewskich, l. 80; Leszczyńska Helena, l. 42; Olszański Stanisław, uczeń szkoły technicznej, l. 20; Pstrokoński Michał, b. obywatel ziemski; Sokolnicki Alfons, radca stanu, l. 75. Na prowincji: Czechowicz Mieczysław, obywatel ziemski, l. 42 — w Biesiadach, gub. wileńskiej; Chwalibóg Hipolit, b. prof. b. Szkoły Głównej, l. 78 — w Mysławiu; Neyman Franciszka, l. 47 — w Nałęczowie; Małachowska Tekla z Jakubowskich, l. 100 — w Krakowie; Suchodolska Izidora z Krzczunowiczów — we Lwowie; Roszkowski Roman, lat 40 — w Petersburgu.

EKONOMISTA.

Z TYGODNIA.

W sprawie kredytu drobnego. Projekt ustawy o utrzymaniu dróg w Królestwie Polskiem. Politechnika petersburska.

Z szeregu materiałów, dostarczonych Radnicie nadzwyczajnej do podniesienia rolnictwa, „Wiest. Finansow", stosownie do zapowiedzi, zamieścił obecnie memoriały i opracowania, dotyczące organizacji kredytu drobnego. Wobec istotnego znaczenia tego czynnika dla rolnictwa, zwłaszcza włościańskiego, podajemy poniżej streszczenie poglądów ministerstwa skarbu na środki, mogące wpłynąć na rozwój kredytu drobnego. Po podaniu krótkiego zarysu rozwoju historycznego organizacji tego kredytu w Rosji, memoriał odnośnie przedstawia stan obecny i porównywa go ze stanem rzeczy w Europie zachodniej. Z tego zestawienia statystycznego wypada, że w chwili obecnej istnieje w państwie rosyjskiem naogół 3,675 instytucji drobnego kredytu, a mianowicie: 1,320 kas gminnych w Królestwie Polskiem, 843 towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, 653 banków wiejskich, 596 kas gromadzkich (wołosnych), 145 kas pomocy w gub. mohylewskiej i 118 spółek kredytowych. Nie wszystkie jednak z tych instytucji są czynne, o działalności zaś niektórych żadnych wiadomości w ministerstwie skarbu niema. Z dostarczonych sprawozdań wypada, że ogółem w instytucjach drobnego kredytu znajduje się kapitałów 69 milj. rb., w tem w kasach gminnych 24,5 m. rb. i w towarzystwach pożyczkowo-oszczędnościowych 32,5 m. rb. Przeciętna stopa procentowa od pożyczek równa się 10 proc., od wkładów 6 proc. Kapitały te są bardzo nierównomiernie podzielone pomiędzy pojedyncze okręgi państwa, bo najwięcej, przeszło 1/3 całej sumy kapitałów, mianowicie 26 milj. rubli, przypada na gubernie Królestwa Polskiego, zaś 1/5, czyli 14 milj., na gub. nadbaltyckie, wówczas, gdy 3 gub. litewskie mają tylko 3,5 milj. kapitału w instytucjach drobnego kredytu, 3 południowo-zachodnie 2,5 milj. rb. i 3 białoruskie 1,5 milj. rb. Na pozostałe gubernie państwa

rozyjskiego przypada zatem mniej niż 1/5, mianowicie 21,5 milj. rb.

Przeciętnie na jednostkę ludności sumy kapitałów, znajdujących się w instytucjach drobnego kredytu, stanowi 54 kop. Jak dalece jest to kwota mała, świadczy porównanie Rosji z państwami Europy zachodniej, nawet z najmniej ekonomicznie rozwiniętymi, jak np. Włochy, gdzie suma kapitałów, ulokowanych w drobnym kredycie, równa się na jednostkę ludności 6 rb., a w Austrii — 8 rb. W zrozumieniu ogromnego znaczenia taniego kredytu dla mniejszej własności ziemskiej, ministerstwo skarbu projektuje następujące środki zaradcze: utworzyć specjalny zarząd centralny do spraw kredytu drobnego i ziemskie komitety miejscowe, polecając im zbadać działalność istniejących instytucji kredytowych, wskazanie potrzebnych zmian, zaprojektowanie nowych źródeł kredytu, pociąganie do udziału w otwieraniu tych źródeł siły miejscowe, wreszcie rozciągnięcie dozoru nad działalnością tych instytucji kredytowych z prawem zasilania ich w miarę potrzeby środkami, na który to cel przeznaczyć ze środków kasy państwa jednorazowo 10 milj. rubli, oraz oddać do rozporządzenia sumy pozostałe od kapitałów, wyznaczonych na zapomogi ludności rolniczej w lata nieurodzajne 1891 i 1892; upoważnić zarządy ziemskie do otwierania centralnych ziemskich kas drobnego kredytu, w celu jednoczenia działalności odnośnych instytucji kredytowych; przejrzeć ustawy niektórych przestarzałych pod względem formy kas pożyczkowych; pozostawić zatwierdzenie ustaw nowych instytucji drobnego kredytu władzy gubernatora; powołać do udziału w zakładaniu i dozoru podobnych instytucji towarzystwa rolnicze, zwłaszcza w guberniach nieziemskich; powołać do udziału w zarządach kas nauczycieli i duchowieństwo; wreszcie wydać broszurę, popularyzującą cel, zadania i czynności kas drobnego kredytu.

Bardzo w porę, ze względu właśnie na włączenie do programu zajęć Rady nadzwyczajnej sprawy drogowej, opracowany został przez delegację drogową warszawskiego Oddziału Tow. popier. przem. i han. projekt ustawy o utrzymaniu dróg w Królestwie Polskiem. Ułożony w języku urzędowym, projekt ustawy złożony został władzom krajowym wyższym, które ze swej strony przesłały go do opinii gubernatorów. Według projektu delegacji, drogi podzielone zostały na trzy kategorie: do pierwszego rzędu zaliczono drogi ziemskie gubernialne, do drugiego rzędu drogi gminne, do trzeciego — drogi wiejskie. Drogi pierwszego rzędu powinny być utrzymywane na koszt gubernialnej opłaty drogowej, drugiego rzędu na rachunek powinności gminnej, trzeciego rzędu na koszt gromad wiejskich i właścicieli ziemskich, przez których grunta one przechodzą. Nad utrzymaniem dróg w stanie należytych mają dozór specjalne komitety gubernialne i gminne, z udziałem w nich sił miejscowych. Dla komitetów gminnych, nadzorujących stan dróg II i III rzędu, delegacja opracowała szczegółową instrukcję. W razie przyjęcia projektu tej ustawy drogowej, skasowana ma być powinność szarwarkowa.

Na innym miejscu podajemy szczegółowo o otwarciu od jesieni Politechniki petersburskiej. Tu wyrazić chcemy tylko żywe zadowolenie z powstania nowego źródła wiedzy technicznej, tak potrzebnego w obecnej dobie rozwoju przemysłu. Kwestja otwarcia tego zakładu była jeszcze niedawno tak poważnie zagrożoną.

J. G—r.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Ogólne.

Wydział handlowy ministerstwa skarbu, projektując pewne środki w celu uporządkowania handlu żelazem, zwrócił się do komitetów giełdowych z prośbą o udzielenie mu danych według określonego programu. Prócz tego wydział prosi o pomoc w wyjaśnieniu obecnego stanu miejscowego rynku żelaznego, ze wskazaniem, z jakiego okręgu każdy gatunek pochodzi, jakich produktów — moskiewskich, polskich, czy południowych zakładów — używa dany rynek.

W Petersburgu odbyła się narada producentów cukru, celem rozpatrzenia zmian w unormowaniu cukru. Uchwalono, prócz kontyngensu konsumcyjnego, ustanowić kontyngens produkcji maksymalnej dla poszczególnych fabryk cukru. Nadprodukcję po nad normą maksymalną wolno będzie doliczać do nowej kampanji w każdej ilości, ale obciążać będzie wyłącznie fabrykę, która ją wyprodukowała. Zmiany powyższe, o ile otrzymają sankcję prawodawczą, zaczną obowiązywać z dniem 14 września 1903 r., to jest jednocześnie z rozpoczęciem działalności konferencji brukselskiej cukrowników.

Główny zarząd dróg żelaznych postanowił wprowadzać stopniowo w użycie na kolejach skarbowych podkłady żelazne na miejsce dębowych i sosnowych, nasyconych różnymi składnikami. Na wielu drogach żelaznych zagranicznych podkłady żelazne już od dłuższego czasu są czynne z bardzo dobrym rezultatem, pomimo że narazie wprowadzenie ich pociąga znaczne zwiększenie kosztu.

Członek rady ministra rolnictwa, rz. r. st. A. A. Szulc, delegowany został do gub. kowieńskiej w celu zbadania stanu szkoły gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt w Ponimuniu bar. Budberg i szkoły mleczarstwa w Podgaju p. Iwanowicza, z kąd uda się do gub. siedleckiej, gdzie w majątku Czekanowie, należącym do monasteru Wirowskiego, ministerstwo zakłada podobną szkołę gospodarstwa wiejskiego dla kobiet.

Dla dostarczenia możliwości załozce, oraz odcierom marynarki składania oszczędności podczas długotrwałych podróży, z d. 15 b. m. zezwolono na otwieranie na statkach, wyruszających w podróż, oddziałów państwowych kas oszczędności.

Rada państwa, po rozpatrzeniu złożonych przez ministra rolnictwa i dóbr państwa projektów ustaw kasy emerytalnej i kas pomocy dla robotników górniczych Królestwa Polskiego, uznała za konieczne zebrać dodatkowo dane o obowiązkowym państwowym ubezpieczeniu robotników zagranicą. W uskutecznieniu tego minister rolnictwa delegował członka rady górniczej, r. t. A. A. Sztofa, do Austrii i Niemiec dla obznajmienia się ze stanem rzeczy w tych państwach, a usdo polecił mu wziąć udział w mającym się odbyć w Düsseldorfie kongresie międzynarodowym w sprawie wypadków nieszczęśliwych wśród robotników.

Ostatni zjazd konwencyjny przedstawicieli kolei żelaznych polecił osobnej komisji obmyślenie środków, mogących zapobiec zbyt wielkiej ilości pretensyj, rozszczyonych obecnie do kolei żelaznych, wsku-

tek rozpowszechnienia się zwyczaju skupowania listów frachtowych przez zawodowych pieniaczy.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 6 (19) czerwca. Uspokojenie giełdy względnie mocne, obroty średnie. Podniosły się ceny zwłaszcza walorów metalurgicznych. Stały, chętny popyt na papiery państwowe i hipoteczne. We środę płacono — banki: handl.-przemysł. 217, międzynarod. 326, dyskontowy 366,5—365, wołgokamski 950; walory naftowe: bakińskie 441,5, kaspijskie 4600, udziały Nobla 10600; metalurgiczne: brianskie 109—112, sormowskie do 103, pufiowskie 62,25, baltyckie wagonowe (nominalnie) 1000. Pożyczki premjowe: I — 472,5, II — 361, III — 292,75 — 292. Renta 967/8.

Warszawa, 14 czerwca. Listy zastawne siemakie 4 1/2-proc. 99,10—99,25; 4-proc. — 89,80 89,90. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. (w śądaniu) — 100,35; 4 1/2-proc. (w tranzakcjach) — 93,75 — 93,85. Tendencja ogólna słaba wobec przewagi podaży nad popytem. Z akcji notowano: Rudzkie 675, Lilpop 1800, Starachowickie 144, Zawiercie 350.

Czeki: Bank państwa sprzedaje — na Londyn po 94 rb. 80 k. za 10 funt. szt.; na Berlin 46 rb. 30 k. za 100 mar.; na Paryż 37 rb. 60 k. za 100 franków; na Wiedeń 39 rb. 55 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa 4 1/2 — 5, giełda 4 1/2 — 6 1/2 proc., w Londynie, Paryżu, Berlinie, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Wiedniu 3 1/2 proc., w Kopenhadze 4 proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Ogólne uspokojenie rynków zagranicznych w tygodniu ostatnim nieco wzmocniło się, dzięki sprawnemu Biura rolniczemu w Waszyngtonie, które oblicza, iż niedobór pszenicy w roku bieżącym — w stosunku do zbiorów sześciopoczątkowych — wyniesie 110 do 125 milj. bushli. Za to zbiór owsa oczekiwany jest w Ameryce o wiele obfitszy. Z zachodnich kresów Europy dochodzą też niepomyślne wieści o stanie przyszłych zbiorów, co wzmieniająco wpływa na ceny ziarna. Dobry popyt i mocno z pszenicą i owsem w Niemczech. Płacono:

	Pszenica.	Zyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku..	93,75	—	—	—
„ Londynie 100,5—103,25	—	109,5—111	92,25	—
„ Berlinie..	126,5	110,5	121,5	—
„ Hamburgu..	—	81	—	—

Na rynkach rosyjskich obroty drobne i tendencja, wobec dobre zapowiadających się urodzajów, słaba. Zniżka dotknęła głównie owies, na który popyt bardzo niewielki. W portach ruch z ziarnem słaby. Płacono:

	Pszenica.	Zyto.	Owies.	Jęczmień.
W Warszawie	98—108	79—82	97—103	76—80
„ Wołoczyskach 81—92	60—64	—	—	—
„ Odessie..	86	75	86	70
„ Mińsku..	95—100	75—80	85—100	85—90
„ Libawie..	—	83	89—101	—

WIEŻNA Jak donoszą do „Torg.-Prom. Gazety" — jarmark wełniany w Poseniu odbył się przy tendencji mocnej, przyciem za dobrą wełną płacono ceny o 6 do 10 marek wyższe, niż rok temu. Wełny niemiełe dobrych gatunków cenione były o 10 marek drożej. Ogółem dostarczono 2,331 centnarów wełny; na 1,421 centn. mniej, niż w roku szeszłym. Ruch sprzedawny nie był ożywiony.

MASŁO (kor. „Samopomoczy") w Rydze — na wywóz — I gat. 33—35 kop., II gat. 30—32 k., III gat. 28—29 kop. za funt.

SPROSTOWANIE.

Podania do Instytutu politechnicznego we Petersburgu należy złożyć przed 1 lipca r. b., a nie przed 15. jak mylnie podano w N-rze 22. W N-rze 22 na str. 252 działu ilustrowanego mylnie podano miejsce urodzenia prof. H. Jewniwicza; czytać należy: maj. Kiemia, gub. mohyl.

ODPOWIEDZI ADMINISTRACJI.

W. N. w Soszewce. Żądane egz. „Kraju" z r. 1898 przesłamy po zakomunikowaniu adresu.

Przy datkach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedynczo.

Redaktor i Wydawca

Erazm Piltz.

Całkowite urządzenia cegielni i maszyny do wszelkiego rodzaju wyrobów z gliny.

Łamacze i młynki do rozdrabniania i mielenia kruszców, kamieni i t. d. do wyrobu cegły z piasku i wapna, piasku i cementu, żużli i innych materiałów; tłocznie uniwersalne do wszelkich artykułów budowlanych.

Maszyny różnych systemów do wyrobu z piasku i cementu dachówek równoległobocznych i podłużnych z pojedynczymi i podwójnymi żłobkami, płyt na chodniki, kolorowych, mozaikowych gładkich i wypukłych (relief) na posadzki, formy żelazne do fabrykacji rur i innych przedmiotów kanalizacyjnych, stopni schodowych etc.

Tłocznie do brykietowania trocin, węgla brunatnych; urządzenia do przetwarzania najlichszych odpadków węgla



kamiennego na wysokowartościowy opalowy materiał, p. n. «Absorbida».

Maszyny parowe, motory naporowe, fowe, gazowe, motory połączone dynamo-maszynami do oświetl. elektrycznego, przyrządy do wytw. gazu dla motorów.

Rekonstrukcje nieprawidłowo funkcjonujących cegielni oraz fabryk wyrob. ceramicznych i cementowych.

Licencje na pat. suszarnie opalane. (1334)

BIURO TECHNICZNE:

A. Sikorski i K. Kurcewski.

Oddział maszyn i fabrykacji, w Warszawie, Krucza 2.

SPELNIONA WRÓŻBA. — Cóż ci przepowiedziała cyganka?
— Przykrą stratę. Jakoż po jej odejściu spostrzegłem brak pugilaresu i zegarka. (Fleg. Bl.)

POZYTECZNA NOWOŚĆ.



Czarne oksydowane, eleganckie zegarki kieszonkowe, zwykłego formatu «Remontoir», z budzikiem «Energie». Cena z przesyłką pocztową, zamiast 35 rb., tylko 12 rb. 50 k. Precyzyjne te budziki bywają fasonu płaskiego, dzwonią głośno i długo, nakręcają się raz na 36 godzin, chód na 10 kamieniach. Stanowią one wyrób pierwszorzędnej fabryki genueńskiej. Dzięki swej udoskonalonej konstrukcji, znalazły one rozpowszechnienie: we Francji, Austrii, Niemczech i Włoszech. Budziki «Energie» są niezbedne dla każdego, nie tylko w nocy jako budzik, lecz i podczas dnia, gdyż mogą przypominać rozmaite ślepienia, z tego względu mogą być zalecane szczególnie pp. doktorom, oświeconym, urzędnikom, kupcom i t. p. Budziki «Energie» są patentowane za № 956180, wyłączone z Rosji i Królestwa oddana została mojemu składowi. Zapełna gwarancja fabryki za dobry chód budzika. Upraszam o zwrócenie uwagi na napis na cyferblacie: «Energie». Zegarki bez niniejszego napisu — podrobione. Zegarki czarne bez budzika «Remontoiry», chód na kamieniach, odkryte 6 rb., kryte 7 rb. Damskie zegarki czarne o 1 rb. drożej. Pp. zegarmistrzom rabat. Obstatunki z powinejki uskutecznią się akuracie za zaliczeniem pocztowym. Adres: Przedstawiciel fabryki budzików «Energie», Warszawa, Długa 47: Michał Jakubowicz P. S. Do każdego zegarka dołączam piśmienną 5-cioletnią gwarancję za chód, za trwałość budzika i sposób użycia. (1385)

RUŚKIEWICZ i GODLEWSKI Inżynierowie

Warszawa, Szkolna 4.

Biuro elektro-techniczne. Urządzenia światła elektrycznego, przenoszenia siły elektrycznej na odległość. Elektro-chemiczne oczyszczanie soków cukrowych rzadkich i gęstych sposobem Lavollay'a i Bourgoin'a; sposób roboty na dyfuzji Naudef'a. Dostawa wszelkich artykułów technicznych. (1159)

Zakład naukowy 6-cio klasowy z pensjonatem

PAULINY HEWELKE

Marszałkowska 122, w Warszawie. (1303)

Pensja 6-cio klasowa żeńska z internatem

HELENY KOWALEWSKIEJ

ul. Foksal 13, w Warszawie. (1350)

IWONICZ

Zakład zdrojowo-kąpielowy i klimatyczny w Galicji
(stacja kolejowa Iwonicz).

Najsilniejsza szcawa słono-jodowo-bromowa. Oddawna stwierdzona jej skuteczność we wszystkich postaciach zółzów (scrophulosey), w chorobach kości, skóry i w ogóle we wszystkich chorobach, wymagających przyspieszenia odnowy materji. Urządzenie zakładu wzorowe, oświetlenie elektryczne, wodociąg. Wyborna muzyka. Apteka poczta i telegraf w Zakładzie. Lekarze Zakładowi: 1) Dr. Józef Wernicki ze Lwowa, 2) Dr. Julian Staniszewski z Krakowa; oprócz tego trzech lekarzy wolnopraktykujących.

W sezonie I do 20 czerwca i w 3 od 20 sierpnia mieszkania znacznie tańsze. Zamówienia na mieszkania, wodę mineralną, sól, ług i namuł przyjmuje i wszelkich wyjaśnień udziela (1404)

Dyrekcja Zakładu zdrojowo-kąpielowego w Iwonicy.

**PATENTOWANY ANGIELSKI
PLATINUM ANTI-GORSET.**

Premjowany

na wszystkich higienicznych wystawach Europy.



Główne jego zalety są:
a) Że nie posiada brykli i bocznych stulek, gdyż platynowe zapięcie nowej konstrukcji w zupełności takowe zastępuje.
b) Może być każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, gdyż platynki mogą być momentalnie wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia.
c) Platynki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją, nie łamią się nigdy, i dlatego każda dama może swobodnie ta kowy przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm.
d) Materiał gorsetu jest mocny, kolory trwałe, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości.



e) Przez swój dobry fason i odpowiedni krój gorset nasz daje się do każdej figury zastosować.
f) Osoby brzemiennie mogą do woli gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiące zaś, nie rozpinając — karmić.
g) Ażeby zaznajomić jaknajszerszy ogół z naszym udoskonalonym Platinum Anti-gorsetem, nazaczyliśmy na takowy możliwie niskie ceny, a mianowicie:
L — rb. 4.85. LW z walansjenką — rb. 5.35.
Oze-czu-cza — rb. 5.50. C. C. z wolansjenką — rb. 5.95. Kanwowy — rb. 6.50. Batorystowy — rb. 6.50.

Tiulowy Ażur z walansjenką — rb. 6.50.
Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej.
Do obstatunku należy dołączyć szerokość jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach także i biodrach, mierząc oną połowę na stałe werszarkami, centymetrem lub tasiemką, albo też donieść numer noszonego gorsetu.
Panie, gorsetów nie używajcie, zechcą przysłać mierząc w około pod pachami
1) Pełny obwód w piersiach;
2) Pełny obwód talii;
3) Długość boku od pachy do talii.
Gorsety wysłane pocztą zamieniamy, wysyłając je na swój koszt, jeżeli okażą się nieodpowiednimi.
Wyłączna sprzedaż na całą Rosję i Królestwo Polskie w fabrycznym składzie

„Hygiena“ w Warszawie, Bielańska № 18.

Adres dla listów: «Hygiena», Warszawa.

Patent 10-letni na całą Rosję za № 1324. (1263)

DEZYNFEKTOR USTĘPOWY.

Najlepszy środek dezynfekcyjny w obecnym czasie, usuwający nieprzyjemny zapach.

(Opatentowany we wszystkich krajach cywilizowanych).

Nowy dezynfektor ustępowy wyrugował środki, jako to: kwas karbolowy, chlorek i t. p., ze względu na to, że te ostatnie działają przez czas krótki, co wymaga częstego powtarzania dezynfekcji, a następstwo — rozcibód materiału i strata czasu.

Składa się z dokładnie emalowanej przedziurowanej skrzynki, zawierającej masę dezynfekcyjną, usuwającą zapach, przymocowywa się u dołu pokrywy tak, żeby znajdował się w rurze.

Zapobiega przez wydzielenie lotnych, chociaż intensywnych, lecz nieszkodliwych części, szerzeniu się przykrego zapachu i much, które często przenoszą zarazki chorób.

Działa bez przerwy dwa lata, dezynfekcja za pomocą tego aparatu okazała się najtańszą, najlepszą i nieskomplikowaną, przyczem w czasie upałów, kiedy dezynfekcja jest nieodzowna, wydzielenie części dezynfekujących odbywa się w większym stopniu, aniżeli podczas chłódów.

SPOSÓB UŻYCIA:

Aparat przymocowywa się na środku dolnej części pokrywy, poczem działa automatycznie.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna:

Petersburg, Karawannaja ul. № 10.

Skład wyrobów gumowych

A. A. Szpecht, dawniej Drowing.

Wyłączny przedstawiciel w Petersburgu. (4387)

Cena jednej sztuki rb. 2 k. 50, przy kupnie większej ilości — rabat.

Witraże różnokolorowe,

które swoimi żywymi kolorami rozweselają lokale, zlagodzą bez zaciemnienia za mocne światło, chronią od promieni słońca umeblowanie i obrazy, jakoteż towary sklepowe, powstrzymując zbytnią ciekawość służby, sąsiadów, przechodniów i t. p. Przyłożenie na szyby natchmiastowe. Kilkoletnia trwałość bez zmiany kolorów wypróbowana: 180 deseni jedno- dwu- i różnokolorowych. Ceny od 35 k. do 1 rb. 50 k. za metr długości (1 arszyn 6 w.), szerokość 1/2 metra, zawsze jednokolorowa. Prospekty i próby bezpłatnie. Ekspedycja na zaliczenie. Główny skład fabryczny:

MAGAZYN FRANCUSKI

w Warszawie, przy ulicy Hrabiego Berga № 8. (1237)

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 7 (20) czerwca 1902 r.

№ 23



„NA CZATACH“. Obraz JÓZEFA BRANDTA. ALBUM „KRAJU“.

PAX.

Blogosławieni pokój czyniący!... Niema może na świecie rzeczy trudniejszej nad uczynienie pokoju. Złe instynkty i złe czyny rodzą bardzo liczne potomstwo, i wojny powtarzają się od początku świata.

A jednak marzymy o czemś innym, prosimy o przyjście królestwa Bożego, słuchamy chciwie tych, którzy głoszą pokój i przyszły wiek złoty. Czy sądzono tej tęsknocie za ideałem wcielić się w jakąś rzeczywistość—nie wiemy, ale jest już pociecha, że sama ta tęsknota w sercach ludzkich mieszka, i że, bądź co bądź, stanowi potęgę świetlaną i ozdobę życia. Zresztą, pomimo wszystkie niesnaski i zwady, musimy żyć wszyscy w koniecznej wspólności. Rozszerza się ona coraz bardziej, obejmuje coraz szersze widnokręgi, łączy coraz dalsze krainy i narody tysiącami węzłami stosunków moralnych i materialnych. Stosunki te wymagają przede wszystkim trwałości i bezpieczeństwa, a zatem pokoju. Z ich rozrostem i olbrzymim rozgałęzieniem się w wieku XIX, idea pokoju wieczystego międzynarodowego zyskała zwolenników tam nawet, gdzie najmniej spodziewać się ich mogła. Wszak wojna w naszych czasach—to ruina ekonomiczna tak dla zwycięzonego, jak dla zwycięzcy, to zniszczenie, może na zawsze, owoców wieloletniej pracy.

Wyznawców idei pokoju jest bardzo wielu. W Europie i w Ameryce istnieje dziewięćdziesiąt kilka stowarzyszeń pokoju wieczystego i trzysta kilkadziesiąt ich oddziałów filjalnych. Mają one stałe biuro międzynarodowe w Bernie i wydają kilkadziesiąt pism, poświęconych szerzeniu zasady pokojowej. Od roku 1889 urządzają corocznie kongresy swoich przedstawicieli. Na czele jednego z najstarszych stowarzyszeń francuskiej ligi pokoju stoi

Fryderyk Passy, weteran niestrudzony w wieloletnich walkach z wojną. Stowarzyszenia szwajcarskie szczytą się imieniem Dunanta, twórcy instytucji Krzyża Czerwonego, która tyle cierpień ludzkich ukoili i tylu śmierciom na polach bitew zapobiegła. Pułkownik niemiecki z pod Sadowej, von Egidy, kapitan Moch w Belgii, generał Türr na Węgrzech opuścili szeregi wojskowe, by stanąć pod sztandarem pokoju.

Ze szpalt organów stowarzyszeń pokojowych i z sal ich kongresów szlachetna idea przeszła do instytucji urzędowych. W parlamentach europejskich spotkała ją przyjęcie uroczyste, znalazła tu bowiem dużo zwolenników, którzy nawet stworzyli coś w rodzaju embrjonu przyszłego parlamentu europejskiego w postaci tak zwanych konferencji międzyparlamentarnych. Od stu przeszło lat zasadę pokoju międzypaństwowego głoszą od czasu do czasu przedstawiciele władz zwierzchniczych i rządów państw cywilizowanych. W roku 1791 wygłosiła ją Konstytuanta francuska w nieszczerliwej widocznie godzinie, ponieważ w ciągu następnych lat dwudziestu pięciu klęska wojny nieprzestała nawiedzać Europy. Fortunniej powiodło się «Świętemu przymierzcu», które zabezpieczyło pokój międzypaństwowy na lat prawie czterdzieści. Tama wszakże była zbyt sztuczną i bieg wypadków zniósł ją doszczętnie. Myśl zapomnianą wskrzesił Napoleon III, opierając ją przytem na nowej podstawie, która była dlań zasada narodowości. «*Ce n'est pas en reculant les limites de son territoire—mówił—qu'une nation peut être désormais honorée et puissante—c'est en faisant prévaloir partout l'empire du droit et de la justice*». Może słusność mają ci, którzy sądzą, że ostatni cesarz francuzów był raczej jasnowidzącym, niż marzycielem, za jakiego mieli go politycy-realiści.

Ostatnią z kolei próbą urzędową przyśpieszenia ery pokoju w świecie cywilizowanym była konferencja

w Haadze, zwołana w celu narad nad «położeniem kresu uzbrojeniom i nad sposobem zapobieżenia klęskom, zagrażającym całemu światu». Jakkolwiek nie zdołano pozyskać żadnego zobowiązania co do ograniczenia uzbrojeń, ani stworzyć obowiązującego sądu rozjemczego między państwami, konferencja zaznaczyła może punkt zwrotny w dziejach Europy, po raz pierwszy bowiem przedstawiciele państw zgromadzili się w Haadze nie dla podziału krajów pomiędzy siebie, ale dla dokonania dzieła humanitarnego.

Jednym z najwybitniejszych apostołów idei pokoju międzypaństwowego był Jan Bloch. Nie walczył z wojną frazesami i narzekaniami, ale szeregiem cyfr. W sześciu tomach spisał ścisły bilans jej zysków i strat, i wykazał, że pierwsze nie pokrywają drugich, są bowiem przeważnie urojone lub bardzo problematyczne. Ale książki było mu mało. Chciał stworzyć żywy obraz, przemawiający wprost do oka. W tym celu postanowił założyć Muzeum wojny, zgromadzić sam wszystkie narzędzia zniszczenia i walk zbrojnych, książki o wojnie i tablice graficzne, ażeby to wszystko wołało do widzów o pokój.

J. Mz.

OTWARCIE MUZEUM W LUCERNIE.

Paryż, 8 czerwca.

Wracam z Lucerny. O «Muzeum wojny i pokoju», otworzyć mającym swoje progi w d. 7 b. m., głucho było w paryskiej prasie. Jedne «Débats» odezwały się z dość obszernym artykułem, p. p. Rafałowicza podobno, bylego sekretarza pokojowej konferencji w Haadze. W innych pismach—sza! Pytałem na prawo i na lewo: kto tam jedzie? Rafałowicz znowu, d'Estournelles, były przedstawiciel Francji w Haadze, a zresztą—nikt. — Co to jest to Muzeum? Co u licha tam być może?...

Wyznaje, że mnie samego odstępowała ochota. Podróż do Szwajcarii o tej porze, przy tej zimnej i słotnej pogodzie, która nas tu nie odstępowała na Zachodzie, nie była pojętną. Przelamał moje wahania i wstępy telegram redaktora «Kraju». Konieczną mu się zdało rzeczą, abym tam był i—odezwał się nawet. Pojechałem.

W rannym pociągu kolei wschodniej, 6 b. m. znalazła się gromadka znanych «pokojowców». Poznaje pułkownika Le Marchand, byłego współpracownika ś. p. Jana Blocha, p. Moch'a, byłego oficera, dzisiejszego członka międzynarodowego komitetu pokojowego, p. Berr'a, który swojego czasu interviewował założyciela «Muzeum» w «Figarze». Mówią mi, że p. Rafałowicz jest już na miejscu, a p. d'Estournelles, zatrzymany w Paryżu gabinetowem przesileniem, dopiero jutro rano się stawi. Ale, chodząc po korytarzu pociągowym dla wyprostowania nóg, szukam napróżno liczniejszych przedstawicieli prasy paryskiej. Trafiam tylko na dyrektora międzynarodowej agencji fotograficznej, p. Chusseau-Flaviens, który, krzywiąc się, mówi mi, że jedzie, bo mu koszta podróży zapłacono, ale jedzie bez przekonania. «Muzeum wojny i pokoju!» Kogo tu obchodzi? Co innego, gdyby szło o fotografowanie jakiegoś pola bitwy. Co innego jeszcze Santos-Dumont. Kiedy spadł on ze swoim balonem do morza, było co pokazać. Ta jedna sztuka przyniosła 1,800 fr. fotografii...

Po niemiłej rozprawie z niemieckimi celnikami, w przejeździe przez Alzację—niemcy są w tej stronie osobiście nieznośni—przyjeżdżamy do Lucerny o dziewiątej wieczorem z biletami kwaternowymi do «Hotel National». W przeznaczonym mi bardzo wytwornym apartamencie, o sprzętach w najczystszej *modern-style'u*, znajduję zaproszenie pani Blochowej na obiad o godz. 7^{1/2}. Spóźniłem się! Schodzę do restauracji, aby coś przekąsić i znajduję gromadkę warszawskich rodaków: Straszewicza, Kosiakiewicza, Pułke'go. Pytam o innych. Jest



OKROPNOŚCI WOJNY. Obraz monachijskiego malarza Diemera.

Scena pełna grozy, gdy na poboju rzućili się obdzierane trupów i drapieżne ptactwo. Efektowny jest szczegół ptaka, atakującego człowieka rannego ciężko, ale jeszcze żywego.

jeszcze p. Fryze z «Kurjera Porannego», p. Bogdan Wydzga z «Kurjera Warszawskiego», dwóch pp. Kostaneckich ze Szwajcarii. I to wszystko. Z Krakowa nikogo. Z Poznania nikogo. Ale oto nadchodzi p. Henryk Bloch, dzisiejszy prezes komitetu muzeowego, i bardzo uprzejmie zaprasza nas do matki.



Jan Bloch, autor dzieła «Wojna», założyciel Muzeum wojny i pokoju.

W parterowym, obszernym salonie pełno. Z dam, oprócz gospodyni i jej dwóch córek, pp. Kościelskiej i Hołyńskiej, poznaje, po znanych mi oddawna portretach, miłą twarz bar. Suttner, głównej przedstawicielki pokojowej propagandy w Niemczech. Przedstawiam się jej i oświadczam na wstępie, że, choć polak, nie żywię do Niemców nienawiści, ale prusków niecierpię. Pani Suttner uśmiecha się. Obok wabią mnie białe upudrowane włosy pani Séverine. Przypominam jej wspomnienia z Hotel Moderne w Rennes, przed trzema laty.

— Tak! to już trzy lata... Ale «sprawa» trwa jeszcze. Panowała nad ostatnimi wyborami, chociaż Dreyfus nam skrewił...

— A?

— Nie masz przecie większego, gorszego anty-Dreyfusisty od niego samego! Samemu Picquart'owi nawymyślał w obecności Labori'ego. Ale tak lepiej! Ludzie są niczem, i dla wielkiej idei lepiej, kiedy może się obejść bez wielkiego człowieka...

Witam się dalej z p. Kościelskim, który wybiera się zabrać głos jutro i przypomnieć słuchaczom, że ś. p. Bloch był polakiem. No i ja, jeżeli mi głos dadzą, przypomnę. Skłaniam się przed sę-

dziwym Fryderykiem Passy, któremu głowa ciągle się trzęsie, ale którego cała wysoka postać nosi znamię niespożytej jeszcze energii. Rozmawiam z p. Stead, szlachetnym, nieco marzycielskim redaktorem londyńskiej «Review of Reviews», który zapewnia mnie, że za lat dziesięć Anglicy stracą Afrykę południową, i przedstawia mi swojego współpracownika, p. Lang, który w ciągu sześciotygodniowego pobytu w Rosji nauczył się płynnie mówić po rosyjsku. Ten o jednym tylko myśli: ażeby jutro rano wykapać się w jeziorze. Perswaduję mu, że gdy dokoła góry pokryte są jeszcze śniegiem prawie do dołu, kąpiel będzie śmiertelnie zimna i niebezpieczna, i że lepiej robi, towarzysząc mi rano do «Muzeum», dokąd niezmiernie uprzejmy sekretarz dawniej ś. p. Blocha, a teraz jego syna, p. Sapiejewski, obiecał mnie zaprowadzić na godzin parę przed otwarciem, abym mógł swobodnie wszystko obejrzeć. Przyjmuje p. Lang chętnie propozycję, ale wykapać się musi pierwszej.

Tak schodzi do północy. Nazajutrz o dziewiątej rano ruszamy w trójkę z już wykąpanym anglikiem. Nie mógł pływać, bo za zimno, ale przecież spróbował. Wchodzimy do Muzeum i od razu ogarniają mnie zdumienie i zachwyt. Ś. p. Bloch stworzył tu bezwzględnie dzieło jedyne w swoim rodzaju i wspaniałe. Przed nami rozciąga się w plastycznym obrazie cała historia wojny, od najstarszych do dzisiejszych czasów. Więc okazy wszystkich gatunków broni, od proc i luków najpierwotniejszych do dzisiejszych szybko strzelających karabinów, od rzymskich, drewnianych katapult do najnowszych dział Kruppa. W górze na ścianie malownicze wykreślenie pokazuje, jak kula z 240 milimetrowego dział Kruppa przeniesić jest w stanie podwójną wysokość Mont-Blanc. Obok zaś, w szeregu artystycznych dioramów, wiadać zastosowanie tego faktu w znanej strasznej niespodziance, której padł ofiarą w Transwaalu, wysokimi górmi od Anglików przegrodzony, ale nie zabezpieczony obóz Cronje'go.



Dalej jeszcze przebywamy całą historię fortyfikacji, wykazującą, jak odstępując coraz bardziej od średniowiecznych baszt i wałów kamiennych, nowoczesna technika zwraca się do najpierwotniejszych ziemnych i podziemnych umocowań. Opodal, pod gołym niebem, odwzorowane są dzisiejsze połowe okopy i zasieki, pospołu z naturalnymi środkami obrony, wyzyskiwanymi przez boerów. I dalej jeszcze, wewnątrz budynku, oglądamy rozmaite graficzne i plastyczne obrazy, uprzytomniające stopniowy postęp uzbrojeń, wydatków na wojnę, klęsk ekonomicznych przez wojnę wywołanych i t. d. Każdy cal kwadratowy tutaj, o wojnie mówiąc, nawołuje ludzi wielkim głosem—do pokoju.

Dział ekonomiczno - społeczny, jeden z najciekawszych i najlepiej opracowanych, nie jest zresztą jeszcze wykończonym, z powodu choroby, która nawiedziła odnośnego współpracownika.

Zaledwie zdążyłem ogarnąć okiem wszystko i wyrazić mój zachwyt p. Sapiejewskiemu, który sam był bardzo i niezmordowanie czynnym przy tej robocie, trzeba nam z powrotem do hotelu, ażeby ztamtąd gremjalnie wyruszyć na otwarcie przybytku, zapowiedziane na g. 11. Przyglądam się jeszcze budynkowi. Stanowi on najłabszą stronę dzieła. Bardzo malowniczo się przedstawiając, jak o tem mieli już sposobność przekonać się czytelnicy «Kraju», ma on, nie-

stety, tę wadę, że był wzniesiony dla doraźnego tylko użytku, przeznaczony do kilkotygodniowego popisu szwajcarskich towarzystw strzeleckich. Ściany, z drzewa i płótna sklecone, wzmocniono obecnie kosztem 100 tys. fr., ale nie zdołano im zapewnić długiej trwałości. To też p. Sapiejewski tłómaczy mi, że w ten sposób udzielone pomieszczenie wspaniałym zbiorom ś. p. Blocha jest tylko tymczasowem. Z opłat od wejścia (1 fr. od osoby) komitet obiecuje sobie w krótkim czasie—6 do 10 lat—zebrać fundusz, dostateczny dla wzniesienia odpowiedniego, murowanego gmachu.

Ruszamy znowu w liczniejszej kompanji. Pani Bloch z córkami zaprasza mnie uprzejmie do swego powozu. Widzę wzruszenie, ze smutkiem połączone, na twarzy tych pań i odgaduję jego powód. Brakuje kogoś w tym orszaku—tego, któremu należało pierwsze w nim miejsce, a który tak bardzo się cieszył zawiadzoną obietnicą tej uroczystej chwili...

Stajemy przed wejściem, które przegradza jedwabna wstęga o francuzkich barwach. O francuzkich barwach dlatego, że przeciąć ją ma niebawem, podług uświęconej tradycji, niewątpliwe prawo do tego zaszczytu mający francuz, laureat Noblowskiej nagrody—Fryderyk Passy. Jego towarzysz, szwajcar Dunant, przybyć nie mógł, zatrzymany nadto sędziwym wiekiem.

PRZYPUSZCZALNA OBRONA ST-GOTHARDA,

przy pomocy mitraljezów Maxim'a, obraz Wielanda.

Muzeum posiada przeszło dwa tysiące okazów, uporządkowanych i skatalogowanych; okazy te wystawione są wokół olbrzymiej hali muzealnej, w środku zaś hali urządzone są panoramy i djoramy. Jest to niejako *resumé*, streszczenie całej idei muzeum. Ktoś, co niema czasu albo chęci wnikać w specjalne szczegóły, badać i uczyć się, może nabrać pewnego pojęcia o rzeczy, o całości, zwiedziwszy sam tylko dział artystyczny. Bezskuteczności, niepraktyczności wojny dowodzi Muzeum bezstronnie, metodą historyczną, przez samo zestawienie faktów i dokumentów. Dwa zasadnicze w pewnej mierze działy muzeum, dwie jego kategorie główne stanowią: «Wojna przed laty» i «Wojna dziś». Podajemy w bieżącym numerze reprodukcje trzech obrazów z tego cyklu.



P. Henryk Bloch, prezes komitetu Muzeum.

Muzyka odgrywa marsz narodowy szwajcarski; poczem p. Henryk Bloch wstępuje na przygotowane wzniesienie i odczytuje bardzo trafnie i wdzięcznie zredegowaną przemowę, przedstawiającą cel przedsięwzięcia i zasługę w niem zmarłego ojca, który od poczucia potrzeb krajowych sięgnął do szerszego, ludzkości całą ogarniającego pojęcia ogólnej niedoli, środek jej złagodzenia znalazł—w wypowiedzeniu wojny wojnie.

Zaledwie ucichły huczne, entuzjastyczne oklaski nie bardzo licznej zresztą zgromadzenia—Lucerna dotąd pusta—Fryderyk Passy staje przed jedwabną wstęgą z nożycami w ręce i zabiera głos. Głowa silniej mu się trzęsie jeszcze niż wczoraj, ale z ust dobywają się niespodzianie silne i jędrne dźwięki. Mówca z niego znakomity. Dziękuję za zaszczyt udzielony mu i zaprasza nas za sobą do wejścia.

Zgromadzamy się w pierwszej sali przed biurem ś. p. Jana Blocha, wcale

niezle wykonanym przez miejscowego artystę. Fryderyk Passy znowu odzywa się i mówi tym razem przez dobre pół godziny. Mówi o nieboszczyku, o jego dziele i o wojnie, którą potępia dzisiaj ogół myślicieli, o wojnie, która, nawet zwycięzka, nie wywdzięcza się samym zwycięzcom: «nie płaci nigdy».

Mówca kończy, zrywając zasłone z biustu. Poczem pani Séverine składa przed nim kwiaty...

Oglądamy pospółu teraz «Muzeum» i pospółu zachwyca się jego szczegółami. Ale trzeba być całych dni i tygodni dla obejrzenia i ztądania wszystkich. Pora zaś na bankiet, który szwajcarską modą odbyć się ma o drugiej.

W wielkiej sali hotelowej nakryto dla 250 osób. Szwajcarów zgłosiło się mnóstwo. Uczta okazała. P. Henryk Bloch wstaje i w krótkich, a dobrze dobranych słowach, dziękuje gościom za tak liczne zebranie. Drugim mówcą z kolei jest mały, niepozorny człowieczek, o smutnej, zamyślonej i zaszępiłej twarzy, przypominający trochę twarz i postawą nieboszczyka Hohlenlohe'go, kanclerza niemieckiego. To pan d'Estournelles, który, według własnego wyrażenia, przybył, «ażby powiedzieć świata, co to za człowiek był ś. p. Bloch». I mówi to, odwołując się do osobistych wspomnień, wyniesionych z pierwszego spotkania z nieboszczykiem w Haadze, gdzie najpierw stropiony był razem ze swoimi kolegami przez pojawienie się tego, do dyplomacji nie należącego działacza, a później ujęty i podbity przez jego wiedzę, jego rozum praktyczny, jego potężną energję i ciepło jego w podjętem dziele rozmilowanego serca. Z osobliwym naciskiem mówca rozwija tę myśl, że ów człowiek wielkiej pracy, wielkiego doświadczenia, wielkiego własnym trudem nabytego majątku, był przede wszystkim człowiekiem wielkiego serca... Mówi płynnie i dobrze. Ci francuzi są stworzonymi od urodzenia artystami słowa...

Po panu d'Estournelles zabiera głos p. Kościelski, dziękując Szwajcarii za gościnę, udzieloną pokojowemu przyby-



KAWALERJA SPIESZONA w przejściu górskim.
Obraz w Muzeum wojny.

kowi, i podnosząc, jak zamierzał, polską narodowość założyciela Muzeum. Po nim p. Stead mówi w angielskim języku, wyrażając znane swoje pokojowe przekonania, oraz nienawiść dla Chamberlain'owskiej polityki. P. Moch zaznacza wspólne zasługi Fryderyka Paszy i baronowej Suttner w dziele pokojowej propagandy, dołączając do ich dwóch imion imię godnego spadkobiercy, którego ś. p. Jan Bloch znalazł w swoim synie.

Zaszczyt wzniesienia toastu za zdrowie teraźniejszego prezesa komitetu muzeowego mnie właściwie był przeznaczony. Sądziłem jednak, że godzi mi się rozszerzyć ten temat, wcielając do niego całe społeczeństwo nasze, które w dzisiejszym czasie przedstawia osobliwe i jedyne zjawisko wielomiljonowej rzeszy, stwierdzającej swoją żywotność, swój rozwój i swój postęp na czysto pokojowej podstawie, czysto pokojowymi środkami i dla czysto pokojowych celów, nie mogąc wyglądać i nie wyglądając niczego od wojny, i w pokojowym dorobku pokładając całe swoje nadzieje.

Zdało mi się, że takie, aczkolwiek najrzeczywistszej prawdzie odpowiadające, przedstawienie naszych pojęć, uczuć i dążeń, było dla wielu słuchaczy niespodzianką...

Mówców następczo było jeszcze sporo. Ale siedzieliśmy już blisko trzy godziny za stołem. Jedną więc już tylko pani Séverine zdołała zatrzymać uwagę uczujących, bardzo wdzięcznie rozwijając myśl, że ś. p. Bloch żywym pozostał w swoim dziele i — w swoim synie, i dalej jeszcze wyrażając w gorących słowach własną wiarę w przyszłość pokojowych, wojnę wypowiadających, idei i usiłowań.

Poczem już trzeba było się żegnać. Spędziłem jednak jeszcze kilka godzin wieczornych w miłym towarzystwie warszawiaków — i znowu w drogę z powrotem do Paryża!

— A cóż? Dużo pan zebrał fotografii?

— Zebrałem, zebrałem dosyć — odpowiada mi wsiadający do pociągu i zaw-

szsze zachmurzony p. Chusseau-Flaviens. — Ale pytanie, ile z nich wezmą paryżskie ilustracje? Chyba ileś wielkie wysięgi w Auteuil...

K. Waliszewski.

NAJNOWSZA HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ.

3)

Rozdział następny, pierwsze czasy porobiorowe, Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe, mógłby cudzoziemcowi, nieświadomemu ówczesnego stanu rzeczy, dać wyobrażenie niezupełnie dokładne i raczej niekorzystne. Na samym wstępie czyta on o płochości i zabawach, o księciu Józefie «pod Blachą» — i może z tego wniesić, że to było głębokie i trwałe, bo nie dano mu, ile w tych ludziach pod zewnętrzną płochością było patriotyzmu, honoru i poświęcenia. Wojny napoleońskie, heroizm żołnierza, zdolność wodzów, zapał powszechny, należało pokazać w jaśniejszym świetle. W pracy około utrzymania i dźwignia narodowego ducha i życia, nauki i oświaty, należało znowu zwrócić i skupić uwagę tego czytelnika na to, co najważniejsze i najskuteczniejsze: Wilno, Krzemieniec i Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Tu na pierwszym miejscu występuje Bogusławski, a przez to nieświadomemu może jego czynność i zasługa wydać się główną i największą. Wogóle słabe strony tego okresu występują żywiej, niż jego zasługi. Naśladownictwo, brak poetycznych natchnień i twórczości widzi się dobrze — mniej wyraźnie rozum, patriotyzm, wartość tego pokolenia. Może autor ma słusność, że się nie trzyma ściśle chronologicznego porządku; nie chcemy się o to spierać i własnego układu podawać koniecznie za lepszy. Ale w tym razie, zdaniem naszym, porządek ten jest przekroczony aż do zamieszania, kiedy o «Stefanie Czarnieckim» Koźmiana mowa jest w tym okresie — jeszcze więcej, kiedy w literaturze z początków XIX wieku występują «Pamiętniki» arcybiskupa Felińskiego, «Synonimy» biskupa Krasińskiego, nawet pisma filozoficzne ks. Marjana Morawskiego. Autor robi uwagę, że aż dotąd przeważną rolę w literaturze polskiej grali księża, a teraz występują na sam przód świeccy, choć księża (przykładem trzech wymienieni) pisać nie przestają. To spostrzeżenie nie wydaje nam się zupełnie trafne. W czasach najmniej religijnych właśnie, za Stanisława-Augusta, przypadek zrzucił, że jeden

biskup miał największy talent poetyczny, drugi największy talent dziejopisarski, a dwóch księży, Staszic i Kollataj, stali na samym czele literatury politycznej. Ale wszyscy czterej (a dopiero dwaj ostatni!) charakteru duchownego, kapłańskiego, w swoich dziełach nie pokazują wcale; księżami są z przypadku, pisarzami z urodzenia i powołania i pisarzami zupełnie świeckimi. Nie możemy więc dopatrzeć się tej przewagi elementu duchownego nad świeckim. Jeżeli zliczymy wszystkie kazania i panegiryki z czasów saskich i z wieku XVII, to na liczbę druków, bibliograficznie będzie tam zapewne więcej księży, niż świeckich. Ale na talent, na zdolność, na znaczenie w literaturze, nie.

Z pisarzy najobszerniej traktowany Fredro i z całą należą mu sympatją. Musimy tylko wziąć w obronę i klasyków i romantyków, kiedy autor zarzuca, że się nie umieli poznać na jego komedjach. Klasycy ocenili Fredrę rychło, skoro po pierwszych komedjach zrobili go członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Romantycy cenili go także, niechęci do Fredry nie było nigdy; dowód choćby w tem, że jego komedje nigdy nie schodziły ze sceny i zawsze miały to samo powodzenie. Ze zaś Goszczyński napisał niesłuszną krytykę, za to przecież wszyscy odpowiadają nie mogą.

«Początki romantyzmu» (rozdział ósmy) obejmują naturalnie wszystko, co się w poezji zjawilo aż do r. 1830. A więc Brodziński, Mickiewicz, aż do «Konrada Wallenroda» i Farysa, Malczewski, Zaleski, Goszczyński, krytyka i klasyków i romantyków. Dlaczego Brodziński nazwany jest panslawistą? W jego sympatji do słowiańskich ludów i ich pieśni niema przecież nic podobnego do tego, co rozumiemy przez panslawizm. Wogóle tego panslawizmu widzi autor w tym czasie więcej, niż w innych, i... więcej, niż go istotnie było. Staszic, tak wysoko i tak słusnie poważany, najwyraźniej, najsilniej ze wszystkich dotyka tej struny; ale pomimo swej powagi, echa nie wywołał, drugich nie pociągnął, nie zawtórował mu nikt. Naukowe lub podróznice badania słowiańskich krajów i ludów nie są jeszcze oznaką panslawizmu. Do najszcześniejszych ustępów tego rozdziału należy, naszym zdaniem, «Marja», do mniej pewnych «Zamek Kaniowski». Jego autor mógł być «typowym rewolucjonistą, urodzonym spiskowcem, z charakteru niezłomnym i czystym jak złoto», ale z tego nie wynika jeszcze, żeby poemat był piękny, ani żeby «słońce oświaty rozpraszało mgły przesądów» takimi faktami, jak rzeź

humana. Ktoby sam poematu nie znał, tylko dowiedział się o nim z naszej książki, ten może pytałby ze zdziwieniem, jakim sposobem to może być pięknym? Przedstawienie dzieła dokładne nie zupełnie przypada do sądu o niem.

Przy Mickiewiczu nie dość wyraźnie uwidatnione czasy wileńskie i ich wpływ na młodego poetę — jak wogóle w tym rozdziale najmniej wyraźnie występuje wpływ rozbiorów na nową poezję. Wpływy ogólnoeuropejskie, literackie, oznaczono są trafnie, jasno, ze swojemi powodami i skutkami; ale tamten był główny, dominujący, choć pomału dochodził do swego wyrazu.

Krótko, silnie, wiernie skreślony stan umysłów i uczuć w Emigracji; jako skutek tego stanu i ostatniej przegranej, zwrot w poezji, która staje się prawie wyłącznie patriotyczną, tłumaczy przeszłość, a usiłuje odgadnąć i przeczuć przyszłość; z tego tła występuje Mickiewicz. Sliczny ustęp, kto wie, czy nie piękniejszy z całego dzieła. Cała psychologia Mickiewicza, wszystko, co się w nim działo od r. 1830 aż do końca, i co powodowało jego dzieła i jego działanie, oddane jest trafnie, jasno, wszechstronnie; wizerunek jest zupełny, a wykonany z uwzględnieniem i delikatnym naznaczeniem wszystkich odcieni. Dzieła (zawsze z konieczności krótko) ocenione są świetnie, a «Pan Tadeusz» z takim doskonałym zrozumieniem jego piękności i z takim żywym, udzielającym się uczuciem, że czyta się je kilka kartek z prawdziwą radością, z najmiłszym wrazeniem dla artystycznego zmysłu i dla polskiego uczucia. Około Mickiewicza grupa mniejszych poetów: Garczyński, Zaleski, nieprzeceniony, ale słusnie oceniony w swoich zaletach i w poetycznym wdzięku całej swojej postaci. Michała Czajkowskiego może lepiej było umieścić gdzieś indziej, między pisarzami powieści.

Może jeszcze piękniejszy następujący rozdział o Słowackim. Nikt dotąd, ile wiemy, nie powiedział tak wyraźnie i otwarcie, że w naturze Słowackiego przeważał pierwiastek żeński. Ten feminizm — jak autor nazywa — sprawiał (w znacznej części), że nie było zrozumienia między poetą a współczesnym pokoleniem; on sprawia, że pokolenie najmłodsze, dzisiejsze, tak się kocha w Słowackim i ma do niego więcej sympatji, więcej zaufania, niż do jedynego, meżkiego Mickiewicza. Ta żeńskość objawia się nie tylko w tem, że Słowacki ze wszystkich naszych poetów najliczniej i najwdzięczniej tworzy niewieście postaci, nie tylko w tem, że jego bo-

haterowie mezczy (z małemi wyjątkami) mają natury kobiece, ale że w jego własnej istocie przeważały żeńskie własności i cechy. Właściwy wdzięk, który z tego źródła płynie i rozlewa się po wszystkich dziełach poety, melancholiczne rozmarzenie, tęsknota, mgliste kontury zdarzeń i postaci, uczuciowość w kształcie raz egzaltacji, drugi raz tęsknoty, fantazja bujna a niestała, wreszcie niezrównany dźwięk i koloryt wiersza — wszystko to opisane jest tak, że ktoby o Słowackim nie wiedział nic, tylko się o nim pierwszy raz dowiadywał, miałby już wyobrażenie dokładne, prawdziwe, o jego świetnych i o jego słabych stronach. Tak samo i o jego dziełach. Pomędzy temi — zapisujemy to ze szczególną przyjemnością i wdzięcznością, bo rzecz jest rzadka — «Beniowski» oceniony jest tak, jak na to zasługuje: i artyzm i uczucie autora poznały się na jego pięknościach. Co do «Króla Duchu» jedynie mielibyśmy niejaki wątpliwość. Rozumiemy zupełnie tak, jak autor to, co Słowacki w «Królu Duchu» i przez niego chciał zrobić. Nie możemy widzieć, iżby był zrobił to, co chciał. Zgadza się na twierdzenie, że przedsięwzięcie było fantastyczne i zuchwale (*vermesen*), tylko na to pytanie odpowiadzi nie znajdujemy, tu, jak nigdzie dotąd: czy w «Królu Duchu» jest «tajemnica początku i końca, alfa i omega «świata». W samem zakończeniu rozdziału tłumaczy autor trafnie wpływ Słowackiego na najmłodszych poetów i jego częste naśladowania.

Czy Krasiński jest jako poeta mniejszy od Słowackiego, jak twierdzi autor, a z nim wielu, dyskutować tu nie pora. Poprzestańmy więc na tem, co mu autor przyznaje, to jest, że «horyzont jego myśli sięga po za wszystkie granice czasów i ludów» — i na tem, że ocenienie jego dzieł, jego stanowiska w literaturze jest, zdaniem naszym, słusne. Ale przy Krasińskim musiały wysunąć się naprzód kwestje, których bez pewnych zastrzeżeń i uwag pominąć nie możemy; mianowicie przychodzi tu polityka emigracyjna Towarzystwa demokratycznego i jej skutki.

Zdaniem autora, stronnictwo to miało nietylko większe zdolności i talenta, aniżeli przeciwnie, ale było dalekie od wszelkich antyspołecznych dążeń, żądało tylko harmonji między prawami i obowiązkami. Wygląda to bardzo niewinnie. Ale ta szlachetna dążność, ta miłość upośledzonych w piśmie i mowach tego stronnictwa, nie wyglądała tak pięknie; była nieustannym a wściekłym manifestem nienawiści, i nienawiści dzia-

lającej niegodziwymi środkami, ja-
trzeniem, kłamstwem. O rzezi r. 1846
mówi autor, że wywołała straszną
panikę. Czy to była panika, strach,
czy boleść, żal strasznej szkody, za-
danej Polsce i jej sprawie—o tem
nie mówi. Mierosławski, którego ca-
łe życie od r. 1848 do r. 1863 wy-
kazuje tylko fanfaroną bez rzetel-
nej zdolności politycznej, ani woj-
skowej (żeby nie więcej nie powie-
dzieć), był, zdaniem autora, urodzo-
nym wodzem i dyktatorem rewolu-
cji, samo jego imię było strachem
na wróble (*Popanz*) dla wszystkich
policyjnych rządów, a był w słowach
daleko niebezpieczniejszy, niż
w czynach. Ze dla tych państw i
rządów niebezpiecznym nie był, to
rzecz pewna; ale że był szkodliwym
dla Polski, to niemniej pewne.
O powstaniach bez warunków zwy-
cięstwa mówi autor bardzo surowo—
o polityce Towarzystwa demokra-
tycznego i jej reprezentantach w li-
teraturze, tak łagodnie, z taką
względnością, że aż dziwnie, i jed-
nego z drugim pogodzić jakoś
trudno.

W rozdziale o Krasieńskim wspo-
niani są różni inni pisarze z czasów
emigracyjnych i aż do ostatnich.
Czy wszyscy byli potrzebni? czy
naprzykład Edmund Chojecki zaj-
muje jakie miejsce, godne uwagi,
w literaturze polskiej? Czy Włady-
sław Mickiewicz nie miałby wska-
zanego miejsca w ostatnim rozdzia-
le książki? Jak się z temi emigra-
cyjnymi czasami łączy p. Waliszew-
ski, który osiadł w Paryżu, kiedy
emigracja była dawno skończona?

Ze Klaczko wspomniany jest przy
Krasieńskim, to może naturalne; jest
między nimi wiele wspólnego, a pol-
skie pisma Klaczki nawet co do
czasu łączą się z czasami Krasień-
skiego. Ale niech nam wolno będzie
wyrazić zdziwienie, że autor nie
znalazł nic więcej do powiedzenia
o Klaczce. Na jakiej zasadzie Klacz-
ko nazwany jest «dawnym wielbi-
cielem» Mierosławskiego? Kiedy nim
był? Nie w r. 1848 w każdym ra-
zie, w Wielkopolsce, gdzie ów «uro-
dzony wódz rewolucji» tak widocz-
nie zadokumentował swoją wojsko-
wą i polityczną wartość. Ale przy-
puściwszy nawet, że Klaczko dał się
kiedy złudzić Mierosławskiemu, choć
o tem mimo dość dokładnej znajo-
mości jego życia nie wiemy nic, nie
możemy jeszcze zrozumieć i wytłó-
maczyć sobie, dlaczego autor zbywa
tak krótko, w trzydziestu wierszach,
pisarza, nad którego stylisty
świećniejszego nie ma proza całego
XIX wieku (równych tylko dwóch:
Sienkiewicza i Kajsiwicza), i który,
jako publiczności zagranicznej wię-
cej znany przez to, że pisał wiele
po francuzku i w przedmiotach, któ-

re cudzoziemców obchodzą, nastre-
czał sposobność do pokazania im,
jakich literatura polska ma ludzi.
Klaczko jest najwszechstronniejszą
i najwyższą inteligencją, jaka się
ukazała w literaturze polskiej dru-
giej połowy XIX wieku. Który jest
drugi u nas, a gdzie jest drugi u
obcych, któryby obejmował razem
politykę, literaturę i sztukę, a w każ-
dym z tych kierunków pisał dzieła
tak pierwszego rzędu, jak «*Études
de diplomatie*», jak «*Wieczory flo-
renckie*», jak «*Juljusz II*». Tej zna-
komitości Klaczki nie widzi się
w naszej książce wcale. Polak, pi-
szący o polskich rzeczach dla ob-
cych, a dopiero dla Niemców, miał
dobrą sposobność pochwalenia się
przed nimi, a opuścił ją: o «*Études
de diplomatie*» niema nawet wzmian-
ki. To tem dziwniejsze, że autorowi,
jako mieszkającemu w Berlinie, ta
wzmianka mogła być jeszcze przy-
jemniejsza do zrobienia, niż innemu.
Bismark, który w swoich listach i
wspomnieniach tyle razy o Klaczce
mówi i z taką złością, lepiej się na
nim poznał.

St. Tarnowski.

DN



KSIĘGA ŚWIATA,
rzeźba Biegasa.

W PRACOWNI BIEGASA.

Paryż, 3 czerwca.

Z pracowni Kossowskiego wybrałem
się na drugi dzień do pracowni Biegasa,
z jednego końca Paryża na drugi koniec,
z rewolucyjnego Belleville'skiego wzgó-
rza na pagórek Muz, Montparnasse, kę-
dy jedną z najstarszych ulic starej Lu-
tecji przechrzczono świeżo imieniem s. p.
Falguière'a. U Biegasa nawet wybór pra-
cowni jest widocznie symbolicznym.

O młodym tym naszym samorodku i
samouku słyszałem już dużo, a czy-
tałem więcej jeszcze w polskich i
zagranicznych pismach. Świeżo dostał
mi się nawet do rąk w ostatnim zeszy-
cie angielskiej «*Revue of art*» obszerny
artykuł, poświęcony jego biografii i je-
go twórczości. Widziałem, także kilka
jego utworów. Wyznaję jednak z całą
szczerością, że o tych utworach nie mia-
łem właściwego pojęcia przed odwiedze-
niem pracowni na rue Falguière. Nie ro-
zumiałem Biegasa dlatego, że obecność
Biegasa niezbędną jest podobno przy
oglądaniu i ocenianiu jego dzieł. I sta-
nowi to właśnie główną ujemną tych
dzieł stronę, że nie obchodzą się one
bez swojego, żywego komentarza. A jesz-
cze komentarz ten nie jest bynajmniej
wystarczającym. Nie iżby treść utworów,
o których mowa, była znowu tak bar-
dzo głęboką i pospolitemu umysłowi nie-
dostępną; ale raz dlatego, że jest ona
bardzo indywidualną; i drugi raz dlate-
go, że jest więcej jeszcze *samorodną*,
tak że autorowi trudno zdać sprawę
przed obcym człowiekiem z tego, co chciał
powiedzieć, a może i samemu sobie nie
zdaje on dobrze sprawy; i trzeci raz dlate-
go, że Biegas jest przede wszystkim
artystą, to jest człowiekiem, w którym
uczucie przeważa nad myślą. Owoż nie-
ma nic trudniejszego na świecie, jak tłó-
maczyć uczucie!

Ale Biegas potrzebnym jest może jesz-
cze przy swoich utworach—tak jak stos
elektryczny przy tym samochodzie, z któ-
rym spotkałem się przed chwilą. Zaraz
po otworzeniu drzwi do pracowni, mia-
łem bardzo wyraźne wrażenie rzeczywi-
stego zetknięcia się z czemś podobnym
do takiej magnetycznej siły. Nazwijcie
to genjuszem, jeżeli się wam podoba.
Nie będę się spierał. Nadmieniam i to,
że chociaż pierwszy raz w życiu miałem
przed sobą tego dwudziestoczteroletnie-
go chłopaka, o płowej czuprynie, drob-
nej, smętnej twarzy i dziwnych, jakgdy-
by iskierkami a łzami napelnionych
oczach, nie czułem się z nim bynajmniej
obcym. Zdalo mi się odrazu, że go znam
od dzieciństwa, tak jak znam nasze nad-
wiślańskie pola, lasy i łąki. Nie zapom-
nę też nigdy wyrazu i akcentu, z któ-
rym na moje pytanie, z jakiej strony
kraju pochodzi, odpowiedział: z Plockie-
go, i nie bez pewnego wahania, patrząc
mi niespokojnie w oczy, dodał: *ze wsi*...

Musiał znaleźć zadawalną odpow-
wiedź tam, gdzie jej szukał, było nam
bowiem zaraz bardzo dobrze jednemu
z drugim.

Pytałem go dalej, powołując się na
angielski przegląd, w którym byłem
znalazł zebrane nieco po amerykańsku
szczegóły o pobycie artysty w rozma-

tych europejskich miastach. Biegas po-
kazał białe, szczeniące zęby w dziecinny
uśmiechu.

— A to bajek napisali!

Ze wsi wyruszywszy, bawił cztery la-
ta w Krakowie, gdzie się kształcił w Szko-
le sztuk pięknych, i gdzie zbierał nagro-
dy i pochwały, aż go wypę-
dzono... Przejmuje mnie *in
petto* zdziwienie, że go nie
wypędzono wcześniej. Co on
mógł robić w tej szkole i co
z nim robić mogli? Jego
prawdziwą szkołą musiała
być ta *wieś* polska, kędy,
leżąc na wznak na trawie,
przyglądał się słońcu i gwiaz-
dom, i kędy poczciwy pro-
boszcz kręcił go za ucho,
odpędzając złe myśli, które
cisnęły się chłopakowi do
głowy po tych rozmowach
z nieskończonością... Złe jed-
nak mówię. Jużci musiał
się on uczyć także w Kra-
kowie, i tam, a nie gdziein-
dzie, nauczył się—*rzemio-
sta* swojego. Przynajmniej
do pewnego stopnia. Ale o
tem potem. Biegas nie zacho-
wuje zresztą złych wspom-
nień dla swoich nauczycieli,
ani też dla swoich kolegów,
choć daje do zrozumienia,
że ci ostatni przynajmniej
dawali mu często odczuwać
jego pochodzenie *ze wsi*.

Mnie coraz lepiej w jego
towarzystwie. Tłómaczę mu
dalej ustępy z angielskiego
przeglądu—Biegas nie włada
bowiem żadnym obcym ję-
zykiem, z wyjątkiem nie-
mieckiego—i trafiam na zda-
nie, wyrażające tę myśl,
że, pozbywając się kazno-
dziejskich tendencji wswych
utworach, zostałby on praw-
dopodobnie wielkim arty-
stą. Wielki artysta *in spe*
śmieje się znowu, jak dziecko. On ka-
znodziej! Kazania prawie ani mu w gło-
wie. Tylko tworzyć, a raczej przelewać
w marmur, w bronz, czy w glinę, to
co się, bez jego woli nawet, dobywa
z jego wnętrza. Nie iżby nie przys-
woił on sobie pewnej artystycznej teo-
rii. Powszednia plastyka dzisiejsza pole-
ga przeważnie na lepieniu ciał ludz-
kich, nągich lub przybranych w drape-
rje, to jest na powtarzaniu tego, co
przed półtrzecia tysiącami lat grecy ro-
bili—i robili lepiej. Gdy nie możemy im
dorównać nawet w tym kierunku, czy
nie powinniśmy szukać dla naszej sztuki
kierunków innych, dla myśli i uczuć
naszych innego wyrazu? Jest to w za-
łożeniu teoria Rodin'a samego, i, ponie-
waż niema nic nowego pod słońcem,
jest to na tym krańcowo-symbolicznym
gościńcu, na którym Biegas puszcza wo-
dze swojej fantazji, powrót do pogań-
sko-indyjskiej, czy egipskiej, albo do
chrześcijańskiej symbolistyki średnich
wieków. Figury na facjacie «*Notre-
Dame*» nie obchodzą się także bez ko-
mentarza...

Ale rozwinięcie tej myśli dopomina-
łoby się o traktat; ja zaś kreślę tu
tylko naprędce przygodne wrażenia.

Biegas jest symbolistą. Ztąd jego bez-
ceremonjalne obchodzenie się z naturą,
które wywołało zarzuty względem nie-
znajomości anatomji. No! Spotykały one
i Rodin'a. Krytyk angielski, dosyć na-
ogół ostry, nie podniósł ich dla przy-
czyny, o której zaraz wspomnę. Posta-



BIEGAS W PRACOWNI SWOJEJ
przy rzeźbie, przedstawiającej «*Walkę o byt*».

cie Biegasa mają nierazko dwie pary
oczu, patrzących każda w inną stronę,
tak jak indyjscy lub chińscy bożkowie
mają setki głów lub par rąk, i tak jak
niektóre symboliczne niewiasty same-
go Rubensa, malowane z trzema rzęda-
mi piersi. Najczęściej nawet ograni-
cza Biegas swoje figury do głów i rąk,
zastępując resztę płaszczyznami. Ale
w rękach wykazuje przedziwną techni-
kę, która uderzyła angielskiego znawcę.
Oto jest fantastyczna płaskorzeźba, przed-
stawiająca «*Chopina*». Muzyk, w akcie
tworzenia puszcza palce na klawiszach,
a te klawiszowe złożone są z żywych innych
palców, które drgają, kurczą się i roz-
prężają się potężnie, a w górze nad
niemi, dobywająca się z nich harmonja
placze, jęczy i skarży się bolesnymi twa-
rzami, z których lzy cieką...

Tę samą potęgę skurczonych rąk od-
najdujemy w posagu, przedstawiającym
«*Księgę świata*», którego wizerunek za-
łączam także. «*Chopin*» (jedyny z lic-
nych już utworów Biegasa, wykonanych
podczas czteromiesięcznego pobytu w Pa-
ryżu, który, dzięki przyjacielskiej pomo-
cy, doczekał się utrwalenia w bronzie),
«*Chopin*» został także przedmiotem po-
nętnej oferty—z Moskwy. Inne utwory

długo zapewne będą czekać na amato-
rów. Biegas zdaje sobie doskonale sprawę
z tego. Ale jest to mu prawie obo-
jętnem. Gdyby mógł tylko zarobić na
odlewie swoich dzieł! Zresztą nie dba o
pieniądze. Nie potrzebuje ich.—Czy ma
zabezpieczone utrzymanie?—Tak, na rok
jeden, trzydzieści rubli mie-
sięcznie... Dreszcz przejmuje
mnie.

— A potem?—Potem bę-
dzie, co będzie. Zresztą, nie
długo mi żyć...

— Dlaczego? Czy chory
jesteś?—Nie, ale czuję to...

I znowu smutek ścisła
mi serce. I patrzę niespo-
kojnie w te dziwne oczy,
pełne iskier i łez... i gorącz-
ki także!

Nie próbuję spierać się
z artystą o jego teorię, ani o
sposób wcielania jej w czyn.
Czuję się bowiem coraz bar-
dziej wobec siły pierwobytn-
nej, z którą niemasz wła-
ściwie możliwego sporu. Czy
spieramy się z deszczem,
który pada, albo z wiatrem,
który wieje? Bierzemy pa-
rasol od deszczu, ale deszcz
swoją drogą pada. Zresztą
Biegas jest jeszcze nie tylko
bardzo młody, ale bardzo
bardzo wdzięcznie dziecin-
ny. Kto wie, kędy jeszcze
obróci się owa siła, którą
czuć, którą widać prawie do-
bywającą się z jego wątłej
postaci, z chaosu niewyraź-
nie określanych, załedwie tu
i owdzie odgadywać się da-
jących myśli, uczuć i wra-
żeń, tak jak para wstaje
z wilgotnej ziemi? Siła jest
wielka bezsprzecznie, na
usługach u wyobraźni cho-
robliwej może, ale potężnej.
Genjusz i choroba. Dwadzie-
ścia cztery lat i myśl o

blizkim zgonie. Tysiąc utworów w gło-
wie i trzydzieści rubli miesięcznie na rok
jeden. Żegnając artystę, przychodzi mi
na pamięć tragiczny wiersz Wiktora
Hugo:

*Cet homme sera grand! Oui, s'il a le
temps d'être.*

Nemo.

CZORSZTYN.

NOTATKA W PRZEJEJZDZIE.

Od Nowego Targu, owej stolicy Pod-
hala, na której rynku, za żebro powie-
szony, trzy dni konal sławny junak ta-
trzański, Janosik, jedziemy, nie opusz-
czając ani na chwilę brzegów Dunajca.
Droga wiję się w kapryśnych, wężowych
splotach. Tatry już są daleko za nami.
Kraj robi się coraz bardziej typowo pod-
górski, na łagodnych stokach wzgórz
malują się zielone szachownicę łąnów
chłopskich. Dwie godziny wygodnej jaz-
dy mijają szybko, i nie opuszczając spie-
nionych nurtów Dunajca, który sunie za
nami, jak wyborny przewodnik, stajemy

u stóp wspaniale nad okolicą dominującej góry z ruinami starożytnego zamku Czorsztyn.

Na całej przestrzeni ziem polskich niezbyt wiele jest murów równie czcigodnych, dźwigających na sobie równie wielki majestat przeżytych wieków. Potężne zwałiska wskazują dziś jeszcze, że ta warownia, osadzona na samej granicy węgierskiej, należała do pierwszych w kraju. Imię jej twórcy zginęło w nie-



Ruiny zamku w Czorsztynie.

pamięci czasu, lecz już w wieku XIII na świetnym zamku czorsztynskim, uchodząc przed najazdem tatarów, przyjmował gościnnie król Bolesław Wstydlawy z żoną i matką. Właściciel ówczesny Czorsztyna, imieniem Wydźga, był to mąż o silnym ramieniu i przebiegłej głowie. Szukając, jakby się wzbogacić, na pograniczu węgierskim znalazł obfite żylży złota, które się stały podstawą dla ugruntowania świetności Wydźgi i Czorsztyna. Na zachód od Ryfra, w Suchej Roztoce, w Słotwinie, w Podjaworzu, koło Maszkowic, pod Wysokiem, koło Muszyny, na tej całej przestrzeni w wieku XIII kwitło coś, naksztalt malej Kalifornii polskiej, a złoto, dobyte w górach, płynęło strugami do piwnic zamku na Czorsztynie.

Zbliżały się dla niego coraz świetniejsze czasy, murem jego danem było oglądać coraz znamienitszych gości. Dwukrotnie, w latach 1335 i 1339 zatrzymał się tu dla wypoczynku wielki król chłopów, Kazimierz, zdążając w ważnych państwowych sprawach do Wyszehradu. Rok 1424 sprowadził chwilowo na zamek czorsztynski cesarza Niemiec, króla Eryka Duńskiego i Władysława Jagiellę, z kąd, z taborami trzech dworów monarchicznych, pociągnięto na koronację królowej Zofii w Krakowie. Tu wreszcie, jadąc do Węgier dla objęcia tronu, król Władysław Warneńczyk zęgnął się z matką, Zofią i bratem, Kazimierzem.

Takie były wizyty monarchów.

Ale zamek czorsztynski, oprócz swoich wspomnień etykietalno-dworskich, posiada także krwawe wspomnienia socjalne, któremi różni się od wszystkich innych małopolskich warowni. Nadługo przed strasznym Kostką Napierskim, około r. 1400, opanował go, na czele olbrzymiej bandy zbójników, tworzących niemal armję, tajemniczy Jan Rogala, szerząc postrach w promieniu wielu mil. Lat trzydzieści później miał zamek od-

wiedziny groźnych husytów czeskich, a w dwieście lat zapalił tu pochodnię buntu naturalny syn królewski, Kostka Napierski, ten wytorny paź, usiłujący na feudalnym jeszcze prawie terenie zaszczyścić hasła nowożytnie. W podziemiach czorsztynskich jęczała szlachta okoliczna i żydzi, na murach zamku strażę czuwały, aby załoga mogła każdej chwili powitać ogniem działowym nadciągające wojsko regularne, a Napierski, rozglądając się po cudnej okolicy podtatrzańskiej, posyłał wzrok na północ i marzył o tryumfalnym wjeździe do Warszawy. Potem przyszedł pał na rynku krakowskim i koniec świetności Czorsztyna.

Przeciągające tędy w różnych czasach wojska poczęły lupić zamek. Kiedy w r. 1769 szukali tu schronienia konfederaci barscy, było już bardzo licho z murami. Ostatni starosta spiski, Józef Potocki, ustąpił przed siłą elementarną. Rzecz dziwna, w chwili, gdy dogorywało życie niepodległe tej części kraju, w Czorsztyn poczęły bić pioruny, z którymi przyszedł jeden i drugi pożar i dawne mieszkanie królów obrócił w gruzy. Opustoszały już i zniszczony zamek kupił w r. 1819 od rządu austriackiego rodzina Drohojewskich.

Od tej pory nie zmieniło się tu nic. Potężne zwałiska, oszczędzone przez ogień, drwią sobie już z wysiłków czasu. Są na to za silne. O wewnętrznym rozkładzie trudno powziąć jakiegokolwiek wyobrażenie z tych szczątków. Zdziwiają tylko olbrzymie grube mury, przyczepiane do skał, które tu i owdzie stanowią część integralną ściany. Na gruzach porasta bujnie ta charakterystyczna zieleń, która takim zrujnowanym świadkom przeszłości daje jakiś osobny, smutny urok. Południowa ściana zamku stanowi jakby przedłużenie prostopadłe stromego stoku góry i rozciąga się ztąd niezrównany widok na romantyczny pejzaż okolicy. U stóp skały zamkowej szumi spieniony Dunajec; w dali, przy pogodnym niebie, widać siniejącą panoramę doliny nowotarskiej, Beskid z Babią górą i niewyraźne, ośnieżone Tatry.

Czorsztyn leży o krok od granicy węgierskiej, która w tem miejscu stanowi łożysko Dunajca. Za mostem, po przeciwnej stronie, wznosi się, niby pen-

dant do granicznej warowni polskiej, zamek węgierski Niedzica, strzelający w górę rogami swojej wybornie zachowanej baszty. Niegdyś była także Niedzica forteca polska, zamek, zbudowany w sto lat po czorsztynskim, nazywał się Dunajcem. Tutaj-to dokonana została wypłata pożyczki, którą Władysław Jagiello wygodził cesarzowi Zygmuntovi, biorąc w zastaw trzynastę miast spiskich. Z ramienia króla siedzieli potem na zamku niedzickim hrabiowie spisy, częścią węgry, częścią polacy. Przeszedłszy w prywatne ręce, Niedzica była własnością rodziny Łaskich i Paloczajów, po których w salach zamkowych zostało mnóstwo pamiątek.

O sto lat młodsza od Czorsztynu, Niedzica przeżyła swego sąsiada z za Dunajca i w tej chwili jeszcze jest przez pół zamieszkaną. Węgry troszczą się lepiej o swoje pamiątki dziejowe. W latach 1815 do 1825 odrestaurowano gruntownie zamek niedzicki, a dzisiaj jego właściciele, Salamonowie, strzegą gorliwie jego całości. Jakże inaczej jest po drugiej stronie Dunajca! Lat temu sto zamek czorsztynski, mimo pożarów, zawierał jeszcze wiele interesujących szczegółów i nadawał się wybornie do konserwacji. Niestety, zabrakło ręki troskliwej, umiejętniej. Dziś jest już za późno. Ale potężne zwałiska Czorsztynu panują mimo swojego opuszczenia nad okolicą, jak tragiczny świadek niepowrotnej przeszłości. Rzucamy mu ostatnie pożegnalne wejrzenie i przebywszy wspólny, austriacko-węgierski most na Dunajcu, stajemy na ziemi, należącej już do korony św. Szczepana.

Zakopane.

Sz.



Zamek Niedzica nad Dunajcem.

NESTOR

PARLAMENTARJUSZÓW POLSKICH.

Cheć przedstawić działalność publiczną d-ra Henryka Szumana, czcigodnego prezesa sejmowego Koła polskiego, należałoby skreślić dzieje Wielkopolski w ciągu ostatnich pięćdziesięciu kilku lat. Tak żywy i tak wybitny brał udział w ruchu politycznym i społecznym dzielnicy polskiej, którą traktat wiedeński monarchji pruskiej wydzielił. Z tego względu pamiątki, których spisowaniem dr. Szuman zajmuje się już od dość długiego czasu, będą miały dla przyszłych historyków niepospolitą wartość.

Mała część ich, obejmująca wypadki 1848 r. w Berlinie i w Poznaniu, ukazała się w druku. Zawierają one barwny, a zarazem ścisły obraz tych niezwykłych przeżyć, jakich widownią była w tej *Sturm- und Drang-Periode* stolica Prus—obraz ten silniej wrażliwy się w pamięć, iż wyszedł z pod pióra czynnego uczestnika.

Kiedy po raz pierwszy przedstawiony zostałem d-rowi Szumanowi, wierzyć nie chciałem, że mam przed sobą ośmdziesięcioletniego starca.



Dr. Henryk Szuman, prezes Koła polskiego w Berlinie.

Rzadki włos wprowadził posiwił, ale z krzepkiej postaci tchnie rzeźkość, twarz czerstwa zdaje się tryskać zdrowiem, umysł pozostał młodzieńczo, ruchliwym. Pięćdziesiąt z górą lat gorliwej pracy obywatelskiej nie zostawiło śladów. I dziś jeszcze sędziwy starzec pilnością w spełnianiu obowiązków parlamentarnych zawstydić może niejednego z młodszych kolegów.

Na arenę życia publicznego dr. Szuman wystąpił nader wcześnie. W 1848 r. przebywał w Berlinie jako auskultator sądowy. Powierzono mu obronę kilku osób, wmiuszanych do sprawy Mierosławskiego. Zdolności młodzieńca znalazły rychło zasłużoną ocenę. Dowodzą tego zażyłe stosunki, w jakich pozostawał z posłami poznańskimi do połączonych sejmów. Z Zachodu szła wichura rewolucyjna. Dni lutowe, które zmiotły z tronu francuzkiego dynastję orleańską, wstrząsnęły do głębi całą prawie Europę. W Berlinie atmosfera czyniła się coraz duszniejszą. W d. 18 marca nastąpił wybuch.

W pamiątkach swych dr. Szuman opowiada wrażenia, których doznał jako naoczny świadek walki ulicznej. Pierwsze strzały usłyszał przy obiedzie, który spożywał wraz z Edwardem Leo, Michałem hr. Tyszkiewiczem, Julianem Moraczewskim i bratem, w restauracji Tietza, mieszczącej się wtedy na rogu ulic «Pod Lipami» i Frydrychowskiej. Przypadkowych widzów rozpoczynającego się dramatu spłoszyła kula armatnia, która gwizdnęła im po nad głowami.

Nastąpiły znane wypadki dziejowe. Komitet centralny narodowy, który ukształtował się w Poznaniu, nie pozwolił długo zostać Szumanowi w kraju. Wydelegował go z powrotem do Berlina, ażeby w publicystyce niemieckiej, coraz nieprzyjaźniejszej zdradzającej względem polaków uczucia, bronić interesów ludności polskiej. Współ z Szumanem, pracował na tej niwie również Julian Klaczko, który jeszcze przed wypadkami marcowymi przybył do Berlina z Heidelbergu. Broszura jego «die Hegemonen», w której napiętnował maloduszność przywódców liberalizmu niemieckiego, nie minęła bez wrażenia.

Lecz krótkotrwały okres sympatii dla

polaków i «braterstwa ludów» przeszedł bezpowrotnie. Coraz wyraźniej ujawniała się w sferach niemieckich niechęć względem polaków i ich aspiracji narodowych. Dawni przyjaciele zmienili się do niepoznania. W celu obrony interesów ludności polskiej, z inicjatywy Aug. hr. Cieszkowskiego, założoną została «liga narodowa polska», której zadaniem miało być skupienie w jedno ognisko sił moralnych i materialnych tak w kraju, jak i za granicą do *jawnego i legalnego* działania na korzyść narodowości polskiej. W komitecie ligi zasiadł i Henryk Szuman, jako zastępca wydelegowanego do Frankfurtu Libelta.

Atoli słomiany ogień już się dopalał. Generał Wrangel wkroczył na czele wojska do Berlina. Zgromadzenie narodowe zostało rozpedzone.

Dr. Henryk Szuman powrócił do swej kariery sądowniczej. Sprawował już urząd sędziego pomocniczego w Śremie, kiedy w r. 1858 ojciec oddał mu rodzinny majątek Władysławów. Był komendantem legji akademickiej osiadł na wsi, ożenił się i wiódł przez parę lat cichy żywot rolnika, przerywany tylko spełnianiem przeróżnych obowiązków obywatelskich.

W r. 1863 ówczesny właściciel «Dziennika Poznańskiego», ś. p. Cegielski (ojciec dzisiejszego posła) wezwał dr. Szumana do objęcia redakcji tego czasopiśma. Niedługo wszakże trwała ta praca: sześć tygodni. Został on wtrącony do więzienia.

W czasie, kiedy przesiadywał w zamknięciu, wyborcy uczlili go mandatem poselskim. Izba zażądała uwolnienia przebywających w więzieniu posłów, między którymi znajdował się Niegolewski i H. Szuman. Bismark, już wtedy u władzy, musiał uleść. Krótkotrwałą miała być ta wolność. Zaledwie dr. Szuman wrócił do domu, gdy przed dwór zajeżdża landrat z żandarjami:—Mam rozkaz aresztowania pana. — Jestem posłem, a zatem nietykalnym.—Przestałeś nim pa być, bo sejm właśnie został rozwiązany...

Landrat nie posunął się jednak do ostrzejszych kroków. Pozwolił zostać d-rowi Szumanowi kilka dni w domu, dla uregulowania interesów; wziął tylko odeń słowo honoru, że się stawi sam do więzienia w oznaczonym czasie. Szuman dotrzymał przyrzeczenia, ku zdziwieniu dyrekcji więzienia berlińskiego, która nie nawykła, aby «przestępcy» sami dobrowolnie do bram się zgłaszali.

Jeszcze pół roku potrwał pobyt w murach więziennych. Wyborcy wielkopolscy znów ofiarowali d-rowi Szumanowi krzesło poselskie. Od tego czasu, t. j. wogóle od r. 1863, dr. Szuman niemal stale zasiada w sejmie, z krótką przerwą czterech czy pięciu lat, kiedy z prywatnych powodów nie chciał sam kandydować. Odprzedawszy majątek bratu, osiadł z rodziną w Obornikach, znaczną część roku wszakże spędzając zawsze w Berlinie. W 1871 r. obrany zostaje prezesem polskiego Koła sejmowego. Godność tę tylko na krótki czas ustępuje na rzecz ś. p. Mottego. Potem znów wraca do steru frakcji polskiej.

Tak długa karjera parlamentarna musi obfitować w wysoce interesujące szcze-

góły. Bismarka drażnił zawsze fakt, że na czele posłów polskich stoi mąż, którego nazwisko zdradza niemieckie pochodzenie przodków. Zaczępił z tego powodu niejednokrotnie d-ra Henryka Szumana w swych mowach.

Jednym z najważniejszych wystąpień czcigodnego posła był protest, złożony w sejmie w 1871 r., z powodu aneksji Alzacji i Lotaryngji.

Czterdzieści blisko lat nieustannej walki z polakozercem krzyżactwem nie wyzerpało sił nestora «parlamentarjuszów» polskich. Zachował te siły w pełni. Nie należy się dziwić. Dr. Szuman jest godnym przedstawicielem społeczności wielkopolskiej.

Gordon.

NOWI BISKUPI.



KS. STANISŁAW ZDZITOWIECKI, biskup kujawsko-kaliński.

Urodził się w r. 1854. Po zgonie biskupa sandomierskiego ks. Sotkiewicza w maju r. z., wybrany został przez kapitułę sandomierską na administratora tej diecezji.



KS. EDWARD ROPP, biskup tyraspolski.

Urodził się w r. 1836, a święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1859 w seminarjum w Kownie. W r. 1892 został proboszczem w Libawie, w kilka lat potem dziekanem, a przed paru laty kanonikiem w kapitule śmudzkiej.



Tłumy pobożnych oczekują na Krakowskim-Przedmieściu na procesję, której początek ukazuje się właśnie z placu Zamkowego. Pochód rozpoczynają bractwa, panny w białych noszą chorągwie, dzieci sygnalizują kwiaty; pieśni, śpiewanej przez duchowieństwo, wtrąca ogół.

CALUN TURYSKI.

Niedawno podaliśmy opis i fotografię słynnego calunu Turyskiego, który teraz wywołał tyle wrażenia w świecie całym i zainteresował europejski świat naukowy. W tym samym przedmiocie ukazał się obecnie w „Przeglądzie Katol.” artykuł, który ze względu na nowe zawarte tam szczegóły, podajemy tu w przedruku:

Akademię nauk i świat uczonej w Paryżu, a jednocześnie — co nie zawsze idzie w parze — prasę i publiczność bulwarów i kawiarni zajmuje żywo w tych czasach (nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe!) sprawa świętego calunu w Turynie. Wiadomo, że w dwóch miejscach przechowywane są relikwie, noszące tę nazwę: we wsi Argenteuil pod Paryżem i w stolicy dawnego Piemontu. Każda z nich rości sobie prawo do autentyczności i może je w równym stopniu posiadać, boć zupełnie prawdopodobne jest przypuszczenie, że Zbawiciel, po zdjęciu z krzyża, owinięty został dwoma prześcieradłami. Tem jednak, które bezpośrednio przylegało do ciała Pana Jezusa, był niewątpliwie calun turyński. Zachował on odbicie prawie portretowe postaci Zbawiciela i ono to daje obecnie powód do naukowych rozstrzygnięć i dyskusji.

Przyszło zaś do tego w następujący sposób.

Calun turyński, czczony w Konstantynopolu aż do początku XIII wieku i podczas zaboru stolicy wschodniego cesarstwa przez łacińskich krzyżowców, ukryty wraz z innymi relikwiami przez greków, przeniesiony został na Zachód w połowie XIV w.; w sto lat później uchroniony cudownie od pożaru, który pozostawił na nim ślady, a od kilkuset już lat przechowywany jest w katedrze turyńskiej, jako najdroższy jej skarb i rodzinna świętość dynastji sabaudzkiej. Calun ten przedstawia się jako podłużne liniane prześcieradło, mające 4 m. 10

cm. długości, a 1 m. 40 cm. szerokości, i pozostaje zamknięte w cyprysowej, srebrną kutej skrzyni. Na płótnie żółtym widać niewyraźne odbicie ludzkiego ciała z wyraźniej zarysowanym owalem głowy i śladami rąk i nóg; wszystko to w formie brunatnych plam, z których tylko przy udziale wyobraźni i dobrej woli można stworzyć jednolitą postać. W r. 1898, z okazji jubileuszu katedry, wystawiono po raz pierwszy relikwie na widok publiczny i wystawienie to ściągnęło do Turynu licznych pielgrzymów. Wówczas turyński fotograf Pia, dla łatwiejszej reprodukcji obrazków, przedstawiających relikwie, uzyskał pozwolenie fotografowania jej. Wtedy to stała się rzecz zdumiewająca, przechodząca ludzkie pojęcie. Szereg niewyraźnych brunatnych plam, które kontaktem swoim przypominały ciało człowieka, nie dając zresztą bliższego o nim wyobrażenia, przedstawił się na kliszy fotograficznej jako pozytywny, wyraźny i dokładny wizerunek człowieka, leżącego ze skrzyżowanymi rękoma. Ponieważ odbicie było odrzucone pozytywne, plamy brunatne musiały być odrzutu negatywne, pierwszym odbiciem fotograficznym ludzkiego ciała.

Rzecz prosta, fakt nadzwyczajny zainteresował od razu chemików i wogóle przyrodników. W jaki sposób ciało ludzkie mogło utworzyć fotograficzne odbicie? A jeśli odbicie to było dziełem malarza, w jaki sposób artysta średniowieczny mógł wykonać obraz negatywny? Obraz ten przytem przedstawia się nadzwyczaj dziwnie. Rysunek niepodobny do żadnego obrazu Zbawiciela, ani w wiekach średnich, ani dziś. Ani typ, ani wyraz. Nie może być podobny zresztą, bo o takim realizmie nikt nie zamarzyłby. Przytem kilka drobnych szczegółów. Na wizerunku przednim niema kostek u nóg, na tylnym — bardzo wydatne. Na czole kropla krwi, zwężona ku środkowi, szersza po bokach, taka, jaka jest w naturze, a nie jaką malo-

wali artyści średniowieczni, nadający jej kształt lży. Wbrew powszechnie przyjętej tradycji ręce i nogi przywzdużone nie na dłoniach i stopach, ale w kostkach. Rany od biczowania, odmienne także od tych, jakie malowano w wiekach średnich, są najzupełniej takimi, jakie zadawał bicz rzymski, haczykiem lub kulka zakończony: cieńsze u góry, rozszerzone w dole i idą wszystkie w jednym kierunku, jak je zadawała ręka kata. Przytem widoczny na fotografii znak od nacisku krzyża, na piersi od przebicia włócznią. Wreszcie, szczególny charakterystyczny i wyjątkowy wprost interwencję pobożnego artysty wieków średnich: ciało jest zupełnie obnażone, pozbawione przepaski na biodrach: w ten sposób nikt, wówczas przynajmniej, nie byłby się poważał przedstawić Pana Jezusa.

„Dodajmy jeszcze do tego anatomiczną dokładność, do jakiej w XIV w. nikt nie byłby zdolny; zestawmy to z archeologiczną ścisłością, o której nikt wówczas nie mógł mieć pojęcia, a wobec tego wszystkiego nie będziemy mogli ani na chwilę przypuszczać, żeby obraz był malowany. Późniejszym od r. 1353 być on nie mógł, bo do tego czasu sięgają autentycznie stwierdzone o nim dokumenty. W tym czasie zaś ani artysta jakikolwiek byłby go malował w ten sposób, ani z taką śmiałością, ani z taką znajomością i uwzględnieniem archeologii i historycznej prawdy, a nadewszystko nie malowałby go jako negatywną fotograficzną. Jak więc obraz wytłómaczyć?

„Odpowiedzią na to pytanie są znane uczone paryżki, prof. Vignon, jedna ze znakomości w tej gałęzi wiedzy. Badania jego doprowadziły do następujących wyników. Stwierdził on, że negatywa powstała wskutek odbicia ludzkiego ciała, namaszczonego oliwą i aloesem. Jeżeli bowiem ciało osoby, która przeżyła krótko przed zgonem ciężkie cierpienie, namaścić oliwą i aloesem, i potem obwinąć w płótno, maść zostawia brunatne plamy na płótnie, a w połączeniu z wilgocią niezastygłego jeszcze trupa może wytworzyć negatywne odbicie. Na to jednak, aby odbicie mogło się zachować, potrzeba, aby ciało ochronione było od rozkładu, następującego zwłaszcza w krajach południowych tak szybko. W wyczerpującym sprawozdaniu, przedstawionem Akademii w imieniu p. Vignona przez p. Delage'a, profesora Sorbony, wykazuje znakomity uczonej niezłobnie, że obraz na calunie turyńskim nie jest dziełem ręki ludzkiej, ale odbiciem naturalnym ciała człowieka ukrzyżowanego, męczonego przed śmiercią, przybitego za ręce i nogi do krzyża gwoździami, mającego rany od cierni na głowie i od włóczni w piersi, biczowanego rzymskim *flagrum*, namaszczonego zaraz po śmierci maściami i owiniętego w calun, i nie poddającego się dekompozycji, która w przyrodzonych warunkach musiałaby temu odbiciu przeszkodzić.

Ks. Jan Ścisławski

mianowany został proboszczem kościoła św. Katarzyny w Petersburgu przed pół rokiem (przyjechał 20 listopada). Obecnie kreowano go na kanonika honorowego archidiecezji mohylowskiej.

Ks. cisławski urodził się w r. 1842 na Podolu. Studja odbył w seminarjum kamienieckim. Wyświęcony na kapłana r. 1865 przez biskupa Fijałkowskiego. W przeciągu lat 13 urzędował w Mórachwie, na Podolu, z początku jako wikary, a następnie jako proboszcz parafii. W ciągu dalszym był proboszczem w Sławucie na Wołyniu, wreszcie proboszczem katedry kamienieckiej, zkad przeniesiony został do Petersburga.

Ks. Ścisławski odznacza się głęboką wiedzą teologiczną i darem wymowy. Posiada bardzo liczny księgozbiór dzieł teologicz-



Ks. Jan Ścisławski, proboszcz kościoła św. Katarzyny.

nych, który stale zapełnia nowościami. Władza językami: francuskim, włoskim i angielskim. Wielki zawsze przyjaciel ludu i młodzieży. Mieszkanie jego zawsze roilo się od młodzieży, zwłaszcza uczącej się. Kilka razy odbył podróż zagranicę. Bardzo kocha Rzym. Nabożeństwu zawsze nadawał cechę uroczystości jaknajwiększej i po przybyciu do Petersburga, już wiele zmian w tym kierunku zdołał zaprowadzić. Wszędzie cieszy się wielką sympatją. Dowodem przesłannym album z niezliczonymi podpisami parafjan kamienieckich, oraz obywatelstwa okolicznego, przyzobiony ślicznymi winiętami wido-ków Kamieńca, który w dowód czci i uznania teraz otrzymał.

OBRAZKI MANDŻURSKIE.

P. Krawczenko, artysta-malarz, opisuje w „Now. Wrem.” wrażenia swoje z podróży na daleki Wschód. Zaznacza on przede-wszystkiem, że podróżnik na kolei Mandżurskiej narażony jest na mnóstwo niewygód i przykrości: na przebycie odległości 900 wiorst potrzeba aż 130 godzin; pociąg idzie wolno, na stacjach zatrzymuje się po parę godzin, między zawiadomcami stacji a publicznością ustawiczne zachodzą zatargi, wszelkie skargi jednak pozostają bez skutku.

— Cóż pan chce — mówił mu jeden z towarzyszyw podróży, znający dobrze stosunki miejscowe — ludzi nie można znaleźć; mniejsze posady zajmowane są przez osoby, które w Rosji nie znalazłyby miejsca, ale innych niema, a bez nich obejść się nie sposób — więc niema na to rady!

Niemniej ujemne wrażenie odniósł p. Krawczenko i z Chajlaru, pierwszej miejsciny chińskiej, którą udało mu się widzieć. Zwiędził ją z pewnym pułkownikiem, przybyłym w sprawach służbowych; otóż na wstępie upadł im do nog jakiś pokrzwawiony mandżur i opowiadał coś jęczącym głosem; z gestów można było poznać, że pobił go żołnierz rosyjski, — lecz jak tu znaleźć winnego? Wogóle zauważono, że prosty lud rosyjski mniej ma współczucia dla chińczyków, niż nawet dla zwierząt. Miasto całe zburzone; w świątyni, dość pięknej, wszystko zniszczono, posąg Buddy stoi bez głowy, ściany podziurawione, a na drzwiach przybity szyldek: „Skład № 1”; na bramie miejskiej zniszczony napis hieroglificzny, mający bronić grodu od najścia złego ducha.

Za Chajlarzem, w stronę gór Chingiańskich, ciągnie się okolica pusta i pępna: stepy, piaski i nagie góry — gdzieś tam w stepach ślady ognia; to pasterze wypalają trawę, aby nowa lepiej odrósła. Od ognisk tych powstają pożary, niszczące lasy i siola, — podług ustaw chińskich za roz-

niesienie tych ogni grozi śmierć. Pomimo to spotyka się je często. Podobno przed powstaniem bokserów było to samo. Dalej ku Chinganowi okolica staje się bardziej malowniczą; droga wznosi się wciąż wyżej, krając po górach. Zaraz za przełęczą Chinganu zaczyna się spadek tak raptowny, że pociąg zwykły trzeba rozdzielać na dwie części, aby mógł przejść po krętej drodze; zato widok ztąd przepiękny na szeroką dolinę, otoczoną wysokimi górami, pokrytymi lasem i przeciętą rzeką. Dla uniknięcia przełęczą, obecnie przez Chingan przebijają tunel.

Po przebyciu Chinganu, pociąg posuwa się po równinie aż do samego Charbinu. Na stacjach można dostać pleczonej bażantów, jaj gotowanych i nieszczerzonego piwa amerykańskiego, za którego butelkę żądają 60 — 80 kop., a nawet i rubla. Wagony stare i niewygodne; rozkładem jazdy nikt się nie kieruje, a na dobitkę, na przystankach niema dzwonek, więc nieraz nieopatrzny podróżnik zostaje na stacji, ku radości restauratora, który przez takich przymusowych gości stara się naprawić swoje, naogół nie świetne interesy.

Główny kontyngens urzędników kolejowych — jak notuje p. Krawczenko — stanowią polacy (?); w razie jakichkolwiek zająć, język polski doprowadza najszybciej do porozumienia się. W czasie podróży p. Krawczenko udało

się zapobiedz dość brzydkiej sprawie: konduktor chciał koniecznie, dla przypodobania się zawiadowcy, na małej stacyjce zostawić młodą dziewczynę, jako nie posiadającą całkowicie opłaconego biletu; rozmowę ich usłyszał „młody maszynista, widać polak i jako idealista, dał panience pieniądze na bilet”, oraz zawiadomił kilku pasażerów, w tej liczbie i p. Krawczenkę, o tem, co się święci, i ci przeszkodzili przymusowemu noclegowi młodej dziewczyny na nieznaną stację.

Po przejechaniu długiego i pięknego mostu na rzece Sungari, pociąg przychodzi do Charbinu, który oficjalnie nazywa się Sungari I. Za Charbinem poczyna się południowa Mandżurja; tu kolej już wykończona, wagony dogodne, a pociąg idzie dość szybko; droga aż do Port-Arthura idzie przez pola, nad wszelki podziw świetnie uprawione; zagony tak są równe, że zdaje się, iż wymierzono je cyrklem. Najdrobniejszy kawałek ziemi nie leży odłogiem, tylko gdzieś tam pod drzewem widać mogiłę w postaci kopca ziemi. Na polach wszędzie mnóstwo chińczyków, wybierających kamienie lub roznoszących nawóz w małych koszykach.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Wspaniałą owację urzędowo ustępującemu w 70 roku życia Edwardowi Suesowi, profesorowi geologii na uniwersytecie wiedeńskim; w dniu ostatniej jego lekcji przybyli do audytorjum liczni byli jego uczniowie, otaczając schodzącego z katedry nauczyciela żywym wiankiem; złożyli 42 tys. koron na fundusz wychowawczy dla młodych geologów. Prof. Sues, nie chcąc się rozstać ze swą „Alma Mater”, zapisał się jako wolny słuchacz na kurs geologii, twierdząc, iż uczyć się musi u następców, gdyż najwyższym szczytem ambicji nauczyciela jest przekonanie, iż został wyprzedzony przez uczniów.

+ Redakcja „Słownika języka polskiego”, z powodu braku odpowiedniego funduszu, zmuszona jest zaprzestać sporządzania stereotypów i, co z tego wynika, wstrzymać sprzedaż „Słownika” oddzielnymi zeszytami, począwszy od zeszytu 13. W dalszym ciągu więc „Słownik” nabywać można tylko drogą przedpłaty, przyczem osoby, które nabyły już za rubla zeszyty 11 i 12, mogą dopłacić po 1 rb. 50 kop. do trzeciej raty (2 rb. 50 kop.), którą pobierano od prenumeratorów przy odbiorze zeszytu 11, 12 pierwszych zeszytów, jako już odstereotypowane, można i nadal nabywać oddzielnie po 50 kop.

+ Dr. Zygmunt Gargas ze Lwowa, przystępując do opracowania monografii o znakomitym ekonomście polskim Józefie Supińskim, zwraca się z prośbą o nadsyłanie listów lub rękopisów, pozostających w związku z osobą uczonego, pod adresem: Lwów, ul. Szepetyckich, l. 34B.

KRONIKA POŚMIERTNA.



Edmund Stecki, b. marszałek złączony owruckiej, zmarł w Warszawie d. 23 lipca.



Tadeusz Hrehorowicz, b. profesor liceum w Jarosławiu, zmarł w W. Ka. poznańskim d. 1 maja r. b.

+ Zamiłowany botanik, p. Ferdynand Karo, po 10-letnich badaniach flory na Syberji, powrócił do Warszawy, przywiózłszy z sobą bogaty zbiór okazów roślin, z zamiarem ofiarowania go warszawskiemu Towarzystwu farmaceutycznemu.

+ W ogrodzie zoologicznym w Antwerpii otwarto wystawę geograficzną. Ciekawych okazów dostarczyły towarzystwa geograficzne: berlińskie, paryżskie, londyńskie i amsterdamskie.

+ W Berlinie odbywają się próby armaty elektro-magnetycznej wynalazku fizyka norweskiego prof. Birkelanda.

Literackie.

+ Biblioteka Jagiellońska posiada egzemplarz teatralny dramatu Syrokomli: „Możnowładcy i sierota”. Książka, z zakreślonymi przez cenzurę w r. 1859 ustępami, rzuca ciekawe światło na poglądy ówczesnej cenzury krakowskiej.

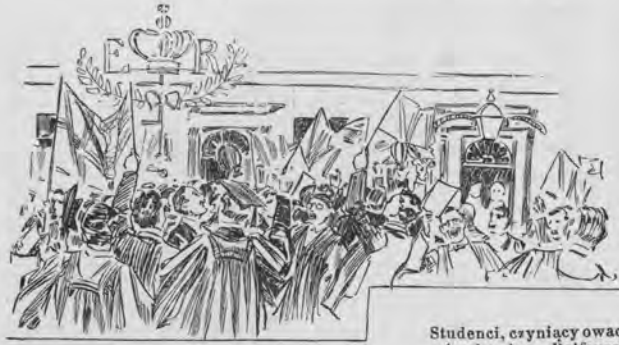
+ Na posiedzeniu krakowskiego klubu słowiańskiego odczytaniem został referat o przekładzie „Pana Tadeusza” na język chorwacki. Dokonane przez znanego sławistę, prof. dra Tomo Maretića, tłumaczenie znakomicie oddaje nietylko treść, ale i nastroj Mickiewiczowskiej poezji, jak o tem świadczy początek: „Litwo moja domajol ti bi poput zdavrlja Sto rzdjadz czojyeku tad se istom javlja Kad te zgabi, Danas ti ezar i udes cjeji Vidim i opisujem, Jer tu sree zeli.”

+ Pewien księgarz niemiecki w Paryżu ogłosił, iż chce sprze-

CUDA BUDOWNICTWA.



Flatiron Building jest najbardziej zadziwiającym domem w New-Yorku na zbiegu ulic Broadway i V Avenue. Budowę domu tego skończono w tym roku, przypominia on kształtem swoim kil obryzmięgo statku. Kształt taki trzeba było wybrać ze względu na niewielki plac i na nadzwyczaj wygórowaną cenę ziemi w tej dzielnicy New-Yorku. «Flatiron-Building» ma 20 pięter.



Studenci, czyniący owoację przed mieszkaniem Balfoura. Uspokojenie w całej Anglii jest nadzwyczaj radosne. W kilku miastach sędziowie policyjni wypuścili więźniów, których im przyprowadzono, na wolność. Szkoły i fabryki pozamykano, na ulicach urządzano pochody. Aby zobaczyć króla, jadącego na nabożeństwo dziękczynne, stanęły niezliczone tłumy na drodze z pałacu do Buckingham do pałacu St. James. Króla, jadącego powozem, przyjmowano frenetycznymi okrzykami radości.

dać część spuścizny po Heinem, za 30 tys. fr. Papiery te obejmują, między innymi, około trzyset listów wybitnych literatów do Heinego, oraz szereg rękopisów prozą i wierszem, z których ze 30 jeszcze nie drukowanych; wreszcie należą tu jeszcze niektóre przedmioty, używane przez Heinego, jak kałamarz, teka i t. p. W Düsseldorfie, mieście rodzinnym poety, rozpoczęto agitację, celem zebrania funduszu na zakupienie tej spuścizny do muzeum Heinego, które ma tam być urządzone w domu, gdzie się urodził, jako kompensata za pomnik, odrzucony swego czasu przez władze miejscowe.

+ W Boulogne sur Mer zmarła Alicja Durand, powieściopisarka, znana pod pseudonimem: Henry Gréville. Tematy do licznych powieści swoich czerpała przeważnie z życia rosyjskiego, które poznała dobrze, zamieszkując przez dłuższy przeciąg czasu w Petersburgu.

+ Zaden ze stu utworów, nadesłanych na konkurs „Gazety Świątecznej“ na powiastkę dla ludu, nie zdobył pierwszej nagrody w kwocie 300 rb. Przejmowano więc 75 rb. obrazkowi p. t.: „Zuch Baba“ (autorka pseud. Wila) i po rs. 25 powiastkom: „Pokuta“ i „Antek Zawada“.

+ W Krakowie ukazała się w druku praca p. Federowskiego: „Lud białoruski na Rusi litewskiej“, obejmująca cierpliwie i starannie zebrane podania, obyczaje i przysłowia ludu białoruskiego.

+ Książkę o Sienkiewiczach napisał p. D. Ciampoli, bibliotekarz księżnicy Wiktora - Emanuela w Rzymie.

+ „Revue hebdomadaire“ umieściła nowelę Z. Kowerskiego, „Wydalona“ w przekładzie p. Wiktorji Zabiello.

+ W prazkim „Przechlezie Slovanskym“ zamieszczono między innymi pracę M. Zdziechowskiego o „Mażuranczu“, oraz wiele artykułów i wzmianek, dotyczących Polaków.

+ Telegramy donoszą o śmierci znanego powieściopisarza amerykańskiego Pawła Leicester Ford, który padł ofiarą tragedji rodzinnej, z ręki własnego brata. Oprócz utworów beletrystycznych, zmarły powieściopisarz był autorem

wielu cennych biografji i szkiców historycznych.

Artystyczne.

+ Grono konserwatorów Galicji zachodniej wystąpiło z podaniem do sejmiku w sprawie publikacji o zamku królewskim na Wawelu. Z uwagi na to, że niebawem będzie można przystąpić do restauracji zamku, grono pragnie wydać monografię tego zabytku, obejmującą opis i rysunki, oraz fotografie zamku wraz z jego zdjęciami architektonicznymi, oraz inwentarze, materiały archiwalne i literaturę zamku. Ponieważ wydawnictwo to, pożyteczne dla sprawy restauracji, musiałoby pochłonąć 20 tys. kor., przeto grono zwraca się do sejmiku albo o wyznaczenie funduszu wydawniczego, albo też o wydanie dzieła przez wydział krajowy pod redakcją grona konserwatorów.

+ Znani artyści-muzycy, bracia Tymoteusz i Józef Adamowscy, przebywający stale w Bostonie (Stany Zjednoczone Ameryki północnej), przybyli do Warszawy. Tymoteusz powraca już w sierpniu do Ameryki, związany warunkami kontraktu, Józef zaś z małżonką i dziećmi zamierza spędzić wakacje w okolicach Warszawy i powrócić dopiero w październiku do Bostonu, gdzie obejmie w nowo założonym konserwatorium „New England Conservatory of Music“ klasę wiolonczeli. Pani Józefowa Adamowska, z domu Szumowska, znakomita pianistka, obejmuje w temże konserwatorium najwyższą klasę fortepianu.

+ Komitet warsz. Tow. sztuk pięknych postanowił stosować wszystkie sposoby reprodukcji premjów, przeznaczonych dla członków, w celu zapoznania szerszego ogółu z akwafortami, medaionami, akwafortami i t. d.

+ Zbiorowe wydanie ex-librisów polskich z dwóch ostatnich stuleci opracował znawca archeologii, p. W. Witte z Warszawy.

+ W Paryżu, na polach Elijskich, odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika Alfonsa Daudet'a. Twórcą pomnika jest p. Saint Marceau.

+ Wystawa obrazów i rysunków, ilustrujących dzieła H. Sienkiewicza, przeniesiona z Peters-

burga do Moskwy, została tam otwarta w Muzeum historycznym.

Teatralne.

+ W teatrze Manzoni wielkiem powodzeniem cieszy się „Quo vadis“, przerobione na scenę przez S. Arborio.

+ Towarzystwo akcyjne zamierza w starożytnych amfiteatrach Francji dawać przedstawienia pod otwartym niebem z udziałem artystów scen pierwszorzędnych.

+ Jan Reszke, wskutek osobistego zaproszenia angielskiej pary królewskiej, udaje się na uroczystości koronacyjne do Londynu.

+ Przedstawienia „Cyryna de Bergerac“ mają być wzbronione w Ameryce, wskutek wyroku, wydanego w sprawie, popełnionego jakoby przez Rostanda, plagiatu sztuki amerykańskiego S. Grossa, z której Rostand skorzystał przy tworzeniu swego dzieła.

+ W teatrze „L'oeuvre“ wystawiono nową trzyaktową sztukę Maeterlincka p. t.: „Monna Van-na“. Krytyka paryska wyraża nadzwyczaj pochlebne zdanie o utworze znakomitego pisarza.

Nowe książki.

Ludomir Benedyktowicz. „Stanisław Witkiewicz, jako krytyk. Jego pojęcia, zasady i teorie w malarstwie“. Kraków, 1902. Spółka wyd. polska.

Autor, sam również znany jako malarz, polemizuje z teorjami Witkiewicza, wyrażonemi w jego manej książce: „Sztuka i krytyka u nas“. Przyznając, że Witkiewicz napisał z zakresu teorii sztuki kilka dzieł wprost znakomych, jak np. rozprawa o Mickiewiczach jako kolorystyce, o Juliuszu Kossaku (a nie dawno o Al. Gierzymkim) — autor jest zdania, że książka o sztuce i krytyce u nas, choć doczekała się już trzech wydań, nie stoi na tej samej wysokości, gdyż po za obniżającą dialektyką zawiera cały szereg teorii, wprost nie wytrzymałych krytyki. Witkiewicz — zdaniem autora — obniża zadanie sztuki, odmaiwając jej całej strony duchowej, zaprzeczając, żeby przedmiotem jej mogło być dobro i piękno, i redukując ją jedynie do wyrazu prawdy natury. Jest to stanowisko migawkowe aparatu fotograficznego... W książce Witkiewicza wykazać można — jakoś autor czyni to wielokrotnie — mnostwo sprzeczności, a nawet powiedzić można: ile razy Witkiewicz napisał coś istotnie głębszego, tyle razy szał kłam swojej teorii... Książka Witkiewicza była w swoim czasie reakcją pozytywizmu warszawskiego przeciwko kierunkowi szkoły krakowskiej (z Matejka na czele). Książka Benedyktowicza jest ciekawym objawem reakcji przeciwko teorjom Witkiewicza, objawem nie jedynym, gdyż niedawno temu p. Wawrzeńczyk, również utalentowany artysta-malarz, zajął w swych „Dławacach“ analogiczne względem książki Witkiewicza stanowisko.

Józefat Nowiński. — „Stanisław Przybyszewski“. Warszawa 1902, str. 107. Nakładem K. Treptego. Cena 1 rb.

Autor entuzjastycznie książkę o Sienkiewiczach wziętą w książce niniejszej pod skalpel krytyczny St. Przybyszewskiego i obeszł się z nim tak obiektywnie, że aż niemiłosiernie. Przyznając mu wielki dar słowa — dar, dzięki któremu wyrazy układają się w jego piśniach w kombinację ponad wszelką miarę sugestywnie i dźwięczne, całe studjum swe poświęca wykazaniu, że ukrywająca się pod tą melodyjną formą treść jest bezwzględnie anarchizmem duchowym, bezładnie precyzującym wszystkiemu, czem ludzkość trwa i doskonali się, a natomiast z manjuszajką konsekwencją holdującym zderzawoanemu zmysłowi pociowemu i... alkoholowi. Psychologia bowiem wszyst-

kich bohaterów Przybyszewskiego, a raczej jedyne bohatera wszystkich jego utworów, to — zdaniem autora — psychologia typowego alkoholika. Jednym słowem, jeśli chodzi o krótkie scharakteryzowanie dzieł autora „De profundis“, ma się w nich nieustannie do czynienia z „psychopatją piciową, alkoholizmem i przewrotnością, nie znającą sobie równiej, z jaką te moce podsyżają się pod filozoficzne reformatorstwo w sztuce i w życiu...“ Poddawszy drobiazgowemu rozbirowi całą dotychczasową twórczość Przybyszewskiego, autor w zakończeniu swego studjum przyznaje się, że ma „takie wrażenie, jakby opuszczał posadę posługacza w domu obłąkanych, gdzie nie było ani jednego okazu obłądu szlachetnego: sam obłąd haniebny... Książka ta, bynajmniej nie nacechowana stronnością, jest objawem gwałtownej reakcji przeciwko „nowej sztuce“ Przybyszewskiego i jego szkoły, objawem otrzeźwienia po nadmiernych i bezkrytycznych zachwytach. Reakcja ta przeciwko podobnej twórczości przyszła musiała, gdyż w społeczeństwie żywołem niema miejsca na destrukcyjne i „nagie“ tendencje „nadtworczności“ Przybyszewskich et consortes.

Dr. A. Sempołowski. „Nasze trawy łąkowe, ich opis, produkcja nasienia i układanie mieszanek“. Z 77 rycinami. Warszawa, 1902. Cena 1 rb. 50 k.

Tytuł dokładnie treść określa, nazwisko autora dostatecznie gwarantuje pożyteczność książki, liczne ryciny są bardzo dobrze wykonane. Książka jest pożądanym nabytkiem nie tylko dla gospodarzy wiejskich, ale i dla miłośników flory krajowej.

Grani Orazio. „Silvano etc.“ Milano 1901. Treves (257 str. 8-o). L. 3.

W literaturze włoskiej Grani zajął obecnie nader wybitne miejsce, jako doskonały obserwator duszy ludzkiej. Z niemierną delikatnością maluje on stopniowe przejście od wielkiej miłości do wielkiej nienawiści dla żony (Silvano), powolne staczenie się osamotnionej kobiety w przepaść upadku moralnego (Insidie), nieznaczące płatanie się dwojga marzących o platonicznej miłości kochanków w sieci zmysłowości. O nowelach tych słusznie rzekła krytyka włoska, że są one cenniejsze niż nowelami; są to istotne studja *dal zero*.

BIBLIOGRAFJA TYGODNIOWA.

ASKENAZY SZYMON. Wczesny historyczny — 2 kop. 40.

BIERNACKI E. dr. Pro domo mea. — Kartki z dziejów nauki polskiej — kop. 40.

BOHDANOWICZ dr. Biarritz dla chorujących i zdrowych — 1 rb.

BREGMAN L. dr. Leczenie pijaków i walka z alkoholizmem — kop. 30.

BUJAK FR. Dwa przyczynki do historii Uniwersytetu Jagiellońskiego — kop. 25.

CHANKOWSKI H. Mnożenie systematyczne, zwyczajne i skrótowe. Prakt. sposób wykonyw. wszelkiego rodzaju — kop. 25.

ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA S. Orzełbranda. Tom XII. Od „Polska“ do „Robano“. Z 371 rys., 11 mapami oraz tablicą kolorowaną „Pays“ — w oprawie rb. 4 kop. 60.

GRUSZECKI W. Tajemnice talmudyczne. Treść I. Ortodoksja i reforma. II. Talmud. III. Talmud uważający żydzi za księgi boskie — kop. 30.

HECK K. dr. Szymon Szymonowicz, jego żywot i dzieła. Część I — 1 rb. 1 kop. 50.

IZAMES. Elementarz polsko-hebrajski (Alef — Beth). Dla dzieci izraelskich, z ilustr., w kartonie kop. 40.

KOKOWSKI W. Teoria literatury polskiej — kop. 70.

KRZEMIENIECKA H. Pod cichą falą. Szkice i obrazy z 10 ilustr. K. Górskiego — 1 kop. 80.

PAMIĘTNIK KIELECKI. Zbiór prac ku uczczeniu A. Mickiewicza. 1798 — 1898. Z portretem wieszca i licznymi ilustracjami — 2 rb.

STRUVE H. Znaczenie filozofji w życiu umysłowym narodu — kop. 35.

ZAKRZEWSKI ST. Studja nad bullą z roku 1138 — 1 rb. 1.

Do nabycia w Księgarni Polskiej K. Grandyńskiego w Petersburgu (ul. Jekateryńska № 2).

CYTELŃIA

„Kraj“

Petersburg, 7 (20) czerwca 1902 roku.

№ 23

TREŚĆ:

MIECZ I ŁOKIEĆ. Powieść z wieku XVII, przez Wiktora Gomulickiego. (DC).

BAŃKA MYDLANA. Nowela wierszem, przez Aling Świdorską. (DC).

ROK 1809. Powieść historyczna, p. Wacława Gąsiorowskiego. (DC).

NA STRAŻNIOCY. Streszczenie „Kraju“. Przez Leona Bielskiego.

TO I OWO.

MIECZ I ŁOKIEĆ.

POWIEŚĆ Z WIEKU XVII.

PRZEZ

Wiktora Gomulickiego.

54)

Ironja, która zawsze do najpoważniejszych spraw ludzkich wciśnięć się musi, sprawiła, że właśnie w tym czasie rządy kraju zwrócili się przeciw mieszczanom. Szukając na oślep środków ratunku, w zupełnej nieznajomości stosunków ekonomicznych i społecznych, wypowiedzieli walkę najlepszym dzieciom, sługom i przyjacielom Rzeczypospolitej. Dla ich ucisku, wznowiono prawo przeciw zbytkom; ustanowiono stałą, rujnującą niską takse sprzedazną; obłożono handel, przemysł i rzemiosła nowymi podatkami.

Patriotyzm Gizów, Drewnów, Baryczków, Busserów, Fukierów nie ugiął się pod tym ciężarem. Mieszczanie byli ludzie twardzi, z nerwami mocnymi, nie powodujący się kaprysem ani wzruszeniami przelotnymi. Nad wszystkim górowała u nich miłość rodzinnego kraju.

I oto jednego dnia zjawilo się na Zamku kilku ludzi, skromnie, szaro odzianych. Jeden z nich, najroślejszy, niósł szkatule dębową, srebrem nabijaną. Szkatuła nie była nazbyt wielka, wszakże olbrzym z trudem ją dźwigał.

Przybysze, zwierzywszy sprawę swą marszałkowi, zostali niezwłocz-

nie przypuszczeni przed oblicze królewskie.

To Stara Warszawa delegatów swych przysyłała.

Na czele poselstwa szedł burmistrz, którym był wówczas Stanisław Baryczka. Za nim postępowali trzej Janowie (to imię było wówczas u mieszczan w wielkim użyciu): Giza, wójt Starej Warszawy, Czorn, jej szafarz i Piegłowski, pisarz radziecki. Szkatule niósł rajca i podskarbi, Jakób Szlichtyng.

Odzież posłów była tak skromna, że graniczyła niemal z ubóstwem. Wszyscy mieli delje z taniego, szarego sukna, oszyte futrem lisiem najlichszego gatunku. Według nowego prawa, burmistrz i wójt mogli byli ustroić się w jedwabie i futra kosztowne — nie korzystali przecie z przywileju ani w tej, ani w żadnej innej okazji.

Przemowa była krótka. Szło o rzeczy ważniejsze, niż krasomówstwo. Skłonili się nisko monarsze; potem burmistrz wyrzekł poprostu: — Słuchy nas doszły, najjaśniejszy panie, iż Rzeczpospolita nasza ma ciesz się wspomagać — otośmy przeto obol swój przynieśli. Od niej mamy wszystko — niechże i ona lada co od nas przyjmie. Prosimy patrzeć na serca nasze, nie na ubóstwo.

Tu wysunął się Szlichtyng, i szkatule, złotem wypełnioną, na stole postawił. Było w niej niemało.

Zygmunt uprzejmie powitał delegatów, ofiarę «wdzięcznym sercem» przyjął. I uprzejmość i wdzięczność były zimne, jak on cały. Ale oni ani po dziękczynienia przyszli, ani ich potrzebowali. Spełniwszy swoje, skłonili się panu swemu do kolan i opuścili zamek tak samo cicho a statecznie, jak do niego przybyli.

Wprost z pokojów królewskich udał się każdy do swego zajęcia, aby dalej pracować, oszczędzać, gromadzić. Tak czynią mrówki i pszczoły, a oni byli właśnie mrówkami i pszczołami Rzeczypospolitej.

W tym czasie przybył do Warszawy Krzys Dąbek. Nie zdążył

obola swego wrzucić do wspólnej szkatuły — postanowił zanieść go oddzielnie.

W stolicy czekały nań wieści niepomysłne.

Drewno, ciężko chory, odsunawszy się od wszelkich posług publicznych, dogasał z wolna, nie odrywając oczu od Hanusi, jakby chciał obraz jej na tamten świat zabrać ze sobą.

W Drewnowej plebejuszowska chciwość honorów zagłuszyła wszystkie inne namiętności i uczucia. Przewidywana śmierć męża trapiła ją najbardziej z tego powodu, że opóźni małżeństwo Hanusi i skoli-gacenie się Drewnów z Zboińskimi. Obawiała się też nie bezzasadnie nowych przeszkód ze strony brata mężowskiego, Łukasza. W jej przekonaniu, ten «łyk zakamienia-ty» nie był zdolny pojąć szczęścia, jakie daje związek z prawdziwą, herbową szlachką.

Reszka niewieściego wstydu wstrzymywała ją od nalegania na Zboińskiego, by syna sprowadził i z «dobiciem targu» spieszył. Jednak dała mu do zrozumienia, że powrót Konrada jest z wielu względów pożądanym. Stary ęwik z łatwością domyślił się reszty.

A Hanusia?

Hanusia nie dorozumiewała się nawet, o co im wszystkim chodzi. Starego posesora z Węgrzynowa bała się, jak turkawka jastrzębia. O jego synu sama nigdy nie mówiła; mówiących o nim zdawała się nie słyszeć. Za to kilkakrotnie zapytywała o Krzysia; widząc jednak, że jej niechętnie na pytania odpowiadała, dała im spokój.

Zresztą kościół, jałmużny i czytanie ksiąg nabożnych wypełniały jej duszę tak całkowicie, że już w niej na inne myśli i uczucia miejsca nie starczyło.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Krzys zaraz po przybyciu odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjął sama Melchiorowa — a przyjął ją taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Ścisnęło się serce biednego chłopca. Oстрым ówiekiem wbiła mu się w głowę myśl, że nie będąc nikomu na tym świecie potrzebny, jest tem samem—zbyteczny.

Przez chwilę był bliski rozpaczy. Ocalił go — sen. W śnie ukazała mu się Dorotka. Zalana łzami, skarżyła się z wyrzutem:

— Tak to przysięgi dopełniasz, dziecko moje miłujesz? Ażas obronił je przed nieprzyjaciół? z paszczęki wilczej wyrwał? z pazurów niedźwiedziach oswobodził?...
Krzyś obudził się przerażony.

W ciemnej izbie, u wezglowia łóżka, stanęła postać świetlana, podobna do obłoczka, blaskiem księżycowym napojonego. Krzyknął—postać znikła.

U Augustjanów dzwoniło na prymarję. Poszedł do kościoła, mszę zakupił—wysłuchał jej, krzyżem leżąc. Nie dało mu to zupełnego uspokojenia...

Wyszedł markotny. Przecznicą, która wprost kościoła Augustjańskiego łączyła ulicę Świętego Marcina (dziś Piwną) ze Świętojańską (tę przecznicę później zabudowano), skierował się ku kościolowi św. Jana.

Potrzebował skupienia wewnętrznego. Ono nigdzie mu tak łatwo nie przychodziło, jak w ciemnej kaplicy Baryczkowskiej.

Tam, gdy rozmyślał, wdychając i płacząc, przyszło mu natchnienie, żeby część fortuny dla ojczyzny milej poświęcił i pod Chocim, na chrzest krwawy poszedł.

Tegoż dnia, około południa, był w Zamku—nie u króla wszakże, lecz u królewica. Władysław zbierał właśnie zaciągi, z którymi miał wyruszyć przeciw Osmanowi. Dąbek

zwrócił się doń z prośbą, aby mu dozwolono na potrzebę Rzeczypospolitej dostawić stu jeźdźców, całkowicie uzbrojonych, z końmi i pacholikami.

To był jego obol.

Władysław, jedyny z Wazów, w którym krew Jagiellońska atawistycznie się odezwiała, przyjął ofiarę z wybuchem radości. Nie przystając na wyrażeniu «wdzięcznego serca», objął mieszczanka za szyję i jak równego sobie ucałował. Zaraz też Krzyś mianowany został rotmistrzem nowego oddziału.

Dzięki czerwiencom, nieskapo szafowanym, zaciąg poszedł szybko. Gdy wojewoda chelmiński obejmował główne dowództwo nad rajtarią, już w jego pułku jeźdźcy Krzysiovi stali pod bronią, wyróżniając się ochędóstwem i statecznością.

Wojsku królewica, zbliżającemu się ku Chocimowi, dwa rodzaje wrogów drogę zastąpiły. Pierwszym było tatarstwo, które przeprawiwszy się przez Dniestr, luźną, rozbewziewoną kupą, pospołu z opryszkami wszelkiej narodowości, płądrowało między Brahą a Kamieńcem; drugim... soczyste, podolskie arbuzy.

Od arbusów więcej padło ofiar, niż od strzał i szabel tatarskich. Piechota niemiecka, z głodomorów przeważnie złożona, rzuciła się na zdrajny owoc, jak muchy na lep. W obozie wybuchnęła epidemia krwawej djarji, a kto nie padł jej ofiarą, był przez czas długi osłabiony, do boju niezdatny. Po swojemu opowiedział to Wacław Potocki: «Każdego-byś z pluder wytrząś; bo gdy ogroda dopadł głodny bruder, żarł bez względu jarzyny niewarzone póty,

aż mu brzuch w twarde bęben, kiszki poszły w druty...»

W oddziale Krzysia nie przytrafił się ani jeden wypadek choroby, bo nie było tam ani głodu ani obzarstwa.

Za to pod samą Brahą tatarzy nadszarpnęli nieco—koletów łosiowych, które nosiła rajtarija. Krzyś, który po raz pierwszy znalazł się w ogniu, z chłopciami prawie niecierpliwością rwał się do walki. Pilno mu było odbyć chrzest wojenny—rad byłby szramie krwawej, choćby przez środek oblicza...

Nadzieje zawiodły. Skończyło się na tem, że jednemu jeźdźcowi tatar urwał połowę kaftana, drugiemu rozdarł rękaw, trzeciemu czapkę przedziurawił. Krzyś nawet i takiej nie poniósł szkody.

— Będą igły w robocie!—śmiał się wojewoda, lustrując wieczorem chorągiew Krzysiova.

Opatrzność czuwała nad «krawcami». Po przybyciu do obozu, otrzymywali prawie zawsze stanowisko na wałach, dokąd pociski nieprzyjacielskie nie sięgały. Zdrowi i cali mogli wyśpiewywać psalmy chórem, dotąd ani o jeden głos nie zubożonym.

Drażniło to Dąbka. Wyzywał niebezpieczeństwo, gotów był szukać go rozmyślnie. Odkąd mu u pasa dzwoniła szabla, przy boku błyszczały pistolety, odkąd go budziła i usypiała muzyka trąbek wojennych, odkąd nad głową słyszał furkot chorągwi z syreną i herbem na tarczy—inny stał się człowiekiem. Już to nie był wnuk Kawków—w żyłach mu grała krew ojca i wszystkich dziadów po mieczu.

DCN

BAŃKA MYDLANA.

NOVELA WIERSZEM

Przez

Alinę Świdorską.

2)

Nazajutrz Sławek już o wczesnym ranku stał wyświeżony i gotów na ganek. Było dopiero co po słońca wschodzie, świat w brylantowej lśnił cały pogodzie, a przez dziedziniec, po wjazdowej stronie, stajenni wiedli parskające konie. Pierwszy szedł zgrabny, mały konik Lenki, lśniący, jak gładka miedź, sprężysty, cienki, a że mu munsztuk cisnął pysk, jak kleszcze, wciąż przebiegały go nerwowe dreszcze pod miękką skórą; rzucał małą głową i swą źrenicą mokrą, granatową tęsknie spoglądał. Za nim klaczka siwa wygina szyję, której mleczna grzywa

bieleje w cieniu, jak śnieżysta kita; ta wciąż w lansadach idzie, rwie się, zgrzyta. Na końcu rosły koń, leb niosąc hardo, stąpa chodami szerokimi, twardo, a gdy się człowiek do niego przybliży, pryca i wściekle białe zęby szczyrzy. Odkiedy w życiu zapamiętał Sławek, zawsze dla niego najmiłsza z zabawek, to były konie; teraz jednym skokiem znalazł się przy nich i z błyszczącym okiem swą siwą klaczkę obejmował tkliwie, czule całował w nos, klepał po grzywie, a jednocześnie i do drugiej ręki wabił konika pieszczonego Lenki, tylko wierzchowic trzeci zaczął tupać, patrząc na Sławka, jakby go chciał schrupać. Tymczasem panny, gotowe do jazdy, wyszły na ganek. Oczy ich, jak gwiazdy błyszczały w cieniu dżokejskich czapeczek; Lenka, różowa cała, jak kwiateczek,

policzki Dory były, jak irysy białe i świeże; na jej drobne rysy inteligentne, a nieregularne od rzęs padały długie cienie czarne, a szare oczy, pełne melancholji, zdążyły skarżyć, że coś w sercu boli. Zdzisław panienki obie na koń wsadził, swą Rusticanę na bok odprowadził, a gdy ta nerwom już ulżyła, susem jednym i drugim, ruszył szybkim klusem dogonić panny pod stare kasztany, gdzie ziemia w rosie lśni, jak rozsypany pył brylantowy, który depeczą konie.

— Pani nie straszno jechać na Orjonie?—zapytał Dory—świeć pani siedzi na koniu. Ona, zamiast odpowiedzi, w kark poklepała siwka, co szedł chmurny i błyskał kłami z popod wargi górnej, i rwał za Lenką. Ta naprzód pomyka, rada ze swego ślicznego konika, który szedł z gracją panny na wydaniu.

— Fe, któż klusuje już przy wyruszaniu—Gderał ją kuzyn.—Lenka jest mą córka w nauce konnej jazdy, widzi pani. Wszyscy członkowie rodziny zebrani patrzyli, jak ją moja ręka wiodła, gdy po raz pierwszy dotknęła się siodła. Pamiętasz, Lenko, swe podrygi pierwsze? no, wyznaj, bałas się?—Słowo najszczęsne, że ani trochę.—Co prawda, bez granic wtedy lubiłaś mię, a dziś?—Nic a nie!
— Ej, Lenko!... powtórz, gdy na ciebie patrzę.
— Et, patrzysz, jak w amatorskim teatrze, tak dziwnie...

Dora wybuchnęła śmiechem, który się rozlał długim, dźwięcznym echem...

— «Po rannej rosie

Płyn dźwięczny głosie»...

zaśpiewał Sławek z całej piersi młodej, i wszyscy troje pomknęli w zawody prosto przed siebie po drodze szerokiej, na którą lały się słońca potoki, przez brzoź zieloność ukośnie przesiane, aż wylecieli na łąki splakane, bo się zdawały przeze lzy uśmiechać. Gotowi byli na kraj świata jechać poprzez to miękkie, chłodne, świeże błonie, które w porannych blaskach całe tonie; przestali prawie czuć pod sobą konie, jakby się w skrzydła zmieniły ich dłonie i pod bezkreśnym, turkusowym stropem, po nad równinę, skapaną potopem złota, brylantów, rwali wciąż galopem, aż śnieżną pianą pokryły się konie... Dora traciła oddech na Orjonie, który się gwałtem wyrwał z szeregu. Modrzewski spostrzegł to i zwolnił biegu: w krok prozaiczny galop się przemienia, i wszyscy spadli z obłoków marzenia. Czar prysnął... Zwolna skreśli do lasu,

co naksztalt ciemno-sinawego pasu w lamane nieco wygięty półkole, kładł rąbek cienia na słoneczne pole. Wjechali stępem w drogę między drzewa. Las z końca w koniec świergocze i śpiewa, cały w błękitne woale ubrany mgły, brylantami rosy przetykanej. Konie stąpały cicho po wilgotnej ziemi i nawet Rusticanie psotnej, zbrakło ochoty do figłów; szła stępa i tylko czasem świeżych liści kępa, stercząca z krzaku przydrożnej leszczyny, tak ją znęciła, mimo dyscypliny, że wychyliwszy smukłą śliczną głowę, w przechodzie liści odgryzła połowę i przy tym ruchu—na swą jasną grzywę strząsała rosy krople migotliwe. Lenka kochała się w leśnym półmroku. Pierwsze marzenie szesnastego roku, miłą tęsknotę i zadumę kładło w jej duszę jasną, czystą, jak zwierciadło, więc rozkoszując się zielonym chłodem, puściła ugły i jechała przodem. Za nią mistrzyni jej oraz kuzynek, drogą niewiele szerszą od ścieżynek, milcząc, jechali obok siebie zwolna. Wpół zamyślona Dora, wpół swawolna, chwilami zlekka trącała szpicrutą gałązkę rosy, kroplami osnutą.
— Pani perlami znaczy swoje ślady—rzekł Sławek, patrząc na jej profil blady, który pod jego spojrzeniem stopniowo luną okrywał się blado-różową, jak promyk świtu w zielonej omroczy. Wtem niespodzianie Dora wzniosła oczy i z mnóstwem drobnych światełek w spojrzeniu, spytała: — Zna pan rozdział o milczeniu w «Trésor des humbles» cudownym Maeterlinck'a? On mimowoli spojrział, gdzie kuzynka, i wciąż hamując kroki swojej klaczy, odparł po chwili: — Tak pani... a raczej właściwie dziś go dopiero poznałem.
— Maeterlinck jest mym *quasi* ideałem — dodała panna, wpadając w ton lekki, lecz szare oczy z pod ważkiej powieki w źrenice Sławka patrzyły bez końca...
...Na ziemi drżały jeszcze kółka słońca...
— Moznaby myśleć, żeśmy się dostali w świat czarów — rzekła — po tej świateł fali, co się ruchomo ściela nam pod nogi.
— Może spotkają nas tu leśne bogi?...
— Czy pan pamięta słowa Tetmajera, że Satyr zawsze gdzieś z kąta wyziera i zmąci nastrój każdej milej chwili?
— Tak, lecz Tetmajer i pani się myli, bo strasznie nudno byłoby w tem życiu, gdyby satyrek nie siedział w ukryciu i nie ożywiał nam ścieżki utartej, sypiąc chociażby i złośliwe żarty.
— Gdybyż to w porę! Ale on, niestety,

zjawiać się zwykły jak... musztarda na wety. Zdzisław z uśmiechem rzekł:—Gdy gospodarzy satyrek, bardzo z tem pani do twarzy — lecz spostrzegł, że się panna Dora krzywi. — Ach! — wykrzyknęła — pan mię niecierpliw! gdy wkolo taki urok niepojęty, mdle, salonowe prawie komplementy!... Myślałam, że się pan dostroi lepiej. On poczerwieniał. — Czasem się przyczepi głupia manjera jakaś do człowieka i potem próżno się od niej ucieka. — Ach! «meskinerja!» — szepnęła z niesmakiem — to utrapienie! Zgodzę się z wszelakiem cierpieniem, tylko niechaj mię nie kolą

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

Wacława Gąsiorowskiego.

20)

Poniatowski padł na szyję Dąbrowskiego.

— Z tobą, jenerale, na dobrą i złą dołą!

— *Saperlottel!*... Mości księżę... z tobą i za tobą!

Wzruszenie wstrząsnęło przytomnymi. Hauke ledwie od lez mógł się wstrzymać, a gdy tylko Poniatowski puścił Dąbrowskiego, przypadł do ramienia tego ostatniego:

— Jenerale! Patrz, beczel!... Bezczę, żem wazył się ciebie sądzić!...

— Mości panowie! Na miejsca!— zawołał donośnie Poniatowski, a spojrzawszy na stojącego na uboczu pana de Sonier, pośpieszył zagadnąć:

— Czy wasza ekscelencja ma co do nadmniwienia co do zapadłej tu uchwały?

Pan de Sonier, który był dopiero co skończył długą rozprawę z pułkownikiem Malletem, trzasnął swą tabakierką i rzekł nieco zdziwionym tonem:

— Ja? Ja? Nic!... Owszem!...

— A... odnośnie mających się przedsięwziąć zarządzeń! Czy nie byłby pan łaskaw objawić nam swoje zdanie?

— Ależ ja...—odezwał się pomieszczanym głosem pan de Sonier,—ja nic nie wiem, doprawdy... Ta wojna! Pan Maret nic a nic mi nie wspominał. Panowie sami... ja... ja... muszę wyjechać!... Ja dziś jeszcze jadę do Berlina... a ztamtąd do Paryża!... Ja tu nic nie mogę.

Poniatowski uśmiechnął się ironicznie:

— Wybacz, ekscelencjo! Sądziłem, że na wypadek wojny masz jakie

małostki, które jak szpileczki bolą.

— Albo miłostki — rzekł nawpół do siebie Zdzisław, i okiem pobłądził po niebie, co przegłądało promiennym błękitem ponad drzew ciemnych koronkowym szczytem.

— O, te — odparła Dora — raczej lechcą...

— Dokądże państwo teraz jechać zechcą?

bo tu nam droga w dwie strony się łamie! —

krzyknęła Lenka znienacka przez ramię.

...Tak się przerwała czarująca chwila...

Jadą, za nimi z gąszczu się wychyla

coś... lecz nie Satyr, ale złotowłosa,

przekorna główka małego Erosa!...

DCN

polecenia sekretne bądź ze dworu, bądź od marszałka Davoust'a.

— Tak! To jest właściwie... nie nie rozumiem. Ale, naturalnie, lada chwila kurjer nadjedzie... Pan Maret nieomieszka... minister Berthier!... książe d'Ayersteadt także... nie ulega wątpliwości... lecz ja muszę... zaraz! Panowie co innego, ja nie mogę!

— Lecz, ekscelencjo, nie odmawiaj nam swej obecności, choćby w tej chwili... Rada stanu zbierze się pewno także!

— Rozumiem! Tak, rada stanu... Ale to już najlepiej raport... wprost... a ja żałuję bardzo, lecz muszę w tej chwili jechać! Niespodzianka taka!... Czy jednak mogę być pewnym eskorty?

— Ach!... Bezwątpienia!... Szwadron ułanów odprowadzi pana do granicy.

— Szwadron... Jeden szwadron? czy będzie dostatecznym?

— Racz pamiętać, ekscelencjo, że mamy ich dwadzieścia cztery do obrony całego kraju.

Pan de Sonier zagryzł wargi, bąknął parę słów o tem, że mu jest niezmiernie przykro tak raptownie wyjeżdżać, że nieomieszka zawiadomić o tym zapale, z jakim Księżstwo będzie się bronilo, parę razy wymienił jeszcze nazwisko pana Mareta, ministra Berthier'a, marszałka Davoust'a i, uściśnawszy rękę księcia, skłonił się zebrany i wyszedł.

To oddalenie się nagłe pana de Sonier przykre sprawiło wrażenie. Oczywiście było rzeczą, że znaczyło ono albo pozostawienie Księżstwa własnym jego siłom i środkom, albo niemożność przyjscia mu z pomocą.

Członkowie rady, z uwagi na obecność Pelletiera, milczeniem pożegnali pana de Sonier, wstrzymując się od uwag. Pelletier atoli zrozumiał intencję milczenia, a sam zbyt gorący, zbyt szczerzy żołnierz, aby mu wy-

rafinowana dyplomacja gubernatora miłą być mogła — wstał z miejsca i odezwał się krótko do księcia Poniatowskiego:

— Teraz możemy przystąpić do obrad, bo nikt nam przeszkadzać nie będzie.

Poniatowski zabrał głos—obradę się zaczęły. Rozkazy jeden za drugim zapadały. Powtarzane przez adjutantów, dosięgały utworzonej na prędce kancelarji i ztamtąd, opatrzone w podpisy i pieczęcie, dochodziły stojących w pogotowiu ordynansów...

Z podwórca zamkowego raz po raz wyrwał się ulan służbowy, spinał konia ostrogami, pochylał się na kulbace i rwał pełnym galopem, rwał do miast i miasteczek, odległych osad i wsi, a wraz z nim pędziła groźna wieść—«wojna!»

Rada stanu, zaalarmowana raportem księcia, zebrała się jeszcze tej samej nocy, przedsiębiorac cały szereg zarządzeń, a układając pełną zapalę odezwę do ludu.

Gdy się to działo, pan Tadeusz siedział z adjutantem Skrzyneckim, wyczekując na widzenie się z księciem, które mu ten ostatni był zapowiedział. Adjutant starał się rozzerwać Zabielskiego, silił się na grzeczności, a wspólczył niby to głęboko jego doli, lecz pan Tadeusz ozięble przyjmował wynurzenia Skrzyneckiego i zbywał go lakonicznymi uwagami. Adjutant czuł się dotkniętym tem zachowaniem.

— Waćpan, widzę, żywisz do mnie urazę!... Niesłusznie!... Czasy takie, że czasem dobrego od zła nie odróżnisz!...

— Mylisz się, mości poruczniku!— odrzekł sucho pan Tadeusz. — Jeno mi nie do rozmowy w tej chwili!... A nawet nie rozumiem tego zaszczytu, który mi jego książećca mość chce okazać!... Noc późna!... A ja do księcia pana nie mam nic!...

— Uzbrój się waszmość w cier-

pliwość!... Słyszałeś sam, książe zyczył sobie widzieć się z tobą!...

— Cenię wielce ten honor, ale mi teraz nie do niego!—oburknął się pan Tadeusz, w którym rogata dusza szlachecka brać zaczęła przewagę.—Nasłuchałem się już dosyć na tej radzie!...

— Otóż właśnie!... Słyszałeś, książe ubolewał nad tem, co się stało!...

— Zbyteczna fatyga!...

— A przytem, kto wie, co zamyśla dla waszmości!...

— Nie ciekawym wiedzieć! Od nikogo nic nie potrzebuję, a krzywdy wyrządzonej nikt mi tu nie powróci!...

— Mości Zabielski — zauważył urażony tem lekceważeniem Skrzynecki—nie poddawaj się alternacji! Pamiętaj, że inni miesiącami zabiegają o to, przed czem ty zdajesz się bronić! Toć książe!... Jako ci dobrze życzę, panie Tadeuszu, jako sam winnym się czuję, żem przeczuciu dobremu nie dał wiary, a za tobą się nie ujął — tak przed waćpanem przyszłość stoi otworem: słowo rzeknij, a książe uczyni dla ciebie wszystko, co zechcesz. To jedno, że posadzeniem wyrządził ci krzywdę, zniewolił go do wszystkiego. Nie opuszczaj sposobności, okazuj taka druga się nie trafi!... Pamiętaj!

Zabielski zęby zaciął.

— Powtarzam waszmości, mnie nie po tem!—odrzekł hardo.—Mnie tu żadne promocje nie nęca! Niczego nie potrzebuje, niczego zawdzięczać nie chcę. A zresztą, tego wystawiania w antykamerze mam dosyć. Z supliką nie przybyłem. Odchodzę!

Skrzynecki nie wiedział, co począć.

— Nie róbże mi tego waszmość, proszę cię, jak o łaskę, zaklinam!... Zaufaj mojej przyjaźni!

— Bóg zapłać! Wiem, jak daleko pójdzie... dośły tu jednego prechery, aby na mnie palcem wskazał, byś mnie asan za sprzedawczyka miał. Racz więc, mości adjutantcie, powiedziec jego książećcej mości, że pokornie dziękuję za jego łaskawość, ale mi w tej chwili pilniej do spoczynku było, niż do zaszczytów.

Adjutant zastąpił drogę Zabielskiemu.

— Choćbyś mnie zarabiał, nie puszcze!

— Ustap waszmość!

— Nie, za nie!... Nie dam ci tak odejść!

— Więc chcesz mnie siłą zatrzymać?!

— Choćby!

Pan Tadeusz zbladł i mierzył lekceważącym spojrzeniem Skrzyneckiego. Lada chwila miały paść ostre słowa. Gdy wtem niespodziewanie

do pokoju wbiegł Szczaniecki, a postrzegłszy wzburzenie pana Tadeusza, zagadnął pośpiesznie:

— Co tu się stało? Czego się boćzysz? Mości Skrzynecki!

Adjutant księcia Józefa wyjaśnił mu przyczynę sporu. Szczaniecki zmarszczył się.

— Tam do licha—niech mnie kule biją, jeżeli Zabielski nie ma racji... A jemu co? Na służbę przyszedł, co? Chce iść i koniec.

— Ależ zważ, mości Szczaniecki, książe sobie zyczył!

— No, a jemu się wyczekiwanie naprzykrzyło. Chodź, idziemy razem! Jenerał rusza w tej chwili na noc z Warszawy.

— Mości Szczaniecki, nie róbże mi tego. Na mnie spadnie odpowiedzialność!

— Więc tam do licha, miast tu się targować, idź wasze do księcia i powiedz mu, że Zabielski odchodzi. Dosyć się tu nasłuchał, czas mu, tam do licha, spocząć odrobine. A może jeszcze wam mało dowodów? To... tam do licha, do jenerała idę!

Skrzynecki zafrasował się, a po krótkim wahaniu, poszedł do sali obrad. Uplynęła długa chwila. Zabielski znów wpadł w gorączkowe zniecierpliwienie.

— Idźmy ztąd! Co mnie do niego! Ja znać ich nie chcę!... Już sobą nie władnę. Prowadź mnie ztąd! Niech się raz to skończy!

Szczaniecki ujął łagodnie pana Tadeusza za rękę.

— Spokoju, zimnej krwi więcej. Chce z tobą mówić, cóż? przecież w gruncie on sam poszedł tylko za innymi; jeżeli kto tu zawinił, to ten przechera Rudzki—ten już siedzi w prochowni! Wyprawili go już tam. Będzie mu ciepło, już go nie rozgrzeją! Tymczasem zczekajmy na powrót Skrzyneckiego. Ciebie do niczego to nie obowiązuje. Odpowiedz mu tak, jak będziesz chciał... Za złe księciu brać nie możesz, że chciałby może przyjść ci z pomocą. Tam grunt zawsze dobry był, serce wielkie, a żeby nie ci dowódcy, żeby nie te kompanje doradców, zauszników a hulaków, może nie byłoby nad niego wodza, może byłby oddawna kimś więcej, niż ministrem króla saskiego.

— Nie neguję—ale mnie nie do tego!... Do łaski się nie napraszam!

— Tam, do licha! A cóż, rejterować chcesz?... Tfy!... A tobie co? Powiedz mu właśnie, niech wie, że onej rozmowy za zaszczyt sobie nie masz!... Ot i jest rada! Okoniem stawaj, ale, tam do licha, prostakiem nie jesteś, obligował cię, więc mu strzymaj!...

DCN

STRESZCZENIE.

ANATOL KRZYŻANOWSKI.

NA STRAŻNICZY.

POWIEŚĆ NA TLE WSPÓŁCZESNEM.

Powieść niniejsza stała się powodem drobnej polemiki w prasie warszawskiej. Jeden z krytyków surowy wydał wyrok na nią... Autor pośpieszył z obroną dzieła swojego ducha, zasłaniając je przeciw ciosom puklerzem z cytad, mających wykazac, że krytyk przeoczył myśl zasadniczą utworu i dlatego odsądził go od wartości. Dowodem obrażonej ambicji autorskiej trudno byłoby zausać, bo nie urywki zdań, ale całość wienna zamierzone czynić wrażenie. Ale właśnie przeczytanie całości przyprowadziło nas do wniosku, że wspomniany sąd krytyczny był zbyt bezwzględny. Zdaniem naszym, nie bacząc na mnogie wady tej powieści, wybyskuje z kart jej niejednokrotnie talent sympatyczny, zasługujący na życliwe słówko poparcia. Zresztą — odzucmy sądy. Poniższe streszczenie łacniej pozwoli czytelnikowi wyrobić sobie opinię samodzielną o powieści «Na strażniczy». Może nawet, zmniejszając gadatliwość autora (czy autorki), uwyplukił ona dobre strony utworu. Może niejednego zachęci do odczytania całości, w celu sprawdzenia, czy niniejsze streszczenie nie przyniosło krzywdy utworowi.

Uwaga streszczającego.

W Koniecpolskim majątku, wśród ciemnych świerków i srebrzystych brzoź, stoi piękna gotycka kaplica. Na niej w kamieniu wykuty czarny napis głosi: «Grób rodziny Dowburtów-Konieckich». Głęboka cisza panuje w miejscu, gdzie panowie na Koniecpolu, po trudach życiowych na polu służby publicznej lub w bojach, zasłużonego zażywają spokoju. Ostatni, który przed laty tu się położył, ciężkie w życiu wytracił strapienia. Dziejowe fatum wytraciło mu na pewien czas z rąk majątek rodowy. Lecz pułkownik Andrzej Dowburt, człowiek energii niespożytej, pracą, wyrzeczeniem się wygód, oszczędnością, umiał zdobyć napowrót część fortuny rodzinnej; z rąk handlarskich odkupił Koniecpol, który uważał za depozyt święty, od pradziadów do oddalonych potomków z pokolenia w pokolenie przechodzący. I gniazdo praoców oddał wychowankowi swemu i bratankowi, Zygmuntovi, jedynemu z pozostających na ziemi Dowburtów-Konieckich. Starzec gmach odbudował i położył twardym mozołem podwalinę nowej przyszłości i zamykając powieki marzył, że odzyskanemu gmachowi spadkobierca jego dawną przywróci świetność i dokona moralnej części dzieła, pojąwszy postannictwo przodków i wśród nowych warunków wywalczając zasługą publiczną dawne wpływowe imię rodowi Dowburtów-Konieckich.

Omyliły starca marzenia przedśmiertne... Zygmunta nie posiadał spiżowego charakteru przodków. Dziecię epoki przejściowej, czasu, wytwarzającego dusze słabe, miękkie, złamane, nie nadawał się do powierzzonej mu roli stania na strażnicy. Posiadał dużo zapalności, ale takiej, co jak ogień słoniawy, strzeliwszy płomieniem, prędko zagasa. Za młodu myślą gonil za ogólnoludzkimi ideałami, lecz zniechęcony pierwszemi zawodami, ostygł wkrótce. Ból serca, którego doznał, straciwszy umiłowana narzeczoną, zatruł go i poszarpał mu nerwy. Po dwóch latach, gdy paroksyzm cierpienia minął, zdawało się, że Zygmunta odzyskał moc duszy choć w części. Z namowy stryja, który wówczas żył jeszcze i przemyślał z troską, jak bratan-

ka na tory moralne sprowadzić, ożenił się z panną Anią Sławińską. Lepszego wyboru niepodobna było uczynić. Urodziwa, silna charakterem, doskonale wychowana przez ojca, człowieka nowych zasad, Anna przypominała ten typ polski, o którym kiedyś pewien francuski pisarz powiedział: «*Ange par l'amour, enfant par la foi, femme par le coeur et poète par les rêves*». Schodzącemu do grobu pułkownikowi zdawało się, że Zygmunt przy boku żony ożył. Kochała go głęboko tą miłością, która kończy się dla pewnych serc kobiecych tylko wraz z życiem. Zdawało się, że i on ją kocha. Pociągnęła go tkliwością swoją więcej przecie, niż jej młodsza siostra, Miła, swoją dziecienną zalotnością i kokieteryją, choć ta ostatnia czarowną pięknoscią większe budziła w nim zachwyty. Lecz uczuciom Miły wagi nie nadawał, spojrzenie przelotne zatrzymał tylko na tej twarzy z podziwem estetyka i pozwolił, aby panna, urażona jego chłodem, wyjechała na studia artystyczne do Paryża. Zaikła z horyzontu rodzinnej wioski Annapola, odprowadzona błogosławieństwem ojca, który nie chciał kłaść tamy prywom córki ku sztuce, rad, że pragnie ona wyrobić sobie stanowisko samodzielne, miał wyczekiwać próżniaczko na męża, który może się jej nie trafić— lub trafić nie według jej gustów i potrzeb serca. Zygmunt zwrócił się ku Ani...

Ale oto po pierwszych latach szczęśliwych, jęła go przegrzyzać apatja. Kochająca żona, dwoje rozkosznych dzieci, całe to szczęście spokojne—wydało mu się czemś nikłym, bez wartości. Było mu tego za mało... A więcej—słaby i gnuśny, chwiejny i ogołocony z wyższych pragnień, z ambicji społecznych, stworzył sobie nie umiał. Całe posłannictwo Dowburtów-Konieckich, zlecenie mu wideowej spuścizny przez stryja, wydało mu się fikcją, dla której pracować nie warto. Utrzymać Koniecpol w ręku, nie dostawczy w spadku kapitału obrotowego, wobec potrzeb gospodarstwa i wiarytelności, leżących na majątku—było to dla niego zadanie nie do rozwiązania, zwłaszcza, że nie potrafił wziąć się energicznie do wyeksploatowania bogactw naturalnych odziedziczonej posiadłości. Burzył się też w myśli przeciwko spadkodawcy, który testamentem zawarował, że Koniecpol nie podlega sprzedaży. To stare gniazdo rodzinne nudziło Zygmunta. Odwieczny pałac przodków był dlań pobielanym grobem. Z gorzkim uśmiechem patrzył na bluszcze, zasłaniające szczyby w ścianach, których nie miał za co poprawić. Dla Anny Koniecpol był kolebką najświętszych tradycji, dla niego—ich grobem.

A jednak przyszła chwila, gdy w zgłiszczach tej duszy rozlitła się jakaś iskierka z dawnych czasów—i całą ją objęła płomieniem. Tylko, niestety, nie była to chwila zbawcza. I płomień, który wybuchnął, nie był ożywcem światłem, dobroczynnym ciepłem. Był to pożar niszczący, wstrętny, który spopielił do cna jego duszę—i strawił szczęście innych...

Po latach studjów, poprzedzona rozgłosem wielkiej sławy, wieścią o dzie-

łach pendzla, które świat artystyczny Paryża wprawiły w zdumienie, przybyła do Koniecpola siostra Ani, panna Miła. Dziwna emancypantka, z rodzaju tych, które umiały praktycznie rozwiązać zadanie feminizmu! Dowiodła, że można pracować, konkurując z mężczyzną, posiadać samodzielność zupełną, dobijając się uznania w ogromnym ognisku miejskim, nie mając żadnej opieki, a nie zatracić wiecznego pierwiastku kobiecości, zachować duszę enotliwą, czystą, niewinną, na którą ani jedna plamka z otaczającego błota nie bryzgnęła—bo Miła prosto owego błota nie widziała, zajęta w tym «nowożytnym Babilonie—Paryżu» ciągłą pracą, ciągłymi studjami w celu osiągnięcia najwyższego stopnia doskonałości w gorąco umiłowanej sztuce. Pozostała kobietą w pełnym znaczeniu tego słowa—nie, w pełniejszym, jako człowiek; przywoziła ukształconą, wzbogaconą duszę, która podnosiła czar, bijący od jej postaci.

Pod dotknięciem artystycznych jej rąk komnaty Koniecpolskiego pałacu, ozdobione przywiezionymi przez nią dziełami sztuki, nowego, nieznanego nabierają życia. Uśmiech tej bogini piękna, duchowy polot artystki, tchnienie myśli kobiety, dojrzałej w wielkiem ognisku oświaty, wrodzona miłość i dowcip duszy żywej, niemal dziecięcej, opromieniają wszystko i wszystkich. Promienie starej wdowicy, p. Sławiński, raduje się przybyciem siostry szlachetna Ania, dzieci lgną do nieznanym ciotki, uderza żywej serce dawnego szkolnego przyjaciela Zygmunta, obywatela z sąsiedztwa, codziennego niemal gościa w Koniecpolu, Adama Orzelskiego; nawet matka Adama, pani marszałkowa, powoli tając poczyna pod urokiem panny, która serce syna wzruszyła, choć starej matronie, wychowanej w średniowiecznych przesądach, początkowo wydaje się, iż praca malarska «dekларуje» szlachciankę, iż, Bóg wie, jakie życie prowadzić musiała w «ognisku zepsucia» dziewczyna, pozbawiona wszelkiej opieki, w towarzystwie artystycznej cyganerii!

Ożywia się nagle, dziwnie, potężnie i Zygmunt. Stare wspomnienie o oczach, które ongi zalotnie zwróciły się na niego, budzi się na dnie jego duszy. A to są te same oczy, tylko, zda się, piękniejsze. Przypomina sobie, jak kiedyś z zachwytem długo, długo, patrzył na tę twarz na jakimś balu. A to ta sama twarz, nie! bodaj piękniejsza: To jakaś nowa bogini—Venus! Wtedy serce w zachwyte nie brało udziału. Teraz... zabiło w nim, jak młotem—boleśnie—namiętnie...

W chwili, kiedy Ania, której serce szlachetne nie zna zazdrości, nie rozumie zdrady i nie wierzy w nią, szczęśliwa jest, że mąż odradza się pod wpływem rozmów z jej siostrą-artystką, pod wrażeniem jej obrazów, które upiękшыły ściany Koniecpola—owo «odrodzenie» okazuje się nie zapowiedzią lepszej przyszłości, zacieraniem nowych sił żywotnych, lecz groźną i jadowitą gangreną nędznej i chorej duszy.

Namiętność Zygmunta wkrótce zerwie w nim wszystkie tamy moralne. Szal miłości oslepi go, odejmie mu zdrowy sąd, poczucie sprawiedliwości, pamięć

na obowiązki względem żony i dzieci, elementarne poczucie taktu wobec panny, która go nie kocha, bo o chwilowem uczuciu z lat dziecińczych dawno zapomniała—uczyni go niepożyczalnym. Chorobliwa namiętność rozwija się szybko krokami.

Gdy wracają z gościny u Orzelskich, w powozie Ania daje mu do powachania piękne żółte róże Maréchal Niel, biorąc je z rąk siostry. On gwałtownie chwytając gałązkę i wyrzuca na drogę, nie kępując się obecnością Miły i Ani, szeroko rozwierających oczy ze zdziwienia. Lecz te kwiaty przecie pochodzą od przypuszczalnego rywala, Adama Orzelskiego. To jedno tylko Zygmunt wie i pamięta.

Innym razem gwałtem ledwie wstrzymuje się i cofa, wzywany do pocałowania córeczki swojej. Szczęsnej, znajdującej się na ręku Miły. Bo gdyby doszedł pocałować dziecko, wie, że musiałby objąć Miłę i «ukarać» te wargi karminowe a złośliwe i okrutne, złożeniem na nich gorącego pocałunku». Okrutne, bo każą mu się «nie kępować» i ucałować dziecko na rękach, przy jej twarzy... Czy to podobna?—jej nie dotykając?!

Raz w drzwiach otwartych salonu stanęła Ania i dostrzegła go przed portretem siostry, kryjącego twarz w dłonie i lękającego glucho.

„Spojrzenie jej objęło postać męża i portret siostry, poczem przerażona myślą własną, cofnęła się, nękając, jak cień“.

Przeczuła coś... Nie! nie wierzy swoim przeczuciom. To mąż tak trapią zapewne kłopoty finansowe. Przecie zamierza on sprzedać kupcowi, panu Lenbergowi, Dowburtówkę, drugą ich posiadłość ziemską, której sprzedaż testament nie wzbraniał, może dlatego, że stryj pewny był, iż tego majątku bronią święte wspomnienia. Tu upłynęły pierwsze, szczęśliwe lata ich małżeństwa, tu urodziły się dzieci. Pani Anna nie wierzy w możliwość sprzedaży tego majątku. Mniema, że i Zygmuntovi gorzko się z nim rozstać. Zygmunt kocha Miłę?... Nie! być nie może! Czyżby mógł tak ostro mówić o niej, tak oburzać się, że kompromituje Koniecpol samotnymi przejażdżkami z p. Adamem, tak wzgardliwie wyraził się o «swobodzie artystek». I Ania boleje nad kłopotami męża, oraz nad jego niesprawiedliwością względem siostry.

Adam Orzelski zdziwiony jest wiadomością, że jakiś kupiec, «błazen kosmopolityczny», przyjechał zabrać w swoje handlarzkie ręce Dowburtówkę. Nie pojmuje, że Zygmunt mógł ukrywać przed nim, tyloletnim przyjacielem, swoje finansowe kłopoty, że w potrzebie nie zwrócił się do niego o pożyczkę. Sam mu ją zaofiaruje:

— Mam prawo niedopuszczyć—powiada—do takiego szaleństwa, jak sprzedaż Dowburtówki, bo spełnienie go byłoby czynem nieobywatelskim i krzywdą rodziny twej zarazem“.

Zygmunt chmurny odmawia. Od Adama nie chce przyjąć.

— Jeżeli ci tytuł przyjaźni nie wystarczy—przekonywa ten—może dopomożesz mi do pozyskania innego... — Nie rozumiem.

„Ciemne oczy Orzelskiego błysnęły nieukrywanym wzruszeniem“.

— Spozstrzegłeś zapewne, jak silne wrażenie wywiera na mnie panna Sławińska“...

Teraz Adam odkryje serce swoje Zygmuntovi. Oto broni się jeszcze uczuciu, lecz «życia bez Miły zaczyna już nie rozumieć». Niepewny jest jednak jej uczuć. Prosi Konieckiego o pośrednictwo. Jeżeli będzie ono miało rezultat pomyślny—przyjaciele zostaną szwagrami. Czy wobec tego Zygmunt ma prawo wzdragać się z przyjęciem od niego materialnej pomocy? Tak rozumuje Adam.

Jakgdyby furja rozpętała się w duszy Zygmunta. Na jego usta wybiegł «śmieszny suchy»:

— Ha, ha, ha! Wspaniała propozycja!... Szkoda, że nam obu zaszczytu nie czyni!

— Zygmuncie!—woła zdziwiony i oburzony zarazem Orzelski.

— Nie podjąłbym się takiego pośrednictwa, nawet—dodaje Zygmunt ironicznie—dla ocalenia kawałka ziemi“.

I wychodzi, a Adam pozostaje przykuty do miejsca, jakgdyby piorunem rażony.

„Niósł tu przed chwilą ofiarność przyjaciela, majątek, duszę całą; a wzamian odepchnięto go i zdeptano“.

Tak rwie ślepiec, chorą tknięty namiętnością, węzły dziesięcioletniej przyjaźni, zagradzając Adamowi wstęp do domu, w którym ten dotąd czuł się, jak u siebie.

I okłamuje siebie, że ma słusność. «Nikczemny przyjaciel chciał go przekupić»—wnawia w siebie—chciał, aby on, Zygmunt, torował drogę do serca Miły. Ofiarował mu za to «kubana»!

I wbrew logice powtarza, szarpiąc się w samotności swojego pokoju:

„Nadużył mego zaufania, wkradł się do mego domu, by mi ją zabrać podstępnie“.

«Nie pozwolę!»—ryczy w nim szalona, bezrozumna namiętność, a tłumiony, zdrowy rozsądek ironicznie zapytuje go: «jakie on ma prawo nie pozwolić?» Głos rozsądku Zygmunt już nie chce słuchać.

Chwilami zresztą przytomnieje. Powraca mu samokrytycyzm. Lecz wtedy czuje się podwójnie nieszczęśliwym, bo jaśniej widzi własną bezradność wobec namiętności. Wie, że nic nie zmieni w swoim położeniu.

U krat kaplicy, przy grobie przodków swoich, woła rozpacznie:

„Po co zbudziłeś mię, o Boże?! Dlaczego nie dałeś mi spać duchem, zanim spocznę obok nich wszystkich w śnie mogiłym na zawsze!“

Błady wzruszeniem, z chmurną na czole zmarszczką, Adam żegna Anię i Miłę. W Koniecpolu noga jego więcej nie postanie. Jakiż? Anię uważał za «jasny promyk przyjaźni», Miłę zdawał się okazywać gorętsze uczucia, które i w sercu panny drzenie miłości budziły poczynały. I odjeżdża!... Zygmunt drzwi swego domu zamknął przed przyjacielem lat młodych! Dlaczego? Co zaszło między nimi?...

Obie siostry zwróciły przerażone oczy na siebie—i każda w spojrzeniu drugiej odkryła sens straszliwej zagadki. Żaden cień niechęci nie przesunął się pomiędzy nimi. Tylko obie poczuły fatalizm nieszczęścia. Miła musi wyjechać. Pod nieobecność Zygmunta pakuje kufty swoje i wyjeżdża do ojca, który w sąsiedztwie mieszka, w rodzinnej wsi Annapolu.

Jakiś wstyd zatargał duszą Zygmunta. Miła uciekla przed nim, przed szwagrem. Co za upokorzenie! Pojedzie do Annapola, na twarz włoży maskę chłodnej pogody. Niechaj ta emancypantka nie myśli, że w nim zbudziła jakieś uczucie. Ośmieszy ją swoją swobodą. Lecz kiedy stanął przed nią, gdy zobaczył tę twarz ciepłą, czarującą, mówiącą mu, że przy niej, przy tej kobiecie, jeszcze mógłby ożyć—prysły wszystkie zamiary. Zatracił nawet najprostsze poczucie przyzwoitości. On, mąż i ojciec, siostrze swojej żony, pod dachem swojego teścia, rzuca namiętne wyznanie miłości; powołuje się na to, że pierwszą miłością jego kochała.

«Milo!—woła, chwytając ją za rękę—wszak ja niczego nie żądam, niczego! Chcę tylko, byś wiedziała, jak bardzo cię kocham, byś pamiętała, iż nie zniosę, aby ktokolwiek stanął między nami».

I w odpowiedzi otrzymuje policzek moralny, na który stokroć zasłużył.

— «Biedni Dowburtowie-Koniecy!—z pogardą powiada Miła.—Prochy ich w grobie poruszyłyby się, gdyby wiedzieli, jak zwyrodniały potomek tych patryjuszów ducha i czynu każe drogę płaciz siostrze swej żony za użyczoną jej chwilowo gościnę!»

Zgnieciony tym ciosem, Zygmunt wyjeżdża. Nie wróci tu nigdy.

Powrócił... Pijak powraca do butelki, z której ssie krople trucizny. Cma wraca w szalonych kregach do światła, w którym skrzydła opala... Zygmunt jedzie nazajutrz do Annapola. Wszakże jedzie tylko naprawić błąd. Musi przeprosić, przebrać. Zyska przebaczenie, a potem własne serce zamęczy. Raz ostatni tylko chce ją zobaczyć, zakończy przyzwyczajenie tę głupią historię.

Ale dość mu było próg domu annopolskiego przestąpić, w salonie zamiast Miły zastać rywala, Adama Orzelskiego, aby szal powrócił, odebrał mu przytomność, moc panowania nad sobą. Zdumionemu Adamowi, który zbliża się doń przyjaźnie, aby nieporozumienia wyjaśnić i zgodę dawną przywrócić, ogłasza wprost, gdy ten powołuje się na czystość i szczerść swoich zamiarów względem Miły:

„Zakazuję ci mówić o swoich uczuciach, bo... bo ja jej sobie nie dam wydrzeć! Bo ja ją kocham!“

Czy to cynizm, czy szaleństwo? Adam żąda od Zygmunta, aby cofnął swoje ohydne słowa, ale Zygmunta porywa wicher namiętności.

«Czy mam wyraźniej żądać od pana opuszczenia tych progów?—pyta, mieszając pojęcia wszelkich praw i obowiązków, stawiając na ich miejsce tylko dzikie prawo swojej krwi, swojej żądy».

Stając w progu, Miła słyszy te słowa. Stało się! Dotąd jeszcze badała swoje serce wobec zdradzających się oznak miłości Adama. Teraz wie, jak ma postąpić. Krokiem śmiałym i stanowczym uratuje sytuację.

— «Panie Koniecki—powiada, patrząc na niego, a obie ręce wyciągając do Adama—wdzięczną panu jestem za troskliwość braterską, z jaką strzeżesz mych progów; ale pan Adam Orzelski ma wszelkie prawo wstępu do nich, jest bowiem moim narzeczonym“.

Pod Zygmuntem jak gdyby ziemia naraz się rozstępowała. Leci w przepaść. Rozumie, że to on sam sprowadził rozwiąza-

nie, że jego szal sprawił, iż Miła pierwsza oświadczyła się młodemu człowiekowi.

Czy ustąpi?... Nie!... Rozwiczrzoną rumak w szalonym pędzie nie utrzyma kopyt. Przepaść przed nim. Przeskoczy ją lub zginie w niej—ale w ruchu inertnym wstrzymać się nie zdoła. Tak i namiętność Zygmunta nie powściągnie wędzidel. Orzelski stanął mu na drodze. Zabije go w pojedynku—lub sam zginie. Poszuka sposobu wyzwania Adama tak, aby odwrócić uwagę trzecich osób od istotnych powodów swojej nienawiści dla dawniejszego przyjaciela. Potrzebny wypadek nadarzy się w Warszawie, dokąd obaj rywale wybierają się na doroczne wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Zygmunt jedzie do Warszawy. Jakże rada jest Ania! Więc się przebudził? Więc przypomniał sobie o obowiązkach obywatelskich? Może będzie starał się o mandat do Towarzystwa; pewnie w pracy chce się zapomnieć... Nie! ludziła się tylko. W przeddzień wyjazdu jej mąż denerwuje się, słysząc, jak żona wpała w jego syna obowiązki miłości dla ziemi i dla przodków, którzy «kochali, cierpieli, ziemi swojej służyli». Ba! on gotów jest wobec potrzeb pieniężnych i trudności sprzedaży Dowburtówki odstąpić Koniecpol finansistom Lenbergowi, który przyrzeka mu własnym kosztem obalić kępującą artykuł testamentu stryja. Ideały żony Zygmunt uważa za chimery. Jeżeli kupiec daje dobrą cenę, to niema co się wahać. Trzeba sprzedać Koniecpol, uciekać z tej dziury! Poróżniony z żoną, którą te poglądy męża bolały, Zygmunt wyjeżdża do Warszawy. Szlachetna kobieta wini siebie, że nie potrafiła w męża zbudzić i podtrzymać szerszych aspiracji, wyższych celów i pragnień, że chciała mu życie wypełnić tylko sobą, co było niemożliwym. W tem widzi swoją winę, ztąd pochodzi jej krzyż.

W przeddzień wyborów do Towarzystwa, panowie przyjeźdni ziemianie zebraли się w restauracji dla obrad przedwstępnych. Podczas wieczery jeden z tych dobrodusznych głupców, którzy powołani są do popelniania wiecznych niezręczności, porwany swadą oratorską, wznosi kielich za zdrowie dwóch wieloletnich przyjaciół, Kastora i Polluksa rodzimej okolicy, *vulgo* pp. Zygmunta Konieckiego i Adama Orzelskiego. Adam podnosi kielich ręką, na której błyszczą brylant zaręczynowego pierścienka, gotów jest przeciw zdrowiu do Zygmunta. Ale Zygmuntovi błysnął nienawistny pierścień przed okiem. To pierścień Miły! Równowaga przepadła. Wypadek oczekiwany nadarzył się. Zygmunt nie zleknie się publicznego skandalu. Cofa swą kielich i głośno wobec zebranych rzuca straszne słowa w twarz Adamowi: «Odmawiam... nie zwykłem pić na cześć człowieka, który za przyjaźń najszczerzą płaci podstępem i pieniężnym kubanem».

Pojedynek jest nienukniony.

Czy Zygmunt nie czuje, że popelnia podłość, narażając życie przyjaciela i własne w bratobójczym boju? Unieszczeń-

śliwi żonę, dzieci, Miłę. Zgangrenowana moralnie niszcząca namiętnością, on żadnych dowodów rozsądku nie słucha. Adam uczyni wszystko, na co mu honor pozwala, aby to fatalne spotkanie odwrócić, nie dlatego, aby o własne życie dbał, lecz że mu chodzi o Anię, o Miłę. Zamordować Zygmunta—jak stanie wobec Miły i Ani z krwią przyjaciela na rękach? Zginąć — wobec szczęścia, które przed nim się otwiera... zginąć z ręki bądź co bądź nędznej — dlaczego?...

Jeszcze wobec milczących trybun wyścigowego placu na Mokotowskim polu, gdzie pojedynki się odbywa, wbrew prawidłom pojedynku, z paru ciepłymi słowy zwróci się do Zygmunta, nawołując go do upamiętania się.

Lecz tamten drwiąco pyta: «Czy mam zmusić pana do pojedynku czynną zniewagą? Dość poniżania się! To nędznik! Adam wobec świstu kuli Zygmunta będzie teraz dobrze mierzyć. Zygmunta, zraniony w bok, pada. Czy będzie żył? — woła błagalnie Orzelski, od gniewu przechodząc w jednym momencie do bólu i wielkiej litości.

Doktor odpowiada:

„Nie mogę zaręczyć. Skarłaly jest ten wasz ostatni z Dowburtów - Konieckich. Zkąd mu tu dodać sił, zkąd krwi zdrowej?“

Na wieść o tem, że mąż leży w szpitalu w Warszawie, Ania zrywa się lotem ptaka i śpieszy do loża chorego. Słowa wyrzutu nie ma dla Miłej, dla Adama. Wie, że Adam był w swoim prawie. Rozumie, że Miła nic nie jest winna.

„Zdeptana, sponiewierana w najświętszych swych uczuciach, jechała ku żalobie i trumnie może, ku przyszłości niepewnej i czarnej, niby otchłań bezdenna“

Zajęła miejsce u wezglowia chorego w charakterze siostry miłosierdzia. Nie poznał jej, gdy weszła. Leżał w malignie. O, jakież straszne dni i noce wypadło jej przeżyć przy chorym mężu!

„Człowiek ten, wijący się na białym wezglowiu, od którego w cieniu lampki nocnej odcinały go tylko włosy ciemne, nie miał na ustach nic, nic, prócz siebie i własnej namiętności. W słowach beładnych, gorączkowych, wracało mu ciągle imię Miły i poczucie domniemanej krzywdy własnej. Z oczami gorejącymi, zawieszonymi często na cichej postaci żony, śledzącej chwiej każdy ruch jego, opowiadał po raz setny dzieje chorobliwego uczucia. Odstawiał serce w najgłębszych jego tajnikach, jakgdyby chciał umyślnie torturować ją. I okrutny w niemocy swej nawet, krzyżował tę duszę biedną, wbijał ją na pal, krwawił i znęcał się, rwał na strzępy“.

Ona czuwała cierpliwie, czerpiąc moc w słowach «Naśladowania»:

«Miłość prawdziwa ciężaru nie czuje, na trud nie zważa».

Nareszcie obudził się z marzeń gorączkowych. Ocenił poświęcenie się swojego anioła-stróża. Doznał ulgi, gdy dowiedział się, że ogromny dług karciany, sześć tysięcy rubli, który zaciągnął w przeddzień pojedynku, rzuciwszy się w szale do gry hazardowej w klubie, aby się zagłuszyć, został zapłacony. Uściła go Anna ze swojej niewiele większej sumy posagowej, umieszczonej na hypotece Dowburtówki, poniżywszy

się w błaganiach przed Lenbergiem, aby zechciał nabyć jej hypotekę, na co chytry spekulant zgodził się, w nadziei, że utworzy sobie w ten sposób drogę do ręki Miły. Mniemał bowiem, że małżeństwo z Adamem musi być zerwane, skoro ten przyprowadził o chorobę przyszłego szwagra.

Wielka wdzięczność ogarnęła teraz serce Zygmunta i pod jej wpływem, zdawało się, że wraz ze zdrowiem fizycznym wraca mu zdrowie moralne. Odrodzić się, tak! odrodzić—zapiąć tej kobiecie za wszystkie krzywdy, które jej wyrządził. Stać się uczciwym synem społeczeństwa, o obowiązkach dla którego zapomniał, przez co w brudnym egoizmie zgubił swoją duszę, zabił wszystkie siły serca i umysłu. Stając na tej straży, którą mu stryj testamentem przekazał, a którą on zaniedbał!

Przeniesiony do Koniecpola, rekonwalescent jaśniej jeszcze przejrzy, jakie zło sprawił, ilu ruin moralnych jest powodem. Synek, obejmując mu szyję, powiada doń, że «dziadzio jest chory, siedzi w fotelu, taki zgarbiony i smutny».

„Pytałem, co go boli—gwarzy dziecko.— Powiedział, że nic, ale że dusza w nim obumiera, bo ją podłość ludzka zabija. Mój tatusiu, nie rozumiem... Podłość ludzka powinna ludzi boleć, nie dziadzię, bo jakżeż może go boleć to, czego w nim niema?“

„Koniecki odsunął syna. Zdawało mu się, że szczebiot jego urąga mu, że urąga mu blask słońca, że starzec słowami temi przed własnym sponiewierał go dzieckiem“.

Więc gdy marszałkowa Orzelska, stając przed nim, w surowych słowach wyjaśnia mu, iż dla położenia tamy plotkom sąsiedzkiemu, Miła winna wyjść z domu z Adama z pod dachu siostry swojej, a przeto on musi się na czas pewien z domu usunąć—Zygmunta ustępuje natchylnie. Pozór gotowy i pozór, mający podstawę zupełnie realną. Chory winien jechać do San-Remo, dokąd go lekarze wysyłają. Wyjeżdżającego odprowadzają słowa marszałkowej:

„Wierząc sędziwemu memu doświadczeniu. Nieskazitelnych niema na świecie, a ogień próby hartuje tylko i uszlachetnia; przed tobą zaś jeszcze leży istnienie całe“.

Listy męża z San-Remo wracają Ani nadzieję na nowe szczęście. Na usta jej wybiegają słowa otuchy: «*Per aspera ad astra*». Z listów Zygmunta widzi, że «uspiony, lecz nie zamarły duch jego budzi się nareszcie z indolencji obywatelskiej, z moralnego letargu». Każde słowo listu mówi o tem wyraźnie:

„Ślodycz kobiety pokona nawet szatana, zwycięży żelazo—i zwyciężyłaś... Gdybym umarł tu, na obczyźnie, umrę spokojny, pozostawiając dzieje w twoich rękach. Ale nie umrę, uspokój się; powrócę, by dowiedzieć, że nicieś moja moralna była chorobą, daltinizmem ducha, który przejrzał nareszcie“.

List ten chowała Anna, jak talizman, na sercu. Płakała nad nim. Po raz pierwszy oddawna płakała łzami szczęścia.

Zygmunta nie wrócił! Nadeszła depesza, zawiadamiająca o jego śmierci. Jak grom z jasnego nieba, uderzyła wieść ta w biedną Annę. Testament Zygmunta wyjaśnił jej, że wzruszająca spowiedź męża, jego rady i wskazówki w listach ostatnich «były tylko wynikiem jasnowidzenia śmierci».

„Tak, czuł on zimne technienie zgonu nad sobą, czuł zgrozę zbliżającej się otchłani mogilnej i jako ekspiację za zatrucie życia żonie, siostrze, przyjacielowi, jako zadośćuczynienie za lata, zmarnowane w pyłach anemji ducha, w bezczynnym żalu i goryczy, nie chciał wrócić do kraju, by borykaniem się z cierpieniem, by samotnieniem ze śmiercią nie rzucił cienia na drogę ukochanych“.

Umarł samotny, opuszczony, bez życiowej ręki, którąby mu przywarła powieki.

„Schorzały potomek dawnych ludzi ze spiżu potrafił przed zgonem odzyskać tyle żelaznej ich woli, by ludzkiej wciąż żonę pogodnemi listami, by podtrzymać w niej ducha, do czynu go podniecać“.

W testamencie prosił, aby mu to kłamstwo przebaczyła, powierzał jej Koniecpol, jako placówkę, z której—wiedział to—nie zjeździe, strażnicę, którą «nietkniętą odda w ręce Andrzeja».

To posłannictwo z po za grobu ocaliło Annę. Nie ugięła się pod wrażeniem tego ciosu. Nie złamał jej ból.

„We wdowich szatach i krepie żalobnej stanęła na stanowisku, które on nazwał „strażnicą polskiej kobiety“.

Z placówki tej zjeździe dopiero wówczas, gdy syn jej dorodnie i zajmie jej miejsce. Pod opieką szlachetnej matki, pod błogosławiącym spojrzaniem dziadka, w kole kochającej rodziny, do której wszedł Adam, jako mąż Miły, rozwija się młody Andrzej Dowburt-Koniecki. Dziecinne jego serce wzrusza się poważnie, gdy czyta napis na grobowej przodków kaplicy:

«Kochali, cierpieli, ziemi swojej służyli!»

Ten wejdzie w ich ślady.

Leon Bielski.

TO I OWO.

Zmowa kelnerów w Medjolanie, do których przyłączyła się i część służby hotelowej, wywoływała w niektórych lokalach publicznych komiczne sceny. Tak np. w jednej z bawaryj publiczność obsługiwał gospodarz wraz z dziesięciorgiem swoich dzieci, a w pierwszorzędnej restauracji Salviniengo, w galerji Wiktora-Emanuela, sztab kelnerów zorganizował się ze stałych gości, między którymi znajdował się znany pisarz Marco Praga, wybitni aktorzy, artyści i t. p.

Behanzin, zdetronizowany władca Dahomeju, którego Francja utrzymuje na Martynice, nie zginął. Przebywa w forcie Tortenson w pobliżu Fort de France. W tych dniach pisał do zarządu kolonij w Paryżu, skarżąc się na swoje losy: „Nie mogę powiedzieć, aby źle się ze mną obchodzono, przeciwnie, doznaję wielkiej uprzejmości—ale Martynika nie jest teraz zabawną...“ Nie ulega to najmniejszej wątpliwości.

Niejaki p. Galien, zmarły w Ferté-sous-Jouarre, stały mieszkaniec Paryża, zapisał państwu cały swój majątek w sumie 10 milj. fr. P. Galien prowadził życie niesłychanie skromne, zajmował dwa pokoje i miał jedną starą służkę. Nikt nie podejrzewał nawet, że jest milionerem.